Biblioteka
U. M. K.
Toruń
174431

PISMA
Józefa
Supińskie

5

M.
384.

PISMA
JÓZEFA SUPIŃSKIEGO.

Wydanie poprawione i pomnożone.

TOM V.
ROZMAITOŚCI.

WE LWOWIE.
W drukarni zakładu narodowego imienia Ossolińskich.

Dop. 174431
II M. 1384.
zp. 252/46.

PISMA

JÓZEFA SUPIŃSKIEGO.

Wydanie poprawione i pomnożone.

Wydał funduszem poruczonym
JAN WELICHOWSKI.

TOM V.

ROZMAITOŚCI.

WE LWOWIE
W drukarni zakładu narodowego imienia Ossolińskich
pod zarządem uprzyw. dzierżawcy A. Vogla.
1872.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Toruniu

174431

D.175/58

Od Wydawcy.

Prace Autora w poprzednich umieszczone tomach, dają nam go poznać jako wytrawnego myśliciela i z gruntu trzeźwego ekonomistę, — jako badacza głębokich i rozległych zadań społecznych, jako uprawiacza nauk pozytywnych, realistycznych.

Sfera atoli działalności piśmienniczej J. Supińskiego sięga dalej, a sięga wręcz w przeciwną stronę; — zdążając bowiem za przyspieszonem tętnem serca, za gorętszym polotem umysłu, zapuszczała się ona także w różaną dziedzinę uczucia i wyobraźni, rozpostarła się też na kwiecistych błoniach świetlanej poezyi.

I Supińskiemu sprzyjała nadobna muza. Między innemi napisał on obszerniejszy poemat Karpaty, którego rozbiorowi poświęcił Brodziński cały jeden wykład; co świadczy, że wiersz ten nie musiał być bez zalet. Napisał także kilka trajedyj, jak: Morsztyn, Regulus, które wszakże równie jak Karpaty, pozostawione w rękopiśmie w Warszawie, prawdopodobnie zaginęły.

Ocalały natomiast dwie trajedye: Arcez, — grany przed r. 1830 w teatrze warszawskim, — i Tatarzy, —

którychto obu trajedyj rozbiór, wykazujący zalety tychże poematów, znajduje się w „Tygodniku illustrowanym“ warszawskim w nr. 386 z r. 1867.

Dwie te trajedye więc w tomie V umieszczam.

Czynny żywot Autora, który nieraz do sprych koła wypadków krajowych silną dłoń swą przykładał, pozwala nam go widzieć w dodatku jako publicystę. Głos jego w stanowczych razach podnoszony, miewał szczęście nie być głosem wołającego na puszczy.

Trudne to wszakże zadanie wertować dzienniki, a trudniejsza jeszcze u nas je znaleść. Co jednak w polowaniu tem dało się złowić, również tutaj zamieszczam. Wiele z tych prac, umieszczonych w dziennikach zamiejscowych a mianowicie francuskich, tu już wcale objętemi być nie mogły.

Ostatecznie zaś — celem o ile możności dokładnego poznania szanownego Czytelnika z Autorem, — z osobistością zajmującą tak zaszczytne w piśmiennictwie naszem stanowisko, — niemniej z uwagi, że do rozświecenia dzieł pisarzów przyczyniają się opisy ich życia, które są niejako tychże dopełnieniem, kładę tu na czele życiorys Józefa Supińskiego z portretem tegoż, ułożony według Tygodnika ilustrowanego warszawskiego z r. 1866, uzupełniając takowy, o ile na to zezwalają znajdujące się pod moją ręką materyały.

ŻYCIORYS

JÓZEFA SUPIŃSKIEGO.

(Z popiersiem.)

W nielicznem gronie uczonych uprawiających u nas nauki społeczne, znakomite miejsce zajmuje Józef Supiński. Życie jego było jednym ciągiem pracy naukowej, połączonej z nieustanną troską o kawałek chleba dla siebie i rodziny. Pozostanie ono też wzorem skromnych a wielkich zasług i wytrwałości.

Supińscy pochodzą ze wsi Supy w Łomżyńskiem. Józef Supiński urodził się w lutym r. 1804 z Adama Tekli z Mrozińskich, we wsi Romanowie pode Lwowemi gdzie ojciec jego był sędzią w dobrach księżnej Marszałkowej Lubomirskiej. Nauki początkowe pobierał we Lwowie w r. 1814 i 1815, umieszczony w zakładzie wychowawczym Kopińskiego, gdzie nauczycielem jego był Wacław Zaleski, znany pod imieniem Wacława z Oleska, wydawca pieśni ludu, później wysoki urzędnik i gubernator Galicyi w r. 1848. Po ukończeniu szkół początkowych, wuj Supińskiego podówczas jeszcze pułkownik, a później jenerał wojsk polskich Józef Mroziński, wziął go pod swoją opiekę do Warszawy; tu kończył nauki częścią w liceum częścią u księży Pijarów, a następnie wydział prawniczo-administracyjny w uniwersytecie warszawskim, gdzie otrzymał stopień magistra. Niezwłocznie potem wszedł jako aplikant do komisyi spraw wewnętrznych, gdzie później pełnił bowiązek sekretarza sekcyi.

Tu zastały go wypadki z r. 1830. Jenerał Chłopicki, obrany dyktatorem, mianował go jednym ze czterech swoich sekretarzy 1. klasy. Po upadku dyktatury mianowany został *ex officio* oficerem do 5. pułku ułanów. Nie czując się być przygotowanym do prowadzenia oddziału, wziął dymisyę i wstąpił jako szeregowiec do artyleryi, biorąc udział w bitwach pod Stanisławowem, Wawrem, Grochowem, a następnie w stopniu wachmistrza w bitwach pod Potyczą, Zimnąwodą, Nurem, Ostrołęką, Warszawą i na granicy pruskiej.

Między papierami pozostałemi po ś. p. siostrze jego, znalazło się kilka dawnych listów Supińskiego, z których jeden pochodzi właśnie z tego czasu, noszący na sobie datę 7. czerwca 1831. „W obozie pod Pragą.“ Parę tedy wierszy z niego przytaczam tu.

„...Ja istotnie, jak wuj pisał, będąc oficerem w 5ym Ułanów, wziąłem dymisyą, i wszedłem do artyleryi. Dziś jestem podoficerem klasy I., komendantem działa, to jest celującym. Mam nadzieję, że krzyż i oficerstwo nie zbyt długo dostanę; — do pierwszego byłem już nawet przedstawiony przez żołnierzy... Byłem w kilku walnych bitwach, a mianowicie pod Nurem, Ostrołęką i t. d., — wszędzie szczęśliwie; — płaszcz tylko mam poprzestrzelany i konia mi kula zabiła... Powodzenie nasze jest wyraźną wolą bożą... Wszystkie młode pułki w pierwszych zaraz bitwach odznaczają się niepojętą odwagą, — lecą do boju jak na ucztę... Ministrowie nasi utrzymują finanse wybornie... Urodzaje w całym kraju, jakich od lat 15 nie pamiętają...“

Supiński umiał w wojsku zarówno jak w uniwersytecie i urzędzie zjednać sobie szczególną życzliwość i zaufanie tak podwładnych jak kolegów i przełożonych. Z pod

Potyczy wysłanym był przez jenerała Sieradzkiego z ustnym raportem o ośm mil do Warszawy konno, pod wieczór, śród podjazdów wojsk rosyjskich, z surowym nakazem powrócenia w ciągu godzin dziesięciu. Polecenie to wykonał szczęśliwie i otrzymał uściśnienie jenerała.

Po bitwie pod Warszawą mianowany był pod Modlinem przez jenerała Bema oficerem. W tym stopniu wszedł do Prus, a ztamtąd udał się z kolumną, do której należał, do Francyi, gdzie czas jakiś przepędził w Avignionie.

Prawy, ludzki, z wrodzonego usposobienia bezinteresowny, powodujący się zawsze prawdziwemi zasadami demokratycznemi, przytem umiarkowany, co go cechowało we wszystkich rozumowaniach, czynach i stosunkach od pierwszej młodości, znajdował zaufanie we wszystkich odcieniach społecznych i życzliwość we wszystkich stanach.

Powołany na członka „Rady“ przez Polaków w Avignionie, był w niej jednym z najczynniejszych członków, a obdarzony łatwością wymowy śmiało rzucał gromiące słowa przeciw niesnaskom wewnętrznym i pojawiającym się niekiedy zdrożnościom. Do najgorętszych mów jego w tym rodzaju należały, mowa na pogrzebie Sztolcmana, zabitego w pojedynku, mowa przeciw projektowanej emigracyi do Hiszpanii, i mowa przy uroczystości kościelnej w rocznicy 29. listopada.

Czynności tej jego i skierowaniu ku niej całej myśli dowodzi list, pisany do siostry swej z Avignionu w r. 1832., który mam przed sobą. Oto wyraża się w nim Supiński:... „Byt Polski zajmuje Anglię ciągle i jawnie. Dyskusye w izbie Parów są przychylne dla nas. My napisaliśmy historyczny adres do tej Izby, poruczając jej los naszej Ojczyzny. Adres ten podpisany został przez 3 700

Polaków... My tu nie próżnujemy... my musimy być czynniejsi niż inni, tego dobro kraju wymaga..."

W liście tym — jako naoczny świadek i udział biorący — tak opisuje Supiński ówczesne usposobienie Niemców dla Polaków: „Herby i chorągwie polskie przewodniczą wszystkim zgromadzeniom i ucztom, a żadna mowa publicznie miana, nie pomija bytu i wolności Polski; — w każdej uczcie pierwszy toast: „Pohlen sollen leben! — Po rękach nas całowali, na rękach nosili, przed miastami wyprzęgali konie, a sami wozy, w których siedzieliśmy, ciągnęli: — młodzi i starzy, biedni i wygalowani, a nawet udekorowani; — ich żony i córki do stołu nam służyły. Bramy stawiali nam tryumfalne, a to z taką wyłącznością dla nas, że po przejściu przez nie, zaraz je zrębywali, aby nikt inny zaszczytem tym nie mógł się chlubić, — wkrótce zaś dla nowych nadchodzących oddziałów, nowe stawiano, i tak samo zrębywano bramy..."

Co za różnica dzisiaj? Jużci: *Tempora mutantur*, — ale też... za piękne, nadobne: *et nos etiam in illis!* —

Nie widząc dla siebie przyszłości w Avignionie, i nie obiecując sobie szybkiego powrotu do kraju przeniósł się Supiński do Lugdunu.

W mieście tem wyłącznie przemysłowem, Supińskiemu, nieusposobionemu do zawodu technicznego, trudno było o utrzymanie. Przyjęto go jako pisarza do biura Towarzystwa ogniowego, gdzie pobierał miesięcznie 25 franków, pracując od ósmej rano do siódmej wieczorem, z jednogodzinną przerwą w południe.

W tym czasie przybyła do Francyi żona jego, która dotąd trzymaną była w więzieniu w Warszawie. Ograniczeni na bardzo szczupłym dochodzie, mieszkając w małej izdebce

i niemal bez sprzętów, ulegli oboje długim chorobom. Pomimo nadwątlonego zdrowia, nie mogąc mieć sługi, pełnili sami wszystkie zajęcia domowe. Żona gotowała i pielęgnowała dziecię, podczas gdy on przynosił wodę i drzewo, a niekiedy prał bieliznę pod mostem w godzinach, które mu zostawały wolne od biurowej pracy.

To ich życie jednak miało swoje powaby. Odwiedzani byli ciągle przez licznych rodaków, którzy dla braku sprzętów siadali z kolei na łóżku i na dwóch jedynych stołkach.

Chcąc polepszyć swe położenie, postanowił Supiński wyuczyć się rachunkowości kupieckiej. Pracował nad nią po nocach, a czując się już dostatecznie usposobionym, przyjął obowiązek buchaltera w jednej z fabryk tamtejszych. Odtąd położenie Supińskiego polepszyło się znacznie. Wkrótce przeniósł się do jednego z pierwszych domów amerykańskich w Lugdunie. Ztamtąd we dwa lata później przeszedł do rządowej kasy departamentowej, gdzie był naczelnikiem oddziału rachunkowego (chef de comptabilité).

Z końcem roku 1836 przeniósł się do Paryża, gdzie pewien obywatel lugduński wyrobił mu znacznie korzystniejszą posadę w jednej z głównych fabryk wyrobów wełnianych, której był dyrektorem przez trzy ostatnie lata pobytu swego we Francyi, mianowicie po rok 1844. Lubo Supiński nie sposobił się początkowo do zawodów technicznych, jednakże silną wolą, i niestrudzoną pracą przy wrodzonych zdolnościach tyle dokazał, iż w bardzo krótkim czasie przyswoił sobie potrzebne wiadomości handlowe, tudzież chemię i mechanikę. Obdarzony duchem porządku i darem administracyjnym, pozaprowadzał w powierzonej kierownictwu jego fabryce takie ulepszenia, że zwiedzający ją

ministrowie, a nawet następca tronu książę orleański, oddali mu zasłużone pochwały. Stawiał on w niej nawet machiny własnego pomysłu, które się bardzo pożytecznemi okazały.

Zatrudnienie ówczesne Supińskiego było niezmiernie mozolnem i nużącem, albowiem fabryka dniem i nocą była w ruchu; ale też położenie jego pod względem materyalnym było najlepsze. Nie zapomniał tu Supiński ani na chwilę o mniej szczęśliwych rodakach, a nawet szkołę w Chatillon (teraz Batignolles), której był jednym z pierwszych dyrektorów, wspierał najznaczniejszym z miejscowych datkiem.

Wszelako wzrastająca tęsknota za rodzinnym krajem, spowodowała Supińskiego do porzucenia korzystnej posady i do powrotu do Galicyi w r. 1844. Spółka właścicieli fabryki, którą zawiadywał, uwalniając go z żalem od dalszych czynności, dołączyła w napisanym doń pożegnalnym liście te słowa: „Gdyby pana los znaglił powtórnie do opuszczenia ojczyzny twojej, przybądź wprost do nas. Jeżeli nie będzie posady opróżnionej, utworzymy ją umyślnie, aby cię mieć znowu u siebie.“

Powróciwszy Supiński w r. 1844 do Galicyi, udał się wprost do księcia Leona Sapiehy, prezesa Towarzystwa kredytowego i gospodarskiego, który powrócił także z wychodźtwa kilka lat pierwej. Zatrudnił on Supińskiego najprzód u siebie, następnie zaś umieścił go jako pisarza dziennego w Towarzystwie kredytowem ziemskiem, a zajmując się właśnie założeniem kasy oszczędności we Lwowie, poznawszy wysokie zdolności Supińskiego, wyjednał mu stałą posadę w tymże zakładzie. Nowy porządek ksiąg rachunkowych tego zakładu jest dziełem Supińskiego, który okazał się tak wzorowym, że „Wiener Zeitung“ w ob-

szernej rozprawie w dodatkach naukowo-przemysłowych, rozbierając ustrój ważniejszych kas oszczędności w Austryi, rachunkowość lwowskiej postawiła na czele, i zaleciła innym do naśladowania.

Tu pozostawał Supiński przez lat dwadzieścia, i dopiero zmuszony był zakład ten opuścić w r. 1864 skutkiem nagle niknącego wzroku. Spędziwszy lat dwadzieścia w usługach tegoż, otrzymał połowę pensyi emerytalnej w kwocie 600 złr., dziękując Bogu, że ślepota nie dotknęła go o parę lat wcześniej; bo w takim razie byłby i tej szczupłej nie otrzymał emerytury, niewystarczającej na utrzymanie domu i na wydatki na kuracyę.

Dlatego to, gdy Dziennik poznański w artykule zajmującym się też Supińskim, umieścił o majątkowym stanie tegoż wzmiankę, z ową rzeczywistością się niezgadzającą, — widział się tenże spowodowanym ogłosić w Gazecie Narodowej następujące sprostowanie:

„W odcinku Dzien. Pozn. z dnia 17 sierpnia 1866 znajduje się początek rozprawy noszącej napis: ,,Główniejsze kwestye ekonomiczno polityczne, w których się ze sobą zgadzają, a w których różnią H. C. Carey i J. Supiński i publikacye K. Forstera, napisał dr. Kazimierz Szulc.,, W artykule tym, wielce dla mnie pochlebnym, już przez to samo, że w nim autor porównywa prace moje z dziełami Carey'a, które zwróciły na siebie uwagę Ameryki i Europy, czytamy następujący ustęp: ,,P. Supiński, który jako emigrant w rozmaitych krajach Europy pracą rąk własnych dorobiwszy się majątku wrócił do kraju i dziś żyje i pracuje w roli i naukach, jako właściciel wiejski, — żeliśmy dobrze poinformowani, w pobliżu Lwowa,, i t. d.“

„Życzyłbym sobie bardzo, by wiadomość powyższa,

udzielona szanownemu recenzentowi, była prawdziwą, ale tak nie jest. Długie lata spędzone w mozolnych pracach na emigracyi, mogły mnie zbogacić doświadczeniem, ale nie przyniosły mi materyalnej korzyści. Gdybym rzeczywiście posiadał majątek, cały bieg życia mojego i koleje, jakie przechodziłem i przechodzę, byłyby odmienny przybrały kierunek. Gdybym miał majątek, byłbym nie utracił wzroku; bo byłbym nie potrzebował pracować nad naukami po nocach, pracując we dnie na chleb powszedni; gdybym miał jaki taki majątek, byłbym mógł, utracając wzrok stopniowo już od lat kilku, porzucić dość wcześnie prace biurowe i przedsięwziąć środki zaradcze; gdybym miał, już nie majątek, ale oszczędzonych kilkaset guldedenów, byłbym z kuracyą moją nie potrzebował czekać na pomoc zakładu, przy którym pozostawałem przez lat dwadzieścia, a któremu dziś wyłącznie zawdzięczam uratowanie szczątków wzroku mego; byłbym prócz tego nie rozbijał się przez lat trzy pomiędzy księgarzami i obywatelstwem krajowem za nakładem na moje książki, o czem nadmieniłem w dopisku do przedmowy tomu III, ale byłbym je wydał własnym funduszem; gdybym wreszcie miał nie już dobra ziemskie ale kilkanaście morgów z chałupą, osiadłbym obecnie w tem zaciszu i nie potrzebowałbym pędzić niewolniczego życia w mieście z pensyą zmniejszoną więcej niż o połowę."

„Na szczegółach tych, nie zależy zapewne nikomu; ponieważ jednak niemiłą jest rzeczą uchodzić za to, czem się nie jest, robię niniejsze sprostowanie, zaręczając uroczyście szanownemu recenzentowi, że nie mam na myśli czynić mu z tego względu jakiejkolwiek wymówki."

„Przy tej sposobności, pisze dalej Supiński, nadmieniam tu jeszcze, że gdybym mógł był więcej czasu poświęcić naukom i był w stanie nabywać książki, jakich tu od nikogo dostać nie mogłem, byłbym sobie przyswoił wiele wiadomości, których niedostatek czuć mi się dawał w ciągu prac moich co chwila; że byłbym poznał dawniej ostatnie dzieło Carey'a, o którem dowiedziałem się przy końcu od prof. dr. Zielonackiego; byłbym znał także jego dzieło poprzednie, o którego istnieniu dowiaduję się obecnie dopiero z recenzyi: że Liebiga jest zasługą, jeżeli na ciągłe wyczerpywanie z ziemi pierwiastków pożywnych zwracają uwagę rolników ludzie pracujący w tym zawodzie, czy miejscem ich pobytu jest Lwów, czy Filadelfia; że Bastiat, Fourrier, Voltaire i inni publicyści wspominają wprawdzie o sile atrakcyi, jako o czynniku spajającym ludzi w jednę całość; lecz uchwycenie jej w momencie odwrotnym, gdy się staje siłą rozkładu jestestw pojedynczych, jej zestawienie ze siłami rzutu i skreślenie zasobu społecznego, jako istności niematerialnej, zdawało mi się być moim pomysłem; myśl zaś poszukiwania na tej drodze praw rządzących społecznością, nasunął mi, jak to dostrzegł już dawniej jeden z moich recenzentów poznańskich, A. Comte, który utrzymuje że wszystkie nauki przejść muszą pod panowanie fizyki: ››Już istnieje, są słowa jego, fizyka nieba i fizyka ziemi, czy to mechaniczna, czy chemiczna; fizyka organizmu, czy to roślinna, czy zwierzęca; pozostaje do utworzenia fizyka ostatnia, to jest społeczna... Jej powstanie uzupełni naukę filozofii powszechnej.... Jej podstawą, dodaje on niżej, będzie prawdopodobnie siła grawitacyi.‹‹ Słowa te powołałem na str. 55 Fizyologii.“

W pierwszych chwilach była nadzieja uratowania wzro-

ku; lecz żaden z lekarzy lwowskich nie ośmielił się podjąć operacyi jaskry (glaucoma). Dyrekcya kasy oszczędności ofiarowała mu z funduszów zakładu zasiłek na podróż do Berlina, do sławnego okulisty Graevego, celem dokonania operacyi. Odbyła się ona szczęśliwie według zapewnień Graevego, który zaręczał, że siła wzroku ciągle wzmagać się będzie. Wszelako nadzieja ta zawiodła. Od powrotu Supińskiego z Berlina wzrok jego ciągle słabnie. Dziś już nierozróżnia największego nawet pisma, nie dostrzega rysów twarzy i bez przewodnika wychodzić nie może. Operacya zapóźno została przedsięwziętą, wcześniej zaś dla braku funduszów przedsięwziąć jej nie mógł. Z podróży tej przywiózł Supiński miłe wspomnienie przyjęcia jakiego doznał w przejeździe przez Poznań, gdzie wszystkie naukowe znakomitości zgromadziły się w domu dra Mateckiego dla uczczenia gościa. Pozbawionemu nadziei odzyskania wzroku pozostaje jedyna pociecha w tem przekonaniu, iż go stracił nie bez znakomitej dla nauki korzyści.

Nawykły do mozolnej i nieustannej pracy, straciwszy wzrok, ujrzał się Supiński w smutnej konieczności próżnowania. Nie będąc w stanie opłacać lektora, zamknięty w pomieszkaniu, z którego nigdy nie wychodzi, zajmuje się rozmaitemi zatrudnieniami mechanicznemi. Wzrok utracony i to przymusowe próżnowanie sprowadziły inne znów cierpienia nerwowe, które przykrzejsze od ślepoty, w połączeniu z różnemi jeszcze niepowodzeniami odjęły mu zupełnie chęć do dalszych prac naukowych.

Supiński od lat najmłodszych był usposobienia poważnego; samotność i rozmyślanie przenosił nad gwarne zabawy towarzyskie. Będąc jeszcze w szkołach, najbardziej lubiał matematykę i poezyę. Gdy był w trzeciej klasie,

profesor zadał uczniom wypracowanie dowolne. Wówczas napisał Supiński pierwszy raz wiersz do wiosny, a gdy go oddał profesorowi, ten nie dając wiary, iżby to był rzeczywiście utwór Supińskiego, wpisał mu złą notę za oszustwo, i dopiero na zaręczenie profesora, u którego mieszkał, uwierzył, że to on a nie kto inny napisał. Odtąd Supiński pisywał wiersze. We Francyi przy uroczystościach wychodźtwa wygłaszał też zwykle wiersze; niektóre z nich ogłoszono drukiem. Znachodzę z tej epoki urywek z utworu wdzięcznego, z którym dzielę się z czytelnikiem:

Nadziejo! piękna niebianko,
Któż bez ciebie żyłby jeszcze?
Ty karmisz przeczucia wieszcze,
Ludzi i ludów kochanko!

Kiedy w pustelnika dom
Gromy biją, wichry wieją,
I ostatni bliski grom —
Bądź z pustelnikiem nadziejo!

Gdy skrzywdzone ludzkie plemię,
Już podważa świat barkami,
I ma z posad wstrząsnąć ziemię —
O nadziejo, ty bądź z nami!...

Do większych rozmiarów należał poemat „Karpaty“, tudzież trajedye: „Morsztyn“, „Regulus“; należą też „Arcez“, „Tatarzy“, o których wspomniałem bliżej w przedmowie do tomu niniejszego.

Zaprzestał pisać wiersze Supiński, skutkiem wrażenia jakie na nim wywarł wykład ekonomii politycznej hr. Fryderyka Skarbka w uniwersytecie warszawskim. Ekonomia polityczna i nauki administracyjne stały się odtąd ulubionym studyów jego przedmiotem, które jednak wypadki z r. 1830 przerwały, a następny pobyt we Francyi z powodu konieczności zarabiania na utrzymanie, zupełnie zaniechać zniewolił. Z naj-

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA

większem ubolewaniem mówi zawsze Supiński o tej kilkunastoletniej przerwie, którą później za powrotem do kraju tem gorliwszą pracą zapełnić usiłował.

Zwrotem Supińskiego na pole prac naukowych był „Dziennik Narodowy“ wydawany we Lwowie r. 1848, którego on był głównym acz bezpłatnym współpracownikiem, i który połączył go nierozerwaną odtąd przyjaźnią z Augustem Bielowskim. Po zwinięciu „Dziennika Narodowego“ odzywał się Supiński już tylko niekiedy, umieszczając tu i owdzie artykuły spowodowane zwykle okolicznościami.

Z tem większą wyłącznością oddawał się teraz Supiński pracom swoim, z zamiarem poddania ich pod sąd publiczny. Jakoż w kwietniu 1855 wykończył „Myśl ogólną Fizyologii wszechświata (powszechnej).“ Według dopisku Autora do jego przedmowy, przesłaną ona została zaraz w następnym miesiącu znanemu ekonomiście i finansiście Ludwikowi Wołowskiemu do przejrzenia, który się tem zająć przyobiecał; — w skutek wszakże przeszkód Fizyologia jaką poszła, taką wróciła, i po pięcioletniem szukaniu za nakładcą, dopiero w r. 1862 ujrzała światło dzienne.

W r. 1862 pojawił się tom I „Szkoły polskiej gospodarstwa społecznego“, a w roku 1865 tejże Szkoły tom II.

Prace te rozległe i wielostronne były dla Supińskiego tem uciążliwsze, że będąc cały dzień zajęty w urzędzie, nocą tylko mógł się oddawać przedmiotom naukowym. Przez to nadwątlił przedwcześnie zdrowie i wzrok, który wreszcie utracił.

Zniechęcenie jego do dalszego pisania powstało głównie ztąd, że nie mógł znaleść przez wiele lat nakładcy na ekonomiczne dzieła swoje, pomimo że je ofiarował

darmo. Przyczynił się następnie do tego i nader mały pokup dzieł już wydanych, okazujący obojętność publiczności na te przedmioty, które Supińskiego głównem były zadaniem, i w których widział jedyny środek wzrostu dobrobytu i pomyślności materyalnej kraju. Gorzej atoli jeszcze niż ta obojętność publiczności zabolało autora, gdy mu pokazano w dziełach ekonomistów francuskich i niemieckich przedrukowane nietylko pojedyncze myśli, będące podwaliną systemu, ale całe nawet ustępy dosłownie z jego dzieł wyjęte, i bez wymienienia źródła za własne przez rzeczonych autorów podane. Tak ujrzał się Supiński w najbolesniejszy sposób odarty z własności swej umysłowej, ze zdobyczy będącej owocem wieloletniej pracy i rozmyślań; a strata takowa więcej go dotknęła, niż inne jakiekolwiek straty materyalne. To zniechęciło go do reszty.

Przysłowie nasze dobrze poniekąd powiada, że nie masz złego, coby na dobre nie wyszło; gdyż taki skutek miało zamierzone przed kilku laty, a do skutku wówczas niedoszłe ponowne wydanie pism Supińskiego. Następstwem bowiem tego było, iż Supiński przerwał poczęści swoje milczenie; — co zaś było do tego powodem, wyłuszczyłem w mojej przemowie do tomu IV, który też obejmuje to, co zostało wydane przez niego po utracie wzroku.

Znakomite prace i zasługi Supińskiego około literatury ojczystej, uznały wszakże Towarzystwa, mające na celu upowszechnienie oświaty i dobrobytu, zaszczycając go policzeniem w poczet członków swoich, mianowicie: Towarzystwo naukowe krakowskie i Towarzystwo gospodarczo-rolnicze krakowskie, mianując go członkiem-korespondentem, a Towarzystwo przyjaciół nauk poznańskie członkiem honorowym.

Uznanie zasług Supińskiego i u pojedyńczych w ostatnich latach wzrosło; — a wiekiem młodsi uczeni w listach swych, pełnych wyrazów współczucia i czci, a nawet miłości, — z chlubą go swoim mistrzem i patryarchą ekonomistów polskich mienią.

Co zaś za najwyższą dla siebie uważa Supiński nagrodę — jak pisze w odpowiedzi swej, umieszczonej w nrze 47 z r. 1869 warszawskiego Merkurego, na list otwarty dra Józefa Oczapowskiego, ogłoszony w Merkurym z polecenia redakcyi — jest to, że wyczytał w pomienionym liście wyrzeczenie, iż pisma jego przyczyniły się w Kongresówce do rozbudzenia zamiłowania badań ekonomicznych.

Jakoż i u nas ludzie młodzi, ukończywszy nauki w innym kierunku, przeszli na pole ekonomiczne po przeczytaniu książek Supińskiego, i na niem pracują z powodzeniem.

Z listów odnoszących się do powyższych ustępów pozwolę sobie na zakończenie przytoczyć tu wyjątek z listu Dra R. Szy.., napisanego do p. K.., obywatela w Poznańskiem.

„Dostawszy Szkołę polską gospodarstwa społecznego do ręki, — pisze tenże — zacząłem przerzucać karty i odczytywać jak zwykle bywa przedmowy i zakończenia. W przedmowie jednej wyczytałem, że czcigodny autor usuwa się zwątpiony od dalszych prac naukowych; na końcu zaś dzieła spotkałem się z groźną przepowiednią: „*Falsus utinam vates sim*," a to przypomniało mi ciężkie dla Rzeczypospolitej czasy Jana Kazimierza. Zachodzi bowiem poniekąd szczególne powinowactwo pomiędzy temi dwoma osobistościami. Wówczas najazdy, pożogi i rzezi sąsiednich łupiezców przyprawiały naród o niemoc, dziś

ta sama niemal ręka wytacza najszlachetniejszą krew narodu, łupi bezbronnych, znęca się nad wątłemi, zaludnia tysiącami lodowe stepy i trujące kopalnie Sybiru. Wówczas naród czując potrzebę reformy obowiązuje się wespół z królem do poprawy, przysięgą złożoną w katedrze we Lwowie, — obecnie została napisana w temże samem mieście „Szkoła polska Gospodarstwa społecznego", wzywająca do koniecznej reformy, jeśli naród nie chce nic zgoła zostawić po sobie oprócz wspomnienia. Pod wpływem ówczesnych ciężkich wypadków Jan Kazimierz składa berło, — zacny Autor „Szkoły polskiej gosp. społ." składa pióro. Abdykacya rządów publicznych obok abdykacyi publicznej nauki; obaj zaś takową zamykają groźną przestrogą: „*Falsus utinam vates sim!*" Dwieście lat rozdzielają obydwa te wyrzeczenia. Jedno niestety sprawdzone!.. Co do drugiego mam żywą wiarę, że pokolenie dzisiejsze weźmie sobie do serca naukę „Szkoły polskiej," — mam żywą wiarę, że „Szkoła polska" zrodzi w narodzie nowe idee, i wprowadzi żywot narodu na nowe a lepsze tory!..."

Faustus utinam vates sis!

I.

TURNIEJE I POJEDYNKI

w średnich wiekach.

(Obrazek historyczny.)

Każdy okres dziejów świata ma oddzielne, sobie samemu właściwe znamiona, różniące go od wszystkiego co było przed nim, i co po nim nastąpiło. Ślady wpływów dawniejszych i nowe wypadki, stopień i kierunek cywilizacyi, a nawet pewne, zdające się nie mieć źródła żadnego upodobania i pociągi, wstręty i przesądy, pojawiają się i giną niepowrotnie w tej niekończącej się panoramie życia ludzkości, w której nic nie trwa, i nic się nie powtarza.

Jednym ze szczegółów, na które dziś spoglądamy z odległej wysokości, jakby na teatralne przedstawienia, są turnieje i pojedynki w kształcie ówczesnym. Wszakże w wiekach wyszłych z zamętu, w którym utonął świat starożytny, gdzie nowe życie ludów urobiło się pod dwojakim wpływem, z których jeden ciężył od góry, drugi parł od dołu, — pod opieką wiary schodzącej do najdrobniejszych życia domowego szczegółów, i pod zasłoną puklerza chroniącego tam jeszcze, gdzie potęga tamtej ustępowała przed dzikością pogodzić się z nią niemogącą, — jednem z ulubionych, a razem niezbędnych zajęć stanów wyższych musiały być sprawy rycerskie.

Jakoż: świat ówczesny, to rycerze i lud pogardzony, lud niemy, zapomniany, o którym też zaledwie wspominają dzieje; — to kościoły i warowne zamki; dzwonnice i baszty; kaplice w zamku i twierdze przy kościołach; wnę-

trza pomieszkań, to ściany pokryte zbroją; służba to żołnierze, panowie to dowódzcy. Gdzie wojna była życia trybem, tam nietylko rozrywki musiały nosić cechę tego zajęcia, lecz nadto, naczelnem zadaniem ówczesnego wychowania musiała być wprawa i nieustająca gotowość. I w rzeczy samej, krwawe napady i wspaniałe turnieje, a pomiędzy niemi pojedynki, krwawe jak tamte, wspaniałe jak te, to dzieje rodzin średniowiecznych na południu i zachodzie.

Ekonomiści włoscy, różniący się od ekonomistów wszystkich innych narodów pod względem granic jakie gdzieindziej zakreślono tej nauce, obejmują zwykle w części historycznej wykładów swoich szczegóły mogące zająć tych nawet, co ulegając uprzedzeniu, nie mają dość odwagi bogdajby przesunąć się przez stanowisko, na którem pojawia się w całej potędze ważność społeczna ich nauki.

Jednym z najnowszych pisarzów tego rodzaju, jest L. Cibrario. W znakomitem dziele jego znajdujemy rozrzucone tu i owdzie obrazki odnoszące się do przedmiotu, który obojętnym być nie może dla osób, szukających w czytaniu przyjemności, — napotykamy na nie także w historyach cywilizacyi europejskiej, Guizota, Feranda i innych. Obrazki te zestawimy tu w sposób odpowiedni, a uzupełnimy opisem odnoszącym się do naszych dziejów narodowych.

Turnieje i pojedynki (mówimy w tej chwili o pojedynkach, mających na celu zabawę a nie zemstę) odbywały się zwykle w miejscach ogrodzonych. W tych ostatnich, jak już sama ich nazwa pokazuje, występowało do boju dwóch tylko rycerzy; w tamtych po kilku i kilkunastu z każdej strony. Ponieważ w pojedynczych walkach każdy miał więcej pola odznaczenia się odwagą i zręcznością w oczach licznych widzów, a nadewszystko w oczach damy, której

godło i kolory powiewały na jego szyszaku i na rzędzie jego rumaka, walki te przeto były powszedniejsze, a na ich opisy napotykamy częściej w dziełach przedstawiających ówczesne obyczaje.

Pojedynki i turnieje zapowiadane i ogłaszane były na kilka miesięcy naprzód, a to w celu iżby każdy mógł się do nich przygotować i wziąść w nich czynny udział. Zaś na dni kilka przed dniem oznaczonym do walki, składano w jednym z klasztorów puklerze rycerzy mających w niej wystąpić, a heroldowie ogłaszali kilkakrotnie w całej okolicy ich imiona, by wzbroniono brać w niej udział temu, o którymby jedna z pań lub panien oświadczyła, że uchybił względem niej przyjętym w rycerskiej galanteryi zwyczajom.

Żądza popisywania się rozpalała niekiedy tak silnie umysły szlachty rycerzy w tych wiekach, niepojmujących innej godności prócz siły i odwagi, iż często walki prawdziwe przeplatały starcia rozrywkowe. Zaczem, skoro się zgodzono poprzednio, iż walczyć będzie wolno, bądź bronią tępą, bądź zabójczą, każdy z tych co miał wstąpić w szranki, składał tam dwie tarcze: jednę pokojową, drugę wojenną. Jeżeli który z rycerzy pragnął walki prawdziwej, dotykał on ręką jednej z tarcz wojennych, a właściciel tarczy dotkniętej zchodził z amfiteatru i stawał do rozprawy.

Amfiteatr o którym wspominamy, wystawiano zwykle pod murami zamku lub miasta, pozostawiając wewnątrz niego rozległe miejsce dla walczących. Dla książąt, księżniczek i dam przybywających na te uroczystości, przygotowane były jedwabne namioty. Sędzia bojowy, konno, otoczony heroldami i trębaczami, kierował tem wspaniałem widowiskiem. Tarcze używane w turniejach, ozdobione były

malowidłem przedstawiającem herby, godła i symbola; pancerze lekkie, sklejane z płótna lub ze skóry, sklniły się nasadzonym kamieniem, a hełmy bogato złocone unosiły na szczycie wstęgi od dam i pióra strusie. Ponieważ zaś walki tego rodzaju przedsiębrano wyłącznie dla uciechy i chwały, broń przeto używana w nich, różną była od tej, która służyła do bojów wojennych: szable były zaokrąglone i tępe; dzidy zakończone gałką; ilość i rodzaj uderzeń oznaczono z góry; — zaczem też każdy z występujących równe miał pole odznaczenia się odwagą i zręcznością, nie upośledzając przeciwnika swego. Siodła wreszcie opatrzone były z przodu i z tyłu w poręcze, by ułatwić silne siedzenie. Wszakże mimo tych ostrożności, często turnieje rozrywkowe były powodem kalectwa, a nawet śmierci walczących. Wypadkami temi oburzone niektóre koncylia, zakazywały turniejów, i odmawiały pogrzebu poległym w nich rycerzom.

Potyczki, które Anglicy nazywali walką na okrągłym stole, były także rodzajem turniejów. Jeden z najznakomitszych rycerzy angielskich, Roger de Montemar urządził turnieje podobne, sławne w dziejach Anglii w Konilworcie w końcu XIIIgo stulecia, a jedna z tych uroczystości trwała przez trzy doby. Występowało na niej stu rycerzy i sto dam. Nagrodą był wielki lew złoty, który otrzymał sam Montemar. Na okrągłych stołach, damy i panny składały sąd turniejowy; one też rozdawały nagrody, którym towarzyszyło „skromne“ pocałowanie.

W XIVtym wieku turnieje były nader powszechne w Piemoncie i Sabaudyi. Najznakomitszym ich wspieraczem był sam książe sabaudzki, zwany Zielonym hrabią, najgłośniejszy rycerz tej epoki. Gdy nadchodził tam czas ozna-

czony na zebranie turniejowe, wszystkie domy próżne i zajazdy w mieście, w którem się na ten cel gromadzono, zamówione były przez hrabię dla dostojnych gości; a ponieważ te objąć ich nie mogły, stawiano jeszcze po placach i za miastem namioty, baraki i kuchnie. Ze wszech stron zjeżdżali się sabaudcy i francuscy rycerzy na ogromnych i wspaniale przystrojonych koniach; — damy, jedne konno, inne w lektykach, inne jeszcze na wozach, przybywały niemniej licznie; — prócz tego gromadziło się tam mnóstwo sztukmistrzów, skoczków, tancerzy, spiewaków, trubadurów, pływaczy, muzyków i t. d.

Trudno jest opisać życie i ruch jakie panowały w Chambery w ciągu dni turniejowych. Całe miasto było w ruchu; wszędzie krzyki, spiewy, dźwięk muzyki, tańce, bójki, rżenie koni, zgiełk i zamieszanie. Podczas potyczek konnych, ten sam jeszcze panował hałas; lecz gdy rycerze zsiedli z koni, by walczyć pieszo, od razu cisza grobowa zalegała rozległe pola; — nikt słowa nie przemówił, i nikt się nie poruszył z miejsca; — jedynie oczy widzów biegały, jużto po walczących, już też po strojnych i pięknych damach siedzących na wzniesieniu, a których wzrok natężony i niespokojny uśmiech, podwajały siłę walczących. Każdy z widzów kierował zapewne życzenia swoje ku jednej lub drugiej stronie; lecz nikt słowa nie przemówił, nikt się nie poruszył, a wśród tej solennej ciszy słychać tylko było szczęk broni i szelest zbroi, aż po chwilę, gdy zwycięstwo uwieńczyła chwała lub miłość.

Jednem z najwspanialszych widowisk tego rodzaju w Chambery, były turnieje wyprawione tam roku 1348. Zgromadziło się na nie mnóstwo rycerzy, heroldów i jeźdźców. W oznaczonym dniu i o wskazanej godzinie, wjechało

w szranki dwunastu rycerzy ubranych w zieloną jedwabną materyę, na koniach pokrytych podobnemiż czaprakami. Konie te prowadziło na śrebrnych jedwabnych taśmach dwanaście dam przystrojonych równie wspaniale i także zielono. Przeciw tym dwunastu rycerzom wjechało tym samym trybem, dwunastu innych, nie mniej okazale, lecz już odmiennie ubranych. Damy wprowadzające jednych i drugich, ściągnęły swoje taśmy, pozostawiając rycerzy w szrankach; — same weszły na amfiteatr, otoczone orszakiem usługującej im młodzieży. Wówczas rozpoczęła się walka. Występujący w niej rycerze, rozwinęli w dniu tym najwyższą zręczność, i dowiedli nieporównanej wytrwałości. Bój rozpoczął się o godzinie 3ciej z południa, a skończył późno w noc przy rzęsistych pochodniach, które rozdano między widzów, otaczających szranki turniejowe. Po skończonej walce, damy odprowadziły rycerzy do zamku w sposób, w jaki ich były przywiodły; a wspaniała uczta przy stole otwartym dla każdego, kto chciał wnijść do zamku, po niej zaś spiewy, muzyki i tańce zakończyły tę uroczystość, głośną w dziejach Sabaudyi.

Amedeusz syn hrabi Zielonego, równy jak jego ojciec pozyskał rozgłos wyprawianemi przez siebie turniejami. Był on obok tego prawdziwie walecznym rycerzem. Roku 1383 poszedł w 700 koni wesprzeć króla Francyi przeciw Flamandczykom i Anglikom. Gdy się znajdował przy oblężeniu twierdzy Burburg, jeden z najcelniejszych podówczas kawalerów angielskich hr. de Hadinton przybył pod osłoną listu żelaznego do francuzkiego obozu i okazał królowi Francyi wyszewkę perłową, którę nosił na sercu, a która przedstawiała dwa gołębie trzymające w dzióbkach łańcuszek; — na nim zaś zawieszony był pierścień z prześlicznym rubi-

nem otoczonym dwunastu diamentami. Król zapytał go, coby znaczyło to godło? Hr. odpowiedział, że księżniczka pewna, równie wielkiego imienia, jak wielkiej cnoty i piękności, ofiarowała mu ten pierścień w dzień nowego roku pod warunkiem, że go nie włoży na palec, dopokąd jej nie przyprowadzi dwunastu młodzieńców równie szlachetnego rodu jak ona, pokonanych dzidą w turniejach lub pojedynkach. Zobowiązanie to, mówił dalej, już niemal wypełnionem zostało; — przychodzi on jeszcze szukać wpośród walecznych hufców, złożonych z czoła rycerstwa francuskiego, młodzieńca, któryby chciał dla sławy imienia swego, życie swoje stawić przeciw jego życiu. Jeżeli, dodał hrabia angielski, uda mu się uzupełnić to zobowiązanie, wolno mu będzie włożyć pierścień na palec, w dowód otrzymanej wzajemności ze strony księżniczki; — gdyby przeciwnie ten dwunasty młodzieniec był jego zwycięzcą, zwycięzca zyska prawo zaprowadzić go jako jeńca do stóp damy, i z rąk jej otrzymać dar, którego on dość bronić nie umiał. Amedeusz stojący przy boku króla, pobladł i zadrżał na te słowa, krew młodociana ścięła się w żyłach jego. „Pozwól mi królu, zawołał, abym ja był tym dwunastym, którego szuka po ziemi twojej dumny hrabia Albionu.“

Pomijamy tu szczegółowe opisy wypadków, które poprzedziły spotkanie się dwóch rycerzy; niemniej towarzyszące im okoliczności uboczne. Król Francyi skłonił się nakoniec do żądania Amedeusza, a chwila ich starcia się oznaczoną została na dzień następny.

Hadinton zawiesił na złotym sznurku pierścień u żerdzi, przy której też stanął, by bronić swego skarbu. Naprzeciw niego wystąpił młody Amedeusz. Obaj kawalerowie zdjęli hełmy, pokłonili się królowi z poszanowaniem, a na-

stępnie zwróciwszy konie ku sobie, natarli na siebie jednocześnie w największym pędzie, z dzidą najeżoną naprzód. Po kilkakrotnem starciu się, hrabia Sabaudyi został lekko ranny, a dostrzegając, że zbytek zapału odbiera mu przezorność i stawia go w niemożności pokierowania lepiej zręcznością swoją, starał on się uśmierzyć ten ogień, i rzeczywiście, wkrótce udało mu się tak straszny cios zadać przeciwnikowi swojemu, że tenże wraz z koniem runął na ziemię.

Amedeusz mógł był łatwo chwycić za pierścień, podczas gdy przeciwnik jego uczuwszy silne wstrząśnienie, z ziemi powstać nie mógł jeszcze; lecz szlachetny młodzian uczynić tego nie chciał. Przeciwnie, kazał on współzawodnika obmyć octem i różanną wodą; a gdy ten odzyskał już siły, kazał mu podać swego konia i rzekł: „Broń się panie hrabio, jeżeli nie chcesz, bym porwał za pierścień". Zaledwie to wyrzekł, a już z taką zapalczywością uderzyli na siebie przeciwnicy, że oba wraz z końmi swemi runęli na ziemię. Podniesieni przez masztalerzy, dosiedli koni świeżych i walczyli aż do nocy z najwyższą zapamiętałością; w końcu hrabia Sabaudyi złamał hrabi Hadinton obojczyk. Anglik uznał się pokonanym; lecz wspaniały Sabaudczyk jeszcze i teraz ze zwycięstwa swego korzystać nie chciał, i pierścienia nie ruszył; — pocieszając owszem przeciwnika słowami pełnemi słodyczy, podziwiał on jego męztwo, jego siłę i zręczność.

Towarzysz hrabi Hadinton, hrabia Arundel chciał pomścić swego przyjaciela na miecze; lecz Amedeusz po krótkiem starciu rozciął mu czaszkę i położył go trupem. Po nim przedstawił się inny jeszcze mściciel Hadintona, hrabia Pembrocke, który wyzwał młodzieńca na młoty. Tu

walka była straszną, zaciętą, długą i niepewną; wreszcie, ciężkie uderzenie w piersi, obaliło Anglika, który nie czuł się już na sile opierania się dłużej. Wówczas Amedeusz kazał sobie podać piękny pierścień diamentowy, zadatek miłości księżniczki angielskiej, żądając od Hadintona, by go ofiarował swojej damie; — zaś jego towarzyszowi Pembrocke zadział na szyję łańcuch złoty, prosząc go, by dar ten przyjął na pamiątkę dnia, w którym tak szlachetnie chciał zginąć za swego przyjaciela.

Przytoczona tu scena, środkująca pomiędzy popisywaniem się i zabawą, a zemstą i pojedynkiem, prowadzi nas do innych scen tego rodzaju, przedstawiających już w całej nagości boje prywatne, tak powszechne w wiekach, w których wypadki powyższe czerpaliśmy.

Na lewym brzegu burzliwego jeziora Neuschatel stoi na wysokiej górze wspaniały zamek Grandsonów. Po przeciwnej stronie i więcej ku północy panuje okolicznej równinie zamek równie okazały Stavayów. Nazwiska te wspólne są tym dwom miejscom i zamieszkującym je znakomitym rodzinom. Grandsony potomkowie jednego z najdawniejszych szczepów hrabstwa Vaud, byli także najpotężniejszym w okolicy domem, tak przez związki familijne, jak przez własne społeczne stanowisko. Stavayé zajmowali niższe nieco miejsce, lecz mimo to niemniej poważanymi byli w ojczyźnie swojej. Jezioro przedzielające ich posiadłości, mniej silną między nimi stanowiło granicę, niż rozdzielająca ich, rodzinna, wzajemna i odwieczna nienawiść. W chwili, o której mówimy, naczelnikami tych rodzin byli: Otton de Grandson i Gerard de Stavayé. Otton nienawidził nieprzyjaciela swego tą spokojną nienawiścią, która towarzyszy zwykle wielkim, silnym i wspaniałym; — Gerard

przeciwnie czuł z dniem każdym rozżarzający się w sercu swojem ogień zemsty, może dlatego głównie, że zemsty tej zaspokoić nie mógł. Pomiędzy przyczynami tej jego nienawiści, było podejrzenie, słuszne czy niesłuszne, obrażonego honoru małżonka. Żądza zemsty drażniona poczuciem pewnej niższości społecznej, tak dalece rozpalała serce Ottona, iż zdawało mu się, jakoby było rzeczą niepodobną, ażeby oba pod jednem żyć mogli słońcem; tylko śmierć sąsiada przywrócić zdołałaby spokój jego domowi i jego rodzinie.

Przypadek zrządził, że Amedeusz VII panujący na Neuschatelu, umarł w największych cierpieniach w skutek niezręczności lekarza, a raczej awanturnika, który mu był przyobiecał przywrócenie włosów na jego ołysiałej głowie. Umierając oskarżał on lekarza, mieniąc go sprawcą swojej śmierci i polecił, by go wzięto na tortury; bowiem przypuszczał, że lekarz przejeżdżający był nasłanym na jego otrucie. Rodzaj okropnych cierpień jakie znosił Amedeusz przede śmiercią i plamy ciemne, które wystąpiły na jego trupie, usprawiedliwiały poniekąd to podejrzenie. Mimo to Otto Grandson, z kolei godności pierwszy w kraju po zmarłym panującym, przeświadczony wewnętrznie o niewinności Granvilla (było to imię lekarza) nietylko nie polecił go uwięzić, lecz nadto uwolniwszy go z rąk dwóch paziów, którzy go byli przytrzymali przez przywiązanie ku swemu panu, pozwolił mu osiąść w dobrach swoich. — Głos powszechny nie podzielał przekonania Ottona; przeciwnie śmierć Amedeusza sprawiła wielkie wrażenie pośród mieszkańców Neuschatelu, gdzie dobroć jego i jego waleczność wysoko ceniono. Obywatelstwo miejscowe z żalem i z obu-

rzeniem szukało śladów morderstwa; zewsząd dochodziły głosy wołające o karę ziemską i pomstę niebios.

Bona de Bourbon, matka zmarłego księcia, nalegała ze swojej strony na wyśledzenie i ukaranie winnych. Skutkiem tego Lompes, aptekarz nadworny, skazanym był na śmierć za sporządzanie recept Granvilla. Powleczono go na miejsce stracenia przywiązanego do ogona oślicy, kupionej od żydówki. Lompes był rzeczywiście niewinnym. Lekarz Granville przerażony tą srogością uszedł do Burgundyi, gdzie go jednak wkrótce schwytano, a mimo najokropniejszych cierpień jakich tam doznawał w torturach, zaparł uroczyście uczyniony mu zarzut i zaprzysiągł niewinność swoję.

Głos publiczny poszukujący ciągle pierwszych przyczyn śmierci Amedeusza skierował się stopniowo ku Ottonowi Grandson. Postępowanie jego nie mogło rzeczywiście nie obudzić podejrzeń, a podejrzenia te wzrastały szczególniej w okolicy, której zdawał się panować swoją dumą i nieprzystępnością. Dostrzegłszy to, udał on się do króla Francyi, do książąt Bourbon, Orleans, Berry i Bourgogne, których też przekonał w poufnej rozmowie o zupełnej swojej niewinności.

Gdy to się działo, odwieczny nieprzyjaciel Ottona, Gerard Stavayé ubolewając szczerze nad śmiercią Amedeusza, pocieszał się z drugiej strony nadzieją zemsty, której chwila zdawała się wreszcie nadchodzić; — widział on już zupełny upadek rodziny, zatruwającej od lat tylu domu jego stosunki. Pierwszy raz w życiu uczuł Gerard tę gorzką pociechę zemsty, obok której żadne inne uczucie ostać się nie może. Wszakże obawiając się potęgi Ottona, a obok tego czując, że zemsta jego o tyle tylko nasyconą być może, o ile upadek tamtego stanie się jego własnem dziełem,

nie przepuścił on żadnego szczegółu, któryby mógł nieprzyjacielowi otworzyć wrota ocalenia. W tym celu poświęcił wszystek czas i wszystkie siły swoje do zbierania wiadomości, do rozszerzania krążących już wieści, do przesadzenia czynów istotnych, i oburzenia ludu przeciw Ottonowi; — słowem, nie zaniedbał nic, cokolwiek położenie przeciwnika pogorszyć mogło. Wkrótce też oskarżenia przechodzące z ust do ust, zwiększając się z dniem każdym, zdawały się nabierać takiej pewności, że w hrabstwie Vaud nie wiele już znajdowało się osób, któreby jeszcze wątpiły, iżby senior Grandson był rzeczywiście sprawcą morderstwa dokonanego na panującym księciu Sabaudyi.

Oskarżenia te, czy potwarze piekielną radością napełniły serce Gerarda; lecz wkrótce dowiedziawszy się, że Grandson uznanym był za niewinnego przez króla Francyi i książąt krwi panującej, wpadł on napowrót w rozpaczliwe zwątpienie. Tryumf nieprzyjaciela wydał mu się jako nowo wyrządzona mu krzywda; — a myśl, że krzywdy tej pomścić nie może, niepokoiła go we dnie i w nocy. Miotany wewnętrzną burzą postanowił wreszcie pojedynkiem wymierzyć sobie sprawiedliwość, której losy odmawiać mu się zdawały.

W tym celu udał się on do Ludwika Joinville, udzielnego pana hrabstwa Vaud, a razem naczelnika prowincyi, i rzekł do niego: „Udzielny książe Joinville! Ja Gerard de Stavayé staję przed tobą, jako przed zastępcą panującego, wielce kochanego i wielce potężnego księcia Sabaudyi i wyzywam przez pośrednictwo twoje seniora Ottona de Grandson. Proszę cię przeto, ażebyś podług zwyczajów i praw kraju naszego, naznaczył mu dzień stawienia się przed sądem twoim, a razem doniósł mu, że w dniu tym

ja Gerard dé Stavayé powiem mu i udowodnię, iż on jako nikczemny zdrajca był powodem śmierci naszego wielkiego, wielce ukochanego i wielce potężnego księcia Sabaudyi, a pierwej jeszcze seniora Ugo de Grandson; że ja to powiem i przytem obstawać będę przeciw niemu, ciało przeciw ciału, w mieście Modon, gdzie rycerskie odbywają się sprawy, a to w obec ciebie panie hrabio, jako zastępcy panującego, i do którego należą sądy nasze".

Hrabia naznaczył 15. października roku 1397, w którym obie strony przed nim stawić się miały. Gerard i Otton stawili się rzeczywiście przed hrabią Joinville, otoczonym wyborem rycerzy i panów okolicznych. Gerard powtórzył wyzwanie uczynione już dawniej i rzucił rękawicę do stóp przeciwnika. Otton przeżegnawszy się głośno rzekł: „Biorąc na świadków Boga, świętą Annę i błogosławiony poczet świętych, twierdzę publicznie że kłamiesz, i że skłamałeś tyle razy, ile razy to powiedziałeś; — zaczem w obec mego seniora, tu obecnego hrabi, bronić się będę w sposób jaki on uzna za właściwy, i nie wątpię, że mi Bóg pozwoli tak się sprawić, aby honor mój wyszedł cały i nienaruszony; — ty zaś jesteś i zostaniesz kłamcą!" To wyrzekłszy sir Otto rzucił także rękawicę.

Książe Joinville kazał ustąpić obu zapaśnikom, a po krótkiej naradzie z otaczającem go rycerstwem, potwierdził żądany pojedynek, oznaczając dzień na jego odbycie. Gerard kładąc obie ręce pomiędzy dłonie jednego z marszałków Sabaudyi, przysiągł, że się stawi święcie na dniu oznaczonym, a nadto dał jako zakładników dwunastu młodzieńców szlacheckiego rodu, którzy powtórzyli po nim jego przysięgę. Otton Grandson uczynił to samo, poczem hrabia ogłosił następujący wyrok: „My hrabia na hrabstwie Vaud,

zająwszy krzesło trybunalskie i położywszy przed sobą pisma święte, a to w celu iżby wyrok nasz pochodził od Boga; — niemniej wezwawszy Jego święte Imię i czyniąc znak krzyża świętego w słowach: w Imię Ojca i Syna i Ducha świętego amen, wyrzekamy i stanowimy, a Bóg użyczy nam wsparcia swego, ażeby spotkanie się rycerskie rostrzygnęło tę sprawę, i aby każdy ze stojących w tej chwili przed nami panów, uczynił co będzie w mocy jego, iżby Bóg mógł okazać, po której stronie jest słuszność. Na ten cel oznaczony dzień 7. sierpnia godzinę ranną, na równinach pod pałacem naszym, wewnątrz ogrodzenia, które tam przygotowanem zostanie. Rycerze stawić się mają na koniach okrytych siecią żelazną i w pełnej zbroi, to jest, z dzidami równej długości; — każdy mieć będzie dwa oręże i po jednym puginale, w rodzaju jaki mu się podoba, dla wypełnienia obowiązku swego jak przystało na szlachcica. Nie stawiający się w dniu oznaczonym, zapłaci 1000 marków i ogłoszonym będzie za winnego".

Dnia 7. sierpnia, zaledwie się okazało pierwsze światło słońca, a już wszystkie ulice miasta i jego place napełnione były tłumami ludzi przybyłymi z różnych okolic, chciwymi tego rodzaju widoku, i tym więcej ubiegającymi się za nim, że sądy ognia i miecza, już coraz rzadszemi się stawały. Sztukmistrze gromadzący się zwykle na turniejach i pojedynkach osób znakomitych, nie mogli ani znaleść dość miejsca wśród tłoku, ani zająć sobą uwagi skierowanej gdzieindziej.

Naokoło poręczy okrążających plac bitwy, umieszczono szesnastu heroldów, wielkich mistrzów w sztuce rycerskiej. Każdy z nich trzymał w ręku ozdobny pręcik dla przegrodzenia nim walczących, gdy tego uzna potrzebę. Po jednej

stronie kręgu wznosiła się loża pokryta zielonym aksamitem; — dalej nieco od poręczy krążył na czele oddziału jeźdźców Bonczani, jeden ze znakomitej rycerskiej szlachty, a którego obowiązkiem było utrzymać porządek i wymierzyć każdemu sprawiedliwość. Po długiem oczekiwaniu, nadjechał wreszcie na wspaniałym i bogato przystrojonym koniu młody książe Joinville, w płaszczu złotolitym. Księżniczki sabaudzkie ubrane również w złote materye; tudzież wiele dam i dostojników dworskich towarzyszyło mu konno. Skoro książe zajął przygotowaną dla niego lożę, uderzono w trąby; lud się rozstąpił po dwóch przeciwnych stronach, a otworami temi wjechali dwaj zapaśnicy. Okrążywszy stępo i poważnie plac boju, następnie skłoniwszy się księciu, a po nim damom siedzącym na amfiteatrze, stanęli naprzeciw siebie i utkwili dzidy w ziemi, oczekując hasła do boju.

Młody Gerard, który pierwszy raz w życiu znalazł się w tak uroczystem zgromadzeniu, gdzie też wszystkie oczy zwrócone były na niego, nie mógł z razu zataić pewnego zmięszania; — lecz wkrótce odzyskał przytomność umysłu, a usłyszawszy trąbkę dającą już znak do natarcia, nie widział nic przed sobą prócz kochanka swojej żony; zadrżał z wściekłości, i nie doczekując by trąbka ucichła, spiął całą siłą ogromnej postawy i okazałości rumaka, uderzył pędem na Ottona, i nim ten oczekując końca sygnału, mógł się przygotować do odparcia ciosu, przeszył mu pancerz dzidą, której grot wyszedł po przeciwnej stronie ciała. Otton padł nie walcząc. Krew zalała miejsce na którem stał, krzyk żałośny powstał między paniami na trybunach, a szmer różnoznaczący między ludem, zdawał się podawać w wątpliwość dobrą sprawę zwycięzcy. Wielu z tych co dotąd wierzyli w niewinność Ottona, zwątpili o niej po

jego upadku; — inni mówili: Bóg i święta Anna chcieli, by Gerard zginął, nie jako sprawca śmierci Amedeusza, lecz jako kochanek Katarzyny Stavayé. —

Spojrzyjmy teraz na turnieje wyprawiane w Polsce, które tu nosiły także nazwy szermierstwa, igrzysk rycerskich, zapasów a nawet gonitw. Jakkolwiek Słowianie w ogólności, a mianowicie Polacy, byli po wszystkie wieki wielce wojowniczym narodem, mimo to, rozrywki i popisy tego rodzaju nie przeszły żywcem w nasze narodowe zabawy. Zostawiając ludziom powołania wytłómaczenie przyczyn, dla których Polska, przyjmująca wiele urządzeń zachodnich, nie przylgnęła do tych zapasów z namiętnością, jaka cechowała w tej mierze szlachtę zachodnią, przypuścić możemy, że rozrywki te już przez to samo, iż były tylko rozrywkami, a nadto powstałemi z odmiennych usposobień ludów szczepu romańskiego, które między innemi przechowały tradycyjne upodobania do igrzysk, cyrków i amfiteatrów, nie zupełnie przystawały do naszych obyczajów i do naszego trybu życia. Obowiązek i ciągła a chętna gotowość do bronienia kraju od napadów wielostronnych, utrzymywały praojców naszych w nieprzerwanych igrzyskach; zaś nie długie chwile spoczynku, spędzali oni w łonie swoich rodzin, w swoich domach, do których niemniej silnie wiązało ich życie religijno-patryarchalne.

Rzadko w dziejach naszych trafiamy na opisy igrzysk, a nadto, opisy te są bardzo niedokładne. Najświetniejsze zabawy tego rodzaju, twierdzi Maciejowski, dawane były na dworze Zygmunta Augusta. Głównem zaś znamieniem igrzysk naszych, różniącem je od turniejów zachodnich było, iż podczas gdy tam pewne tylko osoby, za poprzedniem rozpoznaniem ich godności, udział w nich brać

mogły; u nas wolno było każdemu wystąpić z tłumu, i wezwać każdego w szranki. Przejdźmy do szczegółów.

Jurga książe na Bełzu, lennik rzeczypospolitej, korzystając z nieobecności króla Ludwika, przesiadującego jak wiadomo w Węgrzech, napadał ziemie okoliczne, rabował, uprowadzał ludność, a nawet zajął kilka warownych zamków. Ludwik wezwany przez Polaków, przybywa z oddziałem wojsk węgierskich, łączy go z polskiem, i oblęga Bełz, bardzo silną podówczas twierdzę. Jurga widząc po pierwszych natarciach, że się w niej utrzymać nie zdoła, żąda od Jagiełły, dotąd jeszcze tylko księcia litewskiego, posiłków; ale Jagiełło, nie uznając złej sprawy księcia bełskiego, wysyła do niego stryja swego Kiejstuta, polecając zgromić jego wiarołomstwo, a razem przebłagać króla i panów polskich. Rzeczpospolita przyjmuje to upokorzenie się Jurgi, i zostawia go przy lennictwie; zaś Kiejstut uradowany pomyślnie odbytem poselstwem, wyprawia na błoniach pod Bełzem igrzyska, w których wzięli udział Węgrzy, Litwini i Polacy.

Były to gonitwy wozowe, pomiędzy dwoma linami, wyciągniętemi w linii prostej, w połowie której na stronie, urządzono wyniosłe siedzenie dla króla, tudzież dla innych węgierskich, litewskich i polskich dostojników, między którymi zasiadło także wiele pań okolicznych. Na jednym końcu tej linii umieszczono metę; na drugim stały wozy czterokonne, które o palmę zwycięstwa ubiegać się miały. Sędziami obrano jednozgodnie hetmanów wojsk polskich i węgierskich, Sędziwoja i Huniata, którzy też w pełnej zbroi, konno i z oznakami godności swojej zajęli przygotowane dla nich miejsce obok mety. Dwanaście było wozów, przeznaczonych do biegu; należały one do rozmaitych rycerzy

polskich, litewskich i węgierskich. Były to wozy zwykłe, silnie zbudowane, przykryte na prędce kobiercami lub inną bogatą materyą. Na niektórych wznosiły się tarcze, herby i tym podobne ozdoby.

Podług kolei oznaczonej przez hetmanów, wozy biedz miały po dwa naraz, w parach, tak jak oni je ustawili. Na znak zgody i zapomnienia urazy i krzywdy, w pierwszym zawodzie umieszczono Jurgę, a współzawodnikiem jego był Marcin Zaręba ze Sławska. Młodzieniec ten pełen ognia, stojąc na wozie nakształt Rzymianina, i docinając silnie młode i szalone jak on rumaki swoje, wyprzedził ostrożniejszego księcia na Bełzu, i już się zbliżał ku mecie, gdy nagle jedno koło uderza o kamień; woźnica traci równowagę, i pada między konie dyszlowe, które ponad nim przeleciały. Widzowie unoszą skrwawionego, a Mikołaj Zech, wsławiony pod Opawą rycerz węgierski, wjeżdża w szranki, by pomścić przyjaciela swego Zarębę.

Jurga staje znów naprzeciw mety; konie jego pokryte pianą i robiące bokami, niepomyślny wróżyły koniec tym powtórnym wysileniom. Lecz szczęście dnia tego było przy nim: wóz Zaręby nie wytrzymał nadzwyczajnego pędu po błoniach nierównych; łamie się on w tylnej osi, Zaręba spada; konie jego wolnieją, a Jurga staje zwycięzcą u mety.

Wkrótce występują dwaj inni zapaśnicy; jednym z nich był Skirgello, którego wóz ciągnęły cztery żmudzkie, znane dotąd z wytrwałości mierzyny; drugim Ostroróg, który powodował czterema dzikiemi ukraińcami. Zatrąbiono — wyruszają, z obojej strony widać najwyższe wysilenia, lecz napróżno: konie trzymają się ciągle w linii frontowej, jak gdyby szły szykiem bojowym. Już dolatują razem do mety,

gdy Ostroróg trafia na krzak głogu. Jedna chwila, bo tylko chwila okrążenia krzaku, zerwała dotychczasową równowagę. Skirgełło wyprzedza Ostroroga o pół konia, i odnosi drugą palmę zwycięstwa.

Pomijamy te szczegóły, mniej więcej tej samej natury, towarzyszące biegowi innych wozów. Dnia następnego rycerstwo popisywać się miało konno na kopje i oręże. Gdy już król, hetmani i wodzowie zajęli miejsca swoje, ukazał się w szrankach Lubard książe na Łucku, brat Kiejstuta, na dzielnym koniu, uzbrojony, jak zwykł był stawać do boju. Naprzeciw niemu wjechał niemniej wspaniale Jakób z Koniecpola, wojewoda sieradzki. Za danym znakiem trąby, wypuszczają oni konie naprzeciw siebie; Lubard nie czekając, by mógł już sięgnąć przeciwnika, rzuca w niego ciężką kopję, lecz ta ześliznęła się po stalowej zbroi; Koniecpolski lubo silnie wstrząśniony, dosiedział na koniu, a natarłszy na przeciwnika, zaczepił grotem dzidy swojej o łuski jego naramiennika, i z konia go zsadził.

Wojdyło, chcąc pomścić krewnego swego, wjeżdża w szranki, i nie czekając już, by dano znak do natarcia, chwyta oburącz za ogromny drzewiec kopii swojej, rzuca nim całą siłą w przeciwnika i chybia. Koniecpolski pozostał na miejscu niewzruszony, bo na bezbronnego uderzać już nie chciał.

Sławny siłą, zręcznością i odwagą Zygmunt Palisza, jeden z pierwszych węgierskich rycerzy, był trzecim z kolei przeciwnikiem Jakóba z Koniecpola. Sława Paliszy, pozyskana równie w turniejach domowych jak w wojnie włoskiej, rokowała mu niechybne zwycięstwo. Rodacy powitali go też okrzykiem radości, a on pochyleniem kopii skłonił się dumnie królowi i widzom. Kilkakrotnie obaj

rycerze natarli na siebie bezskutecznie; wreszcie Koniecpolski, strudzony już może zbyt długiem wytężeniem, traci równowagę i spada z konia.

Jak zwycięstwo Paliszy obudziło radość w Węgrach, tak upadek Koniecpolskiego przykre wywarł wrażenie na Polakach. Poglądali oni po sobie, ażali nie znajdzie się szlachcic, któryby powetował to upokorzenie. W tem wśród powszechnego zgiełku, występuje rycerz młody, znakomitego pana syn uboczny, który był przybrał imię Zaprzańca, i to przybrane imię równie męstwem w boju, jak długą a ciężką niewolą tatarską i wspaniałem zrzeczeniem się praw swoich do majątku ojca głośnem uczynił. Zaprzaniec i Palisza uderzają na siebie równocześnie; rzucone przez nich kopje trafiają obie przeciwników, lecz oba dosiedzieli koni swoich. Palisza, bojąc się utracić drogo okupione wawrzyny, zeskakuje z konia, i rzuca rękawicę. Zapaśnicy stają pieszo naprzeciw sobie; zdejmują przyłbice i dobywają oręże; a zaledwie zmierzyli się raz jeden i drugi, noga Zaprzańca plącze się w bujnej trawie, szlachetny a nieszczęśliwy młodzieniec pada; Palisza rozogniony, razi w twarz już leżącego na ziemi!

Zgiełk i oburzenie wielkie powstały w rycerstwie polskiem; szlachta jęła się już do korda; lecz król opuszczając sam krzesło swoje, polecił także rozejść się przytomnym, a tak położył koniec wspaniale rozpoczętym a smutnie skończonym, jak to najczęściej bywało, wyścigom i igrzyskom. Król chcąc prócz tego wymierzyć sprawiedliwość, i uspokoić wzburzone umysły, odsądza Paliszę od stanu rycerskiego na Węgrzech; zaś cierpiącemu niezasłużenie życie całe, zacnemu Zaprzańcowi, daje na własność Piaskową-skałę, wspaniały zamek z przyległościami, który z czasem

przeszedł na rodzinę Wielopolskich, a dziś jest własnością Markiza, który w ostatnich wypadkach warszawskich, głośną odegrał rolę.

Turnieje, a raczej gonitwy powyższe, urządzone zostały na prędce i w czasach, którym obcemi jeszcze były pomysły wytworniejsze. Jakkolwiek one przeto miłemi być nam mogą już przez to samo, że są cząstką dziejów naszych, zaledwie przecież zasługują na nazwę igrzysk, obok tych, które odprawiano poźniej przy koronacyach i zaślubinach królów, lub innych znakomitych dostojników. Ażeby dać wyobrażenie o tych ostatnich, opiszemy tu w skróceniu zabawy, wyprawione z powodu zaślubin Zamojskiego z synowicą Stefana Batorego.

Pomijamy dzień pierwszy i drugi wesela, zatem wspaniały obrzęd ślubny, mowy, uczty, toasty, tańce i zabawy w rozległych pokojach zamku urządzone, bo te nie wchodzą w obraz, który skreślić zamierzyliśmy. Dzień trzeci przeznaczonym był na walki i widowiska pod gołem niebem. Wyprawiono je w rozległem podwórzu zamkowem, gdzie wszystkie okna, przystrojone w kobierce i jedwabie, zajęte były już to przez rodzinę i świtę królewską, już też przez innych znakomitych gości. Panie i panny jaśniały bogactwem i wspaniałością stroju narodowego. W środku podwórza i na wyniesieniu zasiedli sędziowie, którzy odznaczającym się nagrody rozdać mieli. Wszystkie miejsca próżne zapełnione były ludnością miejską; dachy nawet zaległa młodzież miejscowa, bowiem nikomu nie wzbraniano uczestnictwa w tych uciechach.

Około godziny 3. z południa zeszedł na podwórze król z nowożeńcem, a królowa z panną młodą; za tamtymi postępowali senatorowie i szlachta, za temi ich żony i córki·

Przywitani okrzykiem życzeń, zajęli przygotowane dla nich miejsca, a gdy się już wszystko uciszyło, uderzono w trąby. Z dwóch przeciwnych bram zamkowych wjechały konno dwa oddziały łuczników, złożone z młodzieży szlacheckiej, która walcząc niedawno przy boku Zamojskiego przeciw Moskwie, nabyła sławy, a dziś męstwem swojem popisać się pragnęła przed królem i kobietami. Broń też tych rycerzy nie była bronią używaną w turniejach na zachodzie; drzewiec ich kopji był grubości ręki, a grot na niem osadzony zaostrzono jak do boju. Na piersiach mieli pancerze, na głowach przyłbice z podniesioną kratą; na lewem ramieniu tarcze skórzane, ozdobione herbem Zamojskich i innemi godłami.

Za danym powtórnie znakiem, rycerze nacierając na siebie, rzucili niemal jednocześnie, każdy na swego przeciwnika, ogromną kopię z taką zręcznością, że wszystkie trafiły w tarcze, i to w miejsce odpowiadające położeniu serca. Jeden tylko Grudziński otrzymał ciężką ranę w prawem ramieniu, ale rana ta nie powstrzymała go od dalszej walki, tembardziej że Zamojski dosiadłszy konia, dodawał ducha jednym i drugim i sam ich obrotami kierował. W ciągu dalszej walki na dzidy i pałasze, koń pod Dobkiem raniony został w szyję. Zamojski zsiadł ze swego i darował go Dobkowi z całym bogatym rzędem i ustrojem. Gdy to się działo, jeden z heroldów przystrojony po etyopsku, wjechał nagle na plac boju, wstrzymał dalsze natarcia, i prosił sędziów o przyznanie nagrody tym, których tego godnymi uznają.

Zaledwie ustąpili zapaśnicy, pojawił się widok innego rodzaju. Mikołaj Wolski miecznik koronny, przyjmował u bram zamku króla Maurów, otoczonego wspaniałym orsza-

kiem murzynów. Na czele orszaku okazała się Polska przedstawiona przez kobietę stojącą na złocistym wozie, i opartą o trzy dzidy; z których dwie obrócone były grotami do góry, jedna do dołu. Tamte oznaczały gotowość do boju; ta pragnienie pokoju, jak to objaśnił napis: „*rectis belli pacisque consiliis.*“ Na ramionach dziewicy polskiej unosił się orzeł biały, jakby wzbijający się do lotu; jej skronie uwieńczone były bluszczowym liściem, tworzącym cyfry królewskie. Za nią postępował oddział jeźdźców maurytańskich, z czarną twarzą i kruczym a najeżonym włosem. Pokryci oni byli siecią drucianą, po której spadały wieńce uwite z powoju. Dalej posuwał się słoń ogromnej wielkości, wybornie naśladowany, a z wieży wystawionej na jego grzbiecie, wylatywały co chwila ognie sztuczne w rozmaitych barwach i kształtach. Za słoniem szły jeszcze żywe wielbłądy kosztownie przystrojone, a cały orszak zamykał drugi oddział jezdzców maurytańskich, podobny do początkującego. Obraz ten przesunął się wspaniale przez podwórze, i wyszedł bramą przeciwległą.

Dalszem widowiskiem przedstawionem przez Mikołaja Zebrzydowskiego, starostę Stężyckiego, był Saturn złotego wieku. Jego wóz majestatyczny ciągnęły geniusze skrzydlate; białe po prawej stronie, czarne po lewej. Po nad całym orszakiem unosiło się niebo, do którego geniusze te przyczepione były łańcuchami, tak że zdawało się, jakoby w powietrzu wisiały. W środku wielkiego wozu siedział na wyniesieniu Saturn długobrody z rozrzuconym włosem na głowie, trzymając w ręku ogromną kosę. Poniżej niego z tyłu i z przodu, stało po dwanaście dziewcząt, trzymających napisy godzin dnia i nocy. W przedniej części wozu wznosiła się na kolumnie wielka kula ze złotej blachy,

przedstawiająca wiek złoty na ziemi polskiej pod panowaniem Batorego.

Trzecim atoli obrazem, byli Jowisz z Minerwą, siedzący obok siebie na wyniosłym i nader wspaniałym wozie, otoczonym obłokami, które kunsztownie naśladowano z niebieskiej, rzadko roztrzepanej wełny. Wóz ten, u którego zamiast kół, obracały się cztery kule, przedstawiające bryłę ziemską, ciągnionym był przez trzy czarne woły, któremi powodował Stanisław Miński, znakomity obywatel Mazowsza i twórca tego obrazu. Minerwa siedząca po lewej stronie, trzymała w lewej ręce egidę; Jowisz po prawej, trzymał pioruny, któremi miotał nieustannie. Na kolanach piastowali oboje białego orła w gnieździe, przedstawiając tym sposobem mądrość i potęgę, cechujące podówczas rzeczpospolitę polską. Za tym wspaniałym rydwanem bożków panujących, postępowało pieszo czterech Satyrów, naśladujących wyśmienicie postacie, pod jakiemi ich pojmowali starożytni.

W pewnem oddaleniu za tym obrazem, szedł sam jeden rycerz starożytny. Był to mężczyzna ogromnej postawy, uzbrojony od stóp do głowy. W lewej ręce trzymał tarczę, przedstawiającą pośród narodowych kolorów niewinność i nadzieję, to jest wiarę w dobrą sprawę.

W takiem samem oddaleniu po za nim, postępowała Dyanna przystrojona w zielone jedwabie. Otaczało ją czternaście nimf, także zielonym jedwabiem pokrytych; za niemi i naokoło nich biegało mnóstwo chartów. Cały ten pochód zamykały dwa wspaniałe, a zupełnie przyswojone jelenie. Nimfy przedstawione były przez panny odznaczające się pięknością, zaś Dyanną był młody Stanisław Żółkiewski, którego staraniem obraz ten urządzonym został.

Dalszy oddział przypominał tryumf odniesiony nad Moskwą. Na czele jego posuwała się brama tryumfalna. Na niej stały po brzegach posągi sławy i inne, przedstawione przez żywe osoby; pośrodku był stosowny napis łaciński; zaś na ramionach łuku, wypisane były miejsca znaczniejszych bitew, jakoto: Połock, Wielkie Łuki i inne. Gdy brama zbliżyła się już wprost króla, stanęła przodem do niego, a po pod nię przesuwały się wojska wytwornie przystrojone; ich broń wszelka była złocistą. Na czele szli trębacze; za nimi rozmaite oddziały jazdy; dalej rozmaita piechota. Z tyłu tych wojsk prowadzono wozy napełnione zdobyczą wojenną i rynsztunkiem używanym w Moskwie; poza niemi szła służba dworska, niosąca złoto i srebro w rozmaitych postaciach.

O kilka kroków dalej, jechała, stojąc na niskim, płaskim a szerokim wozie, dziewica uwieńczona wawrzynem. Podłoga wozu przedstawiała mapę Europy, a nogi dziewicy opierały się o miejsce, gdzie był napis: „Moskwa“. Za nią jechali konno trzej bracia, wojewodzice Słuccy, którzy ten pochód tryumfalny urządzili, ubrani jako rycerze rzymscy. Skoro się już znaleźli wprost króla, złożyli u stóp jego koronę bluszczową, a jeden z nich powiedział mowę, w której wymienił jego wielkie dlá ojczyzny zasługi, a razem upewnił go o wiecznej narodu wdzięczności.

Gdy pochód poruszył się z miejsca, ujrzano dwukołowy wóz tryumfalny ciągniony przez cztery białe, bogato przystrojone rumaki. Wóz ten zadziwił wszystkich swoim ogromem i okazałością. Na jego wyniesionym przodzie stał orzeł biały; wewnątrz łucznicy strzegący znakomitych jeńców, a za nimi dziewica, trzymająca w jednej ręce złotą koronę, w drugiej kłosy pszenicy. Tył wozu zamknięty

był trzema strzałami, odpowiadającemi trzem rodowościom rzeczypospolitej. Od grotów tych strzał spadały trzy łańcuchy, krępujące za paszczę potwór niezgody.

Za wozem postępowało mnóstwo jeńców płci obojej, rozmaitego stanu i wieku. Kobiety niosły lub prowadziły dzieci; mężczyźni mieli ręce powiązane na plecach. W pośród nich uwijał się śmieszek, urągając się pokonanym, a zalecając ludzkość zwycięzcom. Ten pochód tryumfalny zamykało liczne grono doborowych muzyków i śpiewaków z uwieńczonemi głowami, poprzed któremi szła służba paląca obficie najwyszukańsze kadzidła.

Przedostatnim obrazem był bożek miłości, chłopczyk złotowłosy, nagi, z kołczanem na plecach, siedzący na wyniesieniu urządzonem w środku wozu, który ciągnęło sześć koników skrzydlatych. Naokoło bożka siedziały lub leżały dziewczęta lekko przykryte i nucące tkliwe pieśni. Orszak ten urządził młody Ocieski syn kanclerza koronnego.

Ostatnim wreszcie obrazem była bogini piękności, posuwająca się na dwóch muszlach. Trzymała ona wieniec cnoty, który złożyła w ręce panny młodej.

Po tym ostatnim obrazie rozrzucono między lud mnóstwo medalików srebrnych, odbitych na pamiątkę tej uroczystości. Tu wszystko się poruszyło z miejsc swoich; zgiełk i uśmiech zadowolenia wśród tłumu, a pochwały sypiące się z ust pań i panien, były nagrodą trudów podjętych przez młodzież pragnącą uczcić wielkiego króla i wielkiego żołnierza-obywatela.

Igrzyska zakończyły się już późno w noc i przy pochodniach. Zgromadzenie rozeszło się na wezwanie heroldów, a dzień następny i ostatni poświęconym był uczcie

i rozrywkom pokojowym, które równie jak poprzednie, nie wchodzą już w zakres opisów naszych.

Jest rzeczą godną uwagi, że gdy na zachodzie i południu turnieje składały się niemal z samych utarczek, i to bronią tępą, Polacy woleli rozrywki innego rodzaju, a mięszając do nich przez naśladownictwo może, rycerskie rozprawy, rozprawom tym pozostawili ich rzetelny, wojenny charakter.

Turnieje ustawać zaczęły w całej Europie w 17 stuleciu; u nas ślad ich zaginął od Jana Kazimierza. Stanisław August chciał je wskrzesić, i wyprawił je przy odkryciu pomnika Jana III, ale były one, powiada Wojcicki, tak podobne do starożytnych igrzysk rycerskich, jak Poniatowski odwagą i sercem do Stefana Batorego. Wszakże znikające już ku końcowi 16 wieku rozrywki i popisy publiczne, nie zmieniły były jeszcze podówczas przyjętego w Polsce trybu wychowywania młodzieży szlacheckiej, której przeznaczeniem było służyć z czasem ojczyźnie radą i orężem. Jak niegdyś młodzież rzymska na forum, tak młodzież polska na domowych błoniach, wprawiała się troskliwie w siłę, zręczność, odwagę i przytomność, wykonywując rozmaite ćwiczenia gimnastyczne. Nie uczyła się ona jak dziś skakać na szczudłach, lub wywracać kozły na linach; gry rycerskie, powiada Kaz. Wojcicki, rej wiodły w jej wychowaniu; ztąd też, są słowa jego, zaledwie pacholę chodzić i władać mogło, już choć dziecinnym szermując orężem, ścinało głowę drewnianym Turkóm w zawojach, zrzucało baranie czapki figurom Tatarów; dosiadało wcześnie koni, nabierając zręczności i siły. Doroślejsza młódź, w pełnym biegu ze siodła, rzuconą czapkę w górę przeszywała strzałami, lub leżącą na ziemi podnosiła ręką. Ciskali (rzucali) topory i młoty hussarskie, a w pędzie

konia w powietrzu za rękojeść chwytali. Trafiali z łuków do kółek zawieszonych, albo kopjami zrywali je w czwale. Piészo przesadzali rowy; w pełnym biegu zeskakiwali ze siodeł; wprawiali się rzucaniem kamieni i kół ciężkich w górę. Takie było ćwiczenie codzienne całej młodzi szlacheckiej w starożytnej Polsce; dodajmy do tego łowy w ogromnych kniejach, gdzie nie dnie, ale tygodnie całe bez dachu, na słocie, zimnie spędzano, a będziem mieli choć przybliżone wyobrażenie tej ustawnej pracy ciała, którą hartowano się, oswajano się ze zmianą powietrza, z niebezpieczeństwem. Z takiej to szkoły wyszli ci rycerze dzielni, o których mówi Orzechowski:

„Nie na burgu (bruku) ale na polu, nie w tańcach ale w szańcach, nie w maszkarze (masce) ale w kirysie, nie na biesiadzie ale na walce gardłują, wiek swój trawią służąc królowi i wszystkiemu królestwu; które nie nogami ku tańcu, ale trąby ku harcu budzą; którzy nie myślą, jakoby się pannie podobać, ale jakoby się z nieprzyjacielem na świtaniu potkać. Tacy byli Sieniawscy, Starzechowscy, Jazłowieccy, Struś, Zamośćki, Tarło, Secygniowski".

Pominąć tu niemożemy jednego jeszcze szczegółu, odnoszącego się także do dziejów naszych.

Przytoczyliśmy wyżej opis pojedynku uważanego jako sąd boży, do którego też upoważniał, a niekiedy nawet go nakazywał na zachodzie, już to sąd złożony ze szlachty, już też panujący, jako najwyższy sędzia w kraju. Sądy te, wypełniające próżnię, której nieudolne jeszcze prawodawstwo ziemskie wypełnić nie umiało, były rzadkiem w Polsce zjawiskiem. Pismo poniższe, którem opowiadania nasze zakończymy, jest podobno jedynym u nas pomnikiem pozostałym po rozprawach tego rodzaju.

„Ceduła, czyli zapis na Sądy Boże między Mikołajem Turskim i Mikołajem Smolikowskim. 1511.

„Czeduła a Zapyss w rzeczy niżej wypisanej między szlachetnymi Mikołajem Turskim ze strony jednej, a Mikołajem Smolikowskim z drugiej strony, tak jakoż to dosyć każdemu z pisma niżej napisanego szerzej jawno będzie.

„Jakoż się przed nas wystąpili szlachetny Mikołaj Turski ze strony jednej, a szlachetny Mikołaj Smolikowski ze strony drugiej, a z tej przye (sporu) i różnicy, która się toczyła między nimi przed nami. Prosili się nas pokornemi prośbami, abyśmy im dworu naszego posprzeli a dozwolili. My słysząc i prośby obopólne, dworu im naszego dozwoliliśmy a posprzieliśmy [1]). A iż się każdy z nich ma zachować przy tej bitwie, co się zbroi, broni, koni, miejsca, dnia i godziny dotycze, wedle tego jako jest na tej wirzanej [2]) cedule niżej dostatecznie wypisane.

„Item zbroje ku bitwie jednej każdej stronie jak to im wydawamy.

„Item przedny a żadny plach [3]) bernyenye rukawy [4]) a schorcz [5]). Item myski plechovicze [6]) a nakolanki, a odkolanka nadół aż do podeszwy ani żadne plechowye [7]) rzeczy ani pancerzowe nie były, jedno nogawice proste sukienne a skornye (buty) proste skorzane i ostrogi. Item co się głowy albo karku, albo szyi dotycze, aby głowa a kark jeden każdy z nich sobie opatrzył plechem a bernieniem [8]) jakoż kto najlepiej módz a umieć będzie. Item broń takową aby przy sobie mieli, naprzód drzewo (dzidy), miecz a tesak to jest kord, a

[1]) Użyczyliśmy? [2]) Wyrzeczonej. [3]) Tylna blacha. [4]) Bernija po starosł. pancerz; bernienie rukawy, pancerzowe rękawy. [5]) Szorc, fartuch skórzany. [6]) Miski blaszane. [7]) Blaszane. [8]) Pancerzem.

żadnej innej rzeczy, bądź to małej albo wielkiej, to jest stpicze [9]) deki, noża...“ Dalej król Zygmunt określa uzbrojenie konia; wreszcie oznacza czas i miejsce odbyć się mającego pojedynku.

Oto krótki, niedość zapewne dokładny, ale, o ile być mogło, wierny obraz igrzysk i pojedynków, które stanowią jednę z cech średniowiecznych pojęć i stosunków. Czasy te, te obyczaje przeminęły niepowrotnie, bo w życiu narodów nic się nie powtarza pod tym samym kształtem i w tym samym kierunku. Zgromadzenia naukowe, polityczne i przedsiębiorcze usunęły zbory szermierzy, a sprawiedliwość wyrozumowana, wciska się coraz silniej w miejsce, z którego rozjaśniony sąd powszechności wyparł dzikie mordy, zwące się sądami bożemi. Reszty tych popędów i tych przywidzeń błądzą dotąd między nami; prawo mocniejszego jest jeszcze najwyższem na ziemi prawem; ono tak długo być niem nie przestanie, pokąd to co jest zbrodnią w życiu ludzi pojedynczych, nie przestanie być cnotą i sławą w zakresie życia państw i narodów całych; pokąd okupione krwi potokami bezpieczeństwo osobiste i wolność osobista pojedynczych ludzi, nie przejdą w prawo zbiorowe, w najwyższy kodeks narodów, odprawiających dotąd igrzyska z ludami, które się stały losu igrzyskiem. Bóg da, i te przeminą.

[9]) Ćpice, proce.

II.

DO.....

(List treści moralno społecznej.)

Opierając się na długoletniem a serdecznem przywiązaniu mojem do Was, przesyłacie mi zadanie, które nie łatwo zdołam strawić i rozwiązać. Donosząc mi, że syn Wasz ukończył właśnie nauki i wkrótce zajmie samoistne stanowisko, żądacie, abym mu udzielił z mojej strony kilka ogólnych uwag, któreby przy wejściu na świat szeroki zwróciły jego uwagę na to, co w nim jest przeważnie uderzającem; któreby zarazem dopomódz mogły w tej długiej a niebezpiecznej podróży. Trudne to, bardzo trudne zadanie. Przebaczcie mi, jeźli z niego wyjdę koszlawo. Czego tu brakować będzie, łatwo sami uzupełnicie; to co znajdziecie zbytecznem, przypiszcie gadulstwu, podeszłemu wiekowi i gorżkim stosunkom, wśród których kończyć go muszę.

W młodszym wieku i swobodniejszem położeniu lubiłem pisywać a nawet drukować dorywcze rozprawki i artykuły treści, o które Wam właśnie chodzi; ponieważ zaś pojęcia i przekonania moje nie zmieniły się w tej mierze, nie odstępując przeto od nich, powiem tu, co byłbym powiedział, lub co powiedziałem rzeczywiście podówczas.

Oto jest zapatrywanie moje na ruch ludzkości wziętej zbiorowo, na przeobrażenia, jakie przechodzi pojedynczy człowiek, równie jak na węzły które go łączą z powszechnością.

Ktokolwiek chociaż raz w życiu poświęcił chwil kilka rozważaniu losów ludzkości, ktokolwiek schwycił myślą, chociażby tylko w głównych zarysach koleje, jakie ona przechodziła w długim wieków szeregu, podziwiać musi potęgę jej niestarzejącego się nigdy życia, pełnego cnót i zbrodni, wielkości i niedołęstwa, mądrości i dziwactw. Przemykający się po tej majestatycznej scenie świata aktorowie, ustępują z przed oczów naszych bez powrotu. przekazując następcom swoim wielkie role, których nikt nie zna początku, nikt nie przewiduje rozwiązania; bo tylko pojedyncze sceny są życiem pokoleń, całość jest nieśmiertelną ludzkością. W natłoku tej okazałej widowni znikają niedostrzeżone jednostki. Niektóre wyskakujące na zewnątrz imiona są raczej piętnem, skazówką, znaczącą w odstępach przebytą podróż, a nie oderwanemi całościami; są soczewką zbierającą rozstrzelone światła, ściśniętym wieku obrazem, wypływem myśli współczesnej. Dlatego pomijając zewnętrzną tej sceny wystawność gladiatorów walczących, jeźli nie już dla zabawy, to dla chciwości lub dumy tych, którzy ich przeżyją, pomijając huk dział i krew pstrzącą jaskrawo okazały życia powszechnego widok, dostrzegamy jeszcze w głębi tej mięszaniny coś, czego okiem nie dopatrzy: myśl towarzyszącą każdej scenie, myśl przodkującą jej ruchowi, ducha pokoleń, wieków cechę.

Na sile ramienia zbudowana starożytność rozpadła się na dwie części: na panów świata i ludzkich niewolników. Przeniosłszy w nadziemskie krainy wszystko, co było podziwu, cześci i żądzy przedmiotem na ziemi, podwoiła potęgę człowieka, wzbiła go ku niebu, spokrewniła z niebem, stworzyła świat olbrzymów, ród półbogów. Zbytek sił, zbytek życia, rozsadza wkrótce tę naprężoną społeczność.

Dzikie, półnagie hordy zalewają świat cywilizowany, depcą uprawioną rolę i jakby wstydząc się sami siebie, niweczą i zagładzają dzieła rozumu, świadka i sędziego swojej dzikości. Wnet noc czarna powleka spłoszoną ludzkość. Zdało się, że się przerwał łańcuch jej życia, i że ta istnienie swoje od pierwszego zaczyna ogniwa. Lecz niebawem ucicha rozchwiana w ciemnościach atmosfera; blade gdzieniegdzie gwiazdy występują na jej horyzont, a zmięszane plemiona poznają w sobie ludzi przy ich świetle. Ludzkość jednak wychodząc z tego zamętu, nie znalazła dróg, po których przeszła wieki przeszłe; zatraciła wspomnienia i pomniki; zaczęła zbierać leżące tu i owdzie odłamy; chwytała za wszystko bez wyboru, co było dawnego życia śladem, lub świeżym pokarmem; zmięszała klasyczną przeszłość z surowem jeszcze przyszłości życiem. Resztki starożytnych praw rzymskich, siła barków rozgęszczającego się w zdobytych posiadłościach Germana, zabytki greckiej kultury, cześć dla kobiet z północnych przyniesiona lasów, wreszcie zasiane przez chrześcianizm miłość bliźniego i litość nad słabym, uczucia nie łączące się z sobą, często sprzeczne, zlały się w jedno dziwaczne pojęcie. Bujna, bo świeżo z przerażenia wyszła wyobraźnia, zmięszała miłość płci ze świętością, krew ze łzami, mordy z miłosierdziem, sprawiedliwość wieczną z trafem ślepym, wolę Boga z przemocą ramienia, ewangelię z prawami Arystotelesa. Cześć religijną przysądziła kobiecie, a rozkołysane na jej łonie uczucia i żądze rozciągnęła do istot niebieskich. Rozprzężona chwilowo ludzkość układa się w stopnie i karby nieznane starożytnym; a łacząc wzajemną zawisłością idące po sobie społeczne pokłady, przygotowuje budowę całości, tę najwyższą a może ostatnią towarzyską pracę. Krótkie jest

życie człowieka; ludzie pragną zamieszkać jeszcze sami rozpoczęte przez siebie gmachy; pospiech rozsypuje niewykończone dzieła, przysypuje rozwalinami łaknących pracowników. Krwi strumienie broczą ludzkość mordującą się nawzajem na chwałę prawd odwiecznych, których nie pojmowała, lub w obronie doczesnych, wprzód nim je sobie wyrobiła.

Tak tedy każdy wiek, wiek nawet chwilowego przejścia ma swój charakter, nosi odrębne właściwe mu znamię, znikające z przed oczów zbyt już oddalonego widza, nie dostrzeżone przez współczesnych, bo obraz jest zbyt wielki, by go można z bliska przejrzeć w całości.

Mówiąc o ludzkości w ogóle, o jej ruchu, postępie, cofaniu się, rozwoju, mamy zwykle na względzie jej męską połowę; bo w niej objawia się siła na zewnątrz, bo widzialne skutki ogólnego pochodu i wielkich przeobrażeń są jej ramienia dziełem, lub urzeczywistnieniem w jej łonie wyrobionej idei. Oto, jak mi się przedstawia cała przestrzeń znanych dziejów świata.

Mówiąc o obyczajach wstępujemy do szczegółów, wchodzimy pod domową strzechę, stykamy się z pojedynczemi wielkiej całości częściami, opuszczamy niejako ludzkość, a widzimy ludzi tylko. Tu, skryta przed wrzawą burzliwego życia kobieta, całą swoję rozwinęła potęgę, i z tego zakątka zasięga, jakby czarodziejską różdżką, najodleglejszych spółczesnych poruszeń. Jużto uważana jako prosty środek zachowania rodu od zagłady, już też wyniesiona nad poziom rzeczy ludzkich, umiała ona zawsze uledz mężnie przeważnej sile opiekuna, tu osładzając mu własną niewolą jego dziką niesforność, tam pożyczonym

z nieba urokiem studząc wrzące jego namiętności, lub budząc uspione jeszcze cnoty.

Uderzającą jest różność usposobień płci obojej. Patrząc na oderwane, pojedynczo stojące jednostki, zdawałoby się, jakoby życie ich z różnego wypływało źródła i po oddzielnej posuwało się drodze; rozwój ich jednak tak ściśle połączony jest z sobą, ich obyczaje, nałogi i uczucia tak zawile wplatają się jedne w drugie, że niekiedy trudno jest powiedzieć, która z nich przeważniej wpływa na drugę. Jeżeli w czasach heroicznych lub u półdzikich plemion kobiety kryją się niedostrzeżone poza wydatnym społecznym ruchem, to występują one naprzód w wiekach Ludwików, przewodzą w rozrzuconych, drobniejszych towarzystwa kołach. W każdym dziejów ustępie zajmują one właściwe sobie miejsce, a obraz któryby nie objął tej rodu ludzkiego połowy, stałby się suchym i martwym, jak suchym byłoby życie bez miłości, wdzięków, uroku i poezyi.

Cóż jest piętnem dzisiejszych społecznych obyczajów? W jakiemże świetle odległym pokoleniom przedstawią się współczesne nam dzieje? Cóż dziś znamionuje mężczyznę? Którejże dziś bogini płeć nadobna wonne pali ofiary?

Senatorowie niezepsutego jeszcze Rzymu przywdziewali togi tkane ręką żon swoich, których życie nie przekraczało domowego progu. Spartanki więcej się pyszniły swoimi synami, niż Spartanie dziełami swemi. Te niepowabne wieki przeszły dla nas bez powrotu.

Piękniejszym zapewne i więcej zajmującym jest widok średniowiecznego życia pełnego przygód, cnót i namiętności. Lecz gdzież szukać owych czytać nieumiejących znakomitości, owych mężów okutych, szeleszczących zdaleka zbroją, noszących miecz przy boku, psałterz pod pachą,

a przepaskę damy u przyłbicy? Zmięszana dziś po miastach ludność, otworem stojące skromne po wsiach dwory, zatarły pamięć warownych, ciemnych i posępnych, na urwiskach skał samotnie zawieszonych zamków. Krzątna domu pani, i śmiała acz skromna, niewinna acz niekiedy zalotna młoda dziewica, odebrały berło owej dumnej, pobożnej, w głębi murów skrytej piękności. Dzisiejsza życia lekkość, poufałość i zaniedbanie, rozstroiły całej przeszłości rygor.

Mężczyzny powołanie i kobiety stanowisko, tak jak cała budowa obecnej społeczności, otrząsającej się z pleśni zastarzałych nałogów, nieżyjącej jeszcze życiem własnem, są wątpliwe i chwiejne. On wymuszony i chromy, ona upstrzona w dziwactwa, dźwigają zabytki różnych przeżytych już wieków, i jakby własnej niemający odzieży, stroją się w niezużyte resztki szat swoich dziadów i babek.

Życie polityczne i cywilne będące nieprzerwanej pieczołowitości ludzkiej przedmiotem, rozwija się szybciej od domowego, lubo tamto na tem wzrastaćby powinno.

Wbrew wrodzonemu rzeczy porządkowi obyczaje zdążają leniwo za ustawą i na niej się kształcą. Obyczaje zstąpiły ze swego wysokiego stanowiska, zostawiając pierwszeństwo rozleglejszym widokom, wydatniejszym celom; dlatego prawami obwarowane u starożytnych, religijnie czczone w czasach kawalerskich, dziś zaledwie zwracają uwagę czyję; wygnane z kodeksów i świątyń, plączą się po powieściach i balladach, lub w cichości kryją się po sercach prawych, zamieszkują piersi nieustudzone, miłujące ludzkość i przyszłość.

Tu oczyszczające się z doczesnej przewagi, przesądów i nadużyć religijne pojęcia; tam człowieczeństwo odzyskujące zadawnione prawa, obudziły spiące przez długie wieki

uczucia swobody; a nadużywając jej imienia, rozprzęgły moralność, jej powagą zagłuszyły uległość, jej świętością wyszydziły świętość. Są to naturalne chwile przejścia, okresy łączące wielkie przeobrażenia. Dziś błądzimy między tem co znikło, a tem co nie nadeszło jeszcze. Zrównani niemal w majątkach, chcemy jeszcze jaśnieć przepychem suzerenów; podciągnieni pod jednolitość praw, odgrywamy rolę dawnych wyłączeń; za leniwi by pracą zdążać za wiedzą wieku i godnym wieku swego ozdobić się wieńcem, świecimy pożyczanym lub kupionym blaskiem. Zamiast uchodzące krótkiego życia chwile łowić chciwie ku umysłowemu wzbogaceniu, zabijamy je przy zielonym stoliku, jedynym pocieszycielu zbyt długo wlekącego się w nieuctwie żywota; lub podobni do półdzikich Germanów, poruczających grze w kostki osobistą wolność, stawimy na kartę nasz honor i mienie dzieci naszych. Uzbrojeni w niedowarzone sofizmata, wyszydzamy wiarę i dobroduszność przodków, a na wzór ciemniejszych jeszcze wieków pojedynkiem rozstrzygamy spory nasze; oddając cześć rozumowi, więcej się wstydzimy lichej odzieży niż głupoty, więcej pracy niż jałmużny.

Każdy wiek zapewne miał swoje dziwactwa, każdy zarywał przeszłości, każdy w przyszłość sięgał; a jeżeli szczegółowe dzisiejszego życia stosunki żadnej właściwej sobie nie noszą cechy, trudno nie przyznać, że wiedza ludzka, że zatem ludzkość cała, szybkim ku doskonałości postępuje krokiem. Przy tym ogólnym rozumowym poważnym pochodzie znikają pojedyńcze wybryki; on porywa tych, co się chcieli o przeszłość zahaczyć; wstrzymuje tych, co pragnęli wyścignąć współczesność; a piętnem pogardy naznaczając ludzi, którzy w wieku ducha pełnym, w wieku

umysłowego życia ciałem tylko żyć umieją, wiedzie człowieczeństwo na to wzniosłe przeznaczenia swego stanowisko, gdzie w pełni dostrzeżona prawda oddzieli stanowczo człowieka od zwierzęcia, i całą jego potęgę w jego umysłowej skupi połowie.

Na wstępie listu tego prosiłem Was o pobłażanie i przebaczenie mi gadatliwości, tej zwykłej podeszłego wieku przywary. Co do syna Waszego, widzę ztąd, jak serdecznie ziewać zaczyna, ale mnie to nie odstrasza wcale. Niech sobie wyobrazi, że już zasiada w radzie gminnej lub powiatowej, na sejmie lub w sądzie przysięgłych, na posiedzeniu towarzystwa rolniczego lub na zebraniu ludowem. Tam napotka większych odemnie gadułów; a jeżeli siedząc z nimi twarz w twarz, przyzwoitość każe mu się wstrzymać od ziewania, to ja nie wzbraniam mu bynajmniej tej ulgi i pociechy. Więc idę dalej; a mam nie mało jeszcze do powiedzenia.

Życie człowieka w stanie przyrodzonym uważane, da się rozłożyć na dwie potęgi: pierwsza budzi w nim ruch, to jest właściwe życie, — jest zatem bodźcem działalności jego; druga ruchowi temu nadaje pewny kierunek. Pierwszą jest potrzeba, czucie, imaginacya; drugą sąd, a niekiedy instynkt. Cnota, to jest, obowiązek względem innych, jest już tylko dziełem sztuki, zatem wypływem społecznych stosunków. Stopień i rodzaj wykształcenia, stanowi o stopniu rozsądku; moralne zaś, to jest uczuciowe urobienie serca, rozwija właściwą cnotę, i pierwszę z dwóch danych potęg podciąga pod wpływ drugiej.

Bez pragnienia człowiek byłby bezczynnym i martwym; bez rozsądku czyniłby źle i dobrze bez różnicy; bez cnoty

byłby myślącym głazem, pustelnikiem wśród zaludnionego świata.

Trzy te siły rozwijają się w człowieku koleją w jakiej je powołałem. Pierwsza najwięcej fizyczna objawia się przeważnie w pierwszej zaraz młodości; druga rozwija w miarę doświadczenia i nabytej wiedzy; trzecia jest zwykle przypadkowym tylko wypływem drugiej, rzadko oddzielnej nauki nabytkiem.

Dwie pierwsze mają zaród wrodzony; istnieją przeto, acz w rozmaitym stopniu zawsze i wszędzie; trzecia jako dzieło społeczne jest zmienna i tak różna, jak różne są postacie i warunki społeczeństw istniejących; zkąd pochodzi, że co jest cnotą w jednym dziejów okresie, może być występkiem w drugim. Pierwszę tak silnie zakorzeniła w nas natura, ze ku rozwinięciu jej człowiek dopomagać nie potrzebuje. Druga jest owocem wysokich wysileń, niemal wyłącznym wychowania celem. Trzecia najwięcej zaniedbana, rozwija się prawie sama, i o tyle, o ile sprzyjające towarzyszą jej okoliczności.

Edukacya nie zaniedbuje wprawdzie tej trzeciej towarzyskiej potęgi; uczymy się na pamięć nazwisk i definicyi wielu cnot i wad; wiemy jakie z nich płyną korzyści i straty; jakie obowiązki wkłada na nas życie społeczne; ale to wszystko kształci dopiero nasz sąd; jest więc jeszcze dalszym ciągiem, rozwoju drugiej potęgi rozsądku, nie sięga trzeciej, bo nie wprawia naszej woli; — możemy pojmować co jest dobre, a przecież złe czynić. Aby cnota towarzyszyła czynom człowieka, musi ona stać się jego nałogiem, musi się zlać z jego naturą; naturę zaś człowieka urabia praktyka wspartą teoryą; żadna sucha teorya nie nauczy rąk rzemiosła, serca nie ułoży do cnoty.

Cnota, uczucie obowiązku względem innych, kształci się w nas pośrednio tylko. Wspólne życie szkolne uczy młodzież stosować się do drugich, uledz niekiedy drugim, poświęcić coś ze swego dla drugich. Późniejsze stosunki, zawisłość wymuszona, praca każda wymagają panowania nad sobą, znie walają do porządku, uczą cierpliwości, prowadzą zatem do cnót, nie założywszy sobie celu tego. Cnoty społeczne rozwijają się przeto dziś w towarzystwie ludzkiem o tyle, o ile bez oddzielnego usiłowania, bez oddzielnej nauki, bez praktyki podobnej do tej pod jakę inne nauki podciągamy, rozwinąć się mogą.

Utrzymują niekiedy, że umysłowe wykształcenie wystarcza do wykształcenia serca zarazem. Nie widzimyż codziennie umysłowo wykształconych zbrodniarzy tryumfujących bezczelnie, lub uchodzących za cnotliwych przez to tylko, że czynom swoim umieli zręczny nadać kierunek; obejść cnotę, zamiast ję znieść na przebój, i innym blaskiem przyśklnić to, co prostak i nieuk na publicznej wykonywa drodze? Widzimy też nieraz ludzi uczonych bez obyczajów; ludzi pięknie rozumujących, a złe prowadzących życie; liberałów w teoryi, a despotów w praktyce. Te sprzeczności wydatniejsze są w epokach i u ludów, gdzie całą troskliwość wykształcenia do wiedzy ludzkiej, a zaniedbanie strony uczuciowej, naprowadziło na mylny domysł, jakoby nauki przyczyniły się do zepsucia. Przytaczają nam statystyczne podania mające udowadniać, że gdzie lud umie czytać i pisać, tam mniej bywa zbrodni. Nie wiem, o ile twierdzenia te okazałyby się prawdziwemi, gdybyśmy zestawili kraj nasz z innemi krajami; ale przyuściwszy że tak jest istotnie w ogóle, to jeszcze twier-

dziłbym raczej, że gdzie się lud uczy, tam jest byt lepszy, a gdzie byt lepszy, tam rzadsze występki.

Do cnót ułożyć można serce, jak układamy rozum do nauk; równie można na drodze praktycznej urobić uczucia, jak urabiamy rozsądek; do cnót człowiek ma talenta równie jak do nauk. Do przyjęcia umiejętności urabiamy stopniowo pojęcie; do przyjęcia cnót urabiać należy wolę człowieka; lecz do urobienia woli wprawa tylko prowadzi, bo tylko przez wprawę człowiek nad sobą panować się uczy.

Wykształcenie moralne, zakorzenienie cnót, jest rzecz najwyższej wagi dla pojedynczych ludzi i dla ogółu. Bez niej znika cała wartość ciała i umysłu. Ułożenie ciała jest mechanizmem; pragnienia serca przejmują niepokojem, trawią życie człowieka; umiejętność sama ma coś suchego, zamyka się wewnątrz nas samych, zostawia niezaspokojone uczucia, cnotom tylko towarzyszy pokój, swoboda, pewność samego siebie i wewnętrzne zadowolnienie; bo celem cnoty jest szczęście powszechne, a przyczynienie się do niego jest najmilszem prawego serca uczuciem.

Jak u kobiety tak u młodzieńca w wieku środkującym pomiędzy dzieciństwem a dojrzałością, uczucie jest duszą rzetelnie ludzkiego jestestwa. W rzędzie rozlicznych uczuć, miotających wewnętrznem życiem człowieka, najgorętszem jest miłość, najspokojniejszem przyjaźń. Pomijam pierwszę, bo ta wciska się sama, często niestety przedwcześnie i nieszczęśliwie; o drugiej słów parę.

Nie masz współczucia, któreby wyżej ceniono, a przecież niema wyrazu, któryby z większą lekkomyślnością wymawiano jak przyjaźń. Przyjacielem nazywamy człowieka, który przez zacność i ludzkość przyniósł nam pomoc w da-

nym razie; przyjaciołmi nazywamy tych, którzy stając się nam usłużnymi, bez kosztów i narażenia jednają sobie życzliwość, poważanie, dobre imię; przyjaciołmi wreszcie są ci także, z którymi spędzamy chętnie chwile wolne, bo ich sąd o rzeczy, ich stopień wykształcenia, ich stanowisko odpowiadają naszym, a tem samem pożycie z nimi przyjemnem nam czynią.

Starożytni nie wierzyli w przyjaźń prawdziwą, przenieśli ją poza ziemskie życie, ubóstwili w Kastorze i Poluksie; oni w nię wierzyć nie mogli, bo u nich kobieta była własnością, poddanką, niewolnicą. Kato zapożycza żony u przyjaciela, by silnego ojczyźnie zostawić potomka; mnogość sług, koni i żón jest dotąd na wschodzie znamieniem bogactwa, i godności. Chrześcianizm postawił kobietę na równi z mężczyzną, a cywilizacya przyznała jej wyższe nawet stanowisko we wszystkiem, co jest ozdobą i uprzyjemnieniem towarzyskiego pożycia. Kobieta jest przedmiotem miłości, ona też, i ona tylko może być źródłem przyjaźni.

Miłość jest uczuciem gwałtownem, palącem, ona jest niepokojem i walką uczuć wszystkich, ona jest natężeniem, a natężenie trwać nie może długo; — miłość musi osiągnąć cel ulubiony, lub zgaśnie brakiem sił własnych; jej ostatnim celem jest małżeństwo. Cel osiągniony jest szczytem, po za którym wyprężenie wolnieje, ogień gaśnie, miłość utraca swoje cechy, ona musi zmienić swoję naturę, lub rzucić się w ostateczność przeciwną: ona musi stać się przyjaźnią lub nienawiścią.

Radbym, aby syn Wasz uwierzył w tę prawdę tak święcie, jak ja w nię wierzę; radbym aby uwierzył, że przyjaźń prawdziwa, wzniosła, nieograniczona, tu tylko istnieć

może; ona jest przedłużeniem i płodem miłości. Na próżno szukałby jej gdzieindziej.

Harmonia uczuć i pociągliwość wzajemna nie wystarczają do skojarzenia przyjaźni prawdziwej; ona nie zna wyrazów: „moje i twoje“; ona nie postanawia nigdy: „to powiem, a to zataję“, — bowiem jak dwoiste jest istnienie człowieka żyjącego ciałem i duchem, tak dwoista wspólność łączyć musi przyjaciół rzetelnych i niezmiennych. Tej dwoistej wspólności szukałbym także napróżno gdzieindziej.

W miarę jak miłość stygnie, osłabiona własnem wysileniem, rozgaszcza się przyjaźń; w miarę jak tamta płowieje, ta coraz głębsze zapuszcza korzenie. Ta jedyna na świecie przyjaźń, jest także jedynem na świecie szczęściem; szczęściem prawdziwem jak ona, dośmiertnem jak ona.

Nie zkądinąd pochodzi, że podczas gdy w małżeństwach młodych śmierć unosząca jedno z dwojga, rzuca drugie w stan rozpaczliwy, łamie jego siły, rozstraja duszę,— śmierć unosząca jedno z dwojga w małżeństwie starem ale szczęśliwem, zapuszcza w to, które pozostało przy życiu krople trucizny powolnej, zanurza je w smutku cichym, otacza kirem żałoby, która już nie spadnie z niego.

Tam naprężenie żalu jak naprężenie miłości długo trwać nie może; niezaspokojone jeszcze pragnienia osieroconej połowy szukają wkrótce nowego uczuć swoich celu; tu osamotniony wygląda spokojnie, ale w głębokiej tęsknocie chwili, w której ślubem wiecznym odnowi rozerwane śluby na ziemi; bo przyjaźń prawdziwa — pozwólcie mi powtórzyć — jest tylko jedna na świecie; ona powstaje tam, gdzie przed nią stała miłość prawdziwa, gdzie była wspólność uczuć, myśli i istnienia.

Dziwaczejący w wieku podeszłym ludzie stanu wolnego, nie znali nigdy wolności ani szczęścia, dlatego też ich znamieniem są dziwactwa i samolubstwo. Niech syn Wasz umie wybierać, a stanie się szczęśliwszym od wielu szczęśliwych pozornie.

Tu nie mogę się wstrzymać od zrobienia uwagi, stojącej jakoby w sprzeczności z tem, co powiedziałem wyżej; sprzeczność ta jest tylko pozorną. Kto zwiedził pół świata tak jak Wy i ja, nie pocztą i koleją, ale pieszo i na wozie, — nie ze stolicy do stolicy, a z hotelu na operę, ale z miasta na wieś, a ze wsi do miasteczka, ten nie mógł niedostrzedz, jak podrzędne stanowisko w towarzystwie niemieckiem zajmują żony kupców, rolników, przemysłowców, urzędników. Kto tego sam nie widział, ten żywy obraz tych stosunków napotkał w listach z Drezna Kraszewskiego, i w wielu innych opisach. U nas rzeczy ustawiły się zupełnie przeciwnie.

Podczas gdy Niemcy przechowują może zbyt długo obyczaje Germanów Tacyta, my od dwoch wieków przerzuciliśmy się w „kawalerstwo“ średniowieczne, lubo to nie istniało u nas nigdy. Żony Niemców nie biorą zwykle żadnego udziału w ważniejszych sprawach rodzinnych i majątkowych, ich przeznaczenie rozwija się w granicach ich domowego zajęcia. Nasze Polki przeciwnie stają najczęściej u steru spraw wszelakich; ich wola jest ustawą, ich upodobania sądem najwyższym; zaś strona uczuciowa podstawą, na której się rozwija ich działalność. Pod wpływem tych gibkich usposobień niema kierunku wyrozumowanego; — synowie pielęgnowani macierzyńskiem sercem nawykają do rozrywek przesyconych, zachcianek bez „granic, lekceważenia wszystkiego, — próżniactwa; później-

szem następstwem tych nałogów są marnotrawstwo, zepsucie i nędza. Córki, których niemal wyłącznem zadaniem są muzyka, taniec, gadatliwość i biała ręka, wychodzą z domu nie pojmując obowiązków żony i matki, lub prowadząc dalej rozpoczęte dzieło. Te nasze społeczne i towarzyskie słabości i przywary przedłużają się z pokolenia w pokolenie, niszczą pojedyncze rodziny, dopomagając potężnie do zagłady przygotowanej zdawna i zewsząd.

Na rozległem polu stosunków towarzyskich i społecznych występuje jeszcze mnóstwo różnorodnych uczuć w kierunku dodajnym i ujemnym, z których jedne pozostawiają niezatarte ślady w głębi duszy, inne rozpływają się stopniowo w zobojętnieniu, inne jeszcze kupią się, zlewają i tworzą pewne uczucie mętne, często niedość wyrozumowane, które też sympatyą lub antypatyą nazywamy.

Nie ma dwóch uczuć bliższych bezpośredniego zetknięcia się jak sympatya i antypatya; — zawiedziona miłość przerzuca się w nienawiść, zdradzone zaufanie podaje rękę zemście.

Ale podczas gdy przyjaźń, miłość i sympatya usypiają rozkołysane serce, rozlewają w niem balsam pokoju i zadowolnienia, — nienawiść, zemsta i antypatya odbierają mu sen gwałtownem wszystkich pulsów biciem, a znużonemu szepcą do ucha: czuwaj, bo wróg wlepił w ciebie oko niepewne!

Słodki uśmiech na ustach, lubość w głosie, niedbałość w ciele, niemoc w wilgotnem i rozlanem oku, zwiastują miłość, rozczulenie, sprzyjanie, sympatyę; — nienawiść rozwartem i pełnem ognia patrzy okiem, donośnym i chrapliwym odzywa się głosem, kurczy w nas nerwy i naprzód wysuwa ciało.

Tamte skłonniejsze są do uścisków, te do walki; tamte do słów, te do czynu; tamte chwytają za pióro, te za oręż.

Sympatye budują tryumfalne bramy zwyciężonym, miękką muzyką rozkwilają i niewieszczą serca swoich przyjaciół, wznoszą modły za pomyślność sprawy, której upaść dozwoliły, pokarmem ciała chcą osuszyć łzy płynące z komórki, w której bije życie narodowe; antypatya ku wspólnemu wrogowi rozżarza się ogniem pokrzywdzonego, udzielając mu siły swojej w zamian; skąpa w słowach uściśnie dłoń jego siłą, pod którą kość trzeszczy; milczy czarta milczeniem, bo celem jej jest czyn. Ucieka ona od żalów, fleta i struny, bo lubi tylko duet: huk i szczęk. Gdy tamta w salonach ozdobionych w orły, chorągwie i trofea wypróżnia szumem napełnione kielichy, ta wzywa na ucztę piekielną, gdzie zemsta jest pokarmem, krew napojem, a grzmoty dział kapelą bankietu.

Sympatyą przejęte ludy Archipelagu płakały nad losem braci swoich w Atenach, gdy hordy Daryusza zalały równiny Maratonu, jednak w pomoc im nie przyszły; ale wstręt od jarzma Azyi przerzucił na pola bitwy pędem błyskawicy sąsiedniego Lacedemonu falangi.

Wlokły się przez pół wieku zastępy krzyżowców na oswobodzenie ziemi świętej, łupiąc po drodze sympatyzujące z nimi narody; ale ziemia święta pozostała w ręku tych, którzy ją antypatyą zdobyli.

Nie sympatya dla cesarza Francuzów, ale rozpacz i niewymówiona nienawiść ku ciemiężcom wiodła do cudów męstwa zastępy polskie pod Sommosiera i Wagram, nad Nilem i Berezyną; i tam jeszcze, gdzie mgła nadziei zni-

kła do szczętu. Czas miękkiej i płaczliwej sympatyi przeminął; narody idą do dzieła.

Zkąd nie ma obawy, tam jest obojętność, lub sympatya; jedna łatwo przeradza się w drugę. Niebezpieczeństwo jeży włos na głowie, krew przez skórę sadzi i spędza ludy w kupę jak trzodę przed napaścią wilka. Tu nie przydadzą się, przez góry i morza wędrujące echa sympatyi; tu ja—to ty, a bez ty—nie ma my; razem lub żaden, wszyscy lub nikt.

Ludy Europy są chorowitem ciałem, bo mu gangrena toczy lewą rękę; precz z nią! A my? — my plemię słowiańskie wzrośliśmy w środku, tam gdzie leży pancerz, a pod nim bije serce; my jesteśmy piersią Europy. Powiemyż kościom ojców naszych, powstańcie z tej ziemi i przyjmijcie chrzest nowy; przestałyście być kościami Słowian. Nie! lecz jeśli nas rzucą czołem do ziemi przed nowem bóstwem, chrzest ten pójdzie poza nas i stanie tam, gdzie szumią nurty Odry, Elby, Sali i Dunaju; tam pod grobami plemion napływowych śpią popioły nasze.

Wszakże źródłem najgwałtowniejszych uczuć człowieka mogą być równie błędy jak prawdy; prawdy głębokie, błędy wielkie, błędy w sądzie o czynach osób innych, jak błędy popełnione w czynach własnych; zaczem tak sądem o ludziach i o ich sprawach, jak każdym innym sądem kierować powinny: spokój duszy, wykształcenie, bezstronność, umiejące z mrówiska fałszu, błędów i przesądów wygrzebać nieliczne prawdy, odróżnić prawdy od pozorów. O szczególe tym pisałem kiedyś. Pozwólcie bym to zapatrywanie moje przedłożył tu synowi Waszemu.

W pocie czoła twojego, powiedziano, utrzymywać będziesz życie twoje; — w pocie tylko czoła twojego, do-

dajmy, dochodzić będziesz stopniowo do poznania praw rządzących światem, i prawdy, która ludźmi rządzić powinna.

Tysiące lat w przekonaniu ludzi słońce obracało się około ziemi, a przecież nie było zamiarem Stwórcy, uczynić wieczną dla nas tajemnicą zależność ziemi od słońca. Ruch słońca jest pozorem, kołowanie ziemi prawdą, którę zdobyto wieków mozołem. Czem jest zbiorowy rozum ludzkości względem ruchu ciał niebieskich, tem jest rozum dziecięcia względem gościńca umykającego pod kołami bryczki, lub brzegów rzeki umykających przed czółnem. Do poznania prawd wielkich, powszechnych, prowadzi dojrzewanie narodów; do potocznych, szczegółowych, dojrzałość szczegółowa ludzi, którzy się spotykają z niemi; lecz rozum zbiorowy i nieśmiertelny ludzkości lub narodu, jest treścią urobienia pojedynczych rozumów.

Gdzie dojrzałość pojedyncza i powszechna nie urobiła się jeszcze, tam przenikliwość zastępuje rozum: Cyrus zostaje królem, bo pierwszy dostrzega wschodzące słońce. Dowcip jest rozumem, gdzie jeszcze nie ma rozumu.

Gdzie jeszcze nie ma wytrawnego pojęcia i sądu, tam traf ślepy rozstrzyga spory, traf ślepy jest bóstwem sprawiedliwości; pokąd człowiek nie zrozumie co jest słuszność, miecz, ogień i woda są ziemskim kodeksem kryjącej się jeszcze poza ziemią prawdy. Dojście powszechne do poznania praw powszechnych, to zagłada ognia i miecza, więzień i szubienic, wojen i zaborów.

Nie brak wysokiego rozumu jest nieszczęść źródłem, bo to co nie istnieje, nie może być siłą działającą; — źródłem nieszczęść jest nierozum, zajmujący miejsca próżne, a on zająć je musi, bo *natura horret vacuum*,

nauczali fizycy do niedawna. Nierozum jest szkodliwszym często od niegodziwości; przeciw niemu nie ma broni odpowiedniej, środka właściwego. Rozum nie wyjdzie tu zwycięsko, jest szablą odskakującą od skóry nosorożca; bo nierozum wierzy w pozory, i wciąga innych w pozory, które czas dopiero odsłania i niszczy.

Prawda i pozór prawdy istnieją w środkach jak w celach. Ministrowie Elżbiety, chcąc upowszechnić w Anglii używanie wełny, nakazują, by każdy umarły obwiniętym był w płachtę wełnianą. Lekarz Ludwika IX. wiesza go za nogi u powały, by wydobyć przez usta pokarm, którego żołądek strawić nie mógł. Dwaj sąsiedzi po trzydziestoletnim sporze przed trybunałem piotrkowskim, usypują kopiec graniczny, i w zakład wiecznej zgody wieszają na nim żyda *in perpetuam rei memoriam*. Nie ulega wątpliwości, że środki te nie przeszły bez skutku: w Anglii zniszczono mnóstwo płacht wełnianych; — Ludwik wyzdrowiał rzeczywiście; — a granicę, którę śmierć żyda uwieczniła, pokazują zapewne dziś jeszcze mieszkańcy miejscowi; — lecz jestże równie niewątpliwem, że środki te były środkami właściwemi, i że to, co było prawdą w oczach ludzi XII. ub XVI. stulecia, jest nią w obliczu praw odwiecznych.

Experiamur in corpore vili, mawiali mędrcy swego czasu, sprawdzając rzeczy wątpliwe na żyjącem ciele; *tous les moyens sont bons*, twierdzą dziś ludzie partyi, gdzie idzie o dopięcie celu. Tamtym towarzyszyło przeświadczenie godziwości środka i celu; u tych godziwość stoi na zewnątrz zadania, bo pozór zajął miejsce prawdy.

Gdzie pojęcie nie sprostało prawdzie istniejącej bez nas i mimo nas, tam jest słów niedostatek; — gdzie jest rzeczy niedostatek, mimo że istnieją pewne pojęcia, tam

się pojawiają słowa bez znaczenia. Jedno i drugie jest pozorem: pierwsze widzimy w opowiadaniach ludu niedość pojmującego to, co dostrzega; drugie w pismach ludzi, którzy nie zgłębili tego, co pojmować zaczęli. Nim w odradzającej się Europie, powiada Chateaubriand, pojęto prawdziwą poezyę, zastępywano wzniosłe myśli napuszonemi wyrażeniami: mleczne zimy morze, zielone łąk warkocze, ogrodowe kobierce, łzy wiosennego poranku. Gdzie skutkiem przyrodzonych usposobień plemion i klimatu, twierdzi Klaczko, sztuka przyjąć się nie mogła, tam jeszcze brak sądu o niej, zdradzają wyrazy wyszukane a puste: tęczowe blaski tonów, atłasowy pociąg smyczka, perłowatość lub szablistość układu w muzyce; w malarstwie przechodowe tony, i szum w powietrzu.

Znamieniem jasnego pojęcia prawdy jest prostota, godność i pokój; kto jej należycie nie zgłębił, ten łowi myśli oderwane, splata je ognistemi wykrzyknikami, porywa części, nie mogąc unieść całości. Tam siłą działającą jest praca sumienna, twarda lecz cicha; tu pozór nauki obwlekający klejonką uczuciową wewnętrzną czczość i próżnię. Prawda wielka, rzetelna, wypływa z głębi, i wciska się głęboko lubo zwolna; pozór, istność zewnętrzna uderza na zewnątrz; — tamta wrasta w człowieka nazawsze; ten zdmuchują wiatry przeciwne; — prawda głęboka trafia na ludzi trudnych, zimnych lecz głębokich; pozór prawdy na płytkich, łatwych, powierzchownych; tam rzecz trwa dłużej niż ludzie; tu ludzie żyją dłużej niż ich dzieła; — prawdy wieczne jaśnieją jak słońce; znikome są elektryzujące błyskiem piorunów.

Pięknie brzmiące ustawy nie są jeszcze sprawiedliwością; formalność prawna nie jest wymiarem słuszności;

obrządek nie jest jeszcze religią, ani mowa ludu językiem narodu i oświaty, bo kształt nie zastąpi rzeczy. Nabożniś nie jest człowiekiem pobożnym; rozrzutny nie jest dobroczynnym; burda nie jest walecznym, ani ustępujący z drogi trwożliwym; — zagorzalec nie jest patryotą, niwelator liberalistą; bo co przyparło do ostatnich krańców, zwrócić się musi w kierunku odwrotnym. Nie ludzie wynaleźli miary i wagi; one istnieją w świecie powszechnym, w prawach bożych, a odbiciem miary świata fizycznego w świecie ludzkim, jest umiarkowanie. Co nie ma miary i umiarkowania, nie ma granic; istność bez granic nie dopuszcza nnych obok siebie; ona jest bóstwem w świecie powszechnym, despotyzmem w świecie ludzkim: jednobóstwem i jednowładztwem. Gdzie pojawami życia są ostateczności, tam społeczność nie zrosła się w jednę całość, lub już rozkładać się zaczyna.

Uczucie, nauczał alegorycznie któryś z filozofów greckich, mieszka w mózgu, a rozum w sercu; rozum i uczucie wspierać się muszą nawzajem, by człowiek stał się człowiekiem zupełnym. Rozum przemagający nad uczuciem jest sądem zimnym, uczucie głuszące rozum, jest namiętnością; — rozum stanu steruje losom wielkich narodów; namiętność, uczucie niezawisłe, podżega burze domowe w rodzinach i narodach. Rozum u ludzi wyższych jest płodem ich nauki; namiętność u ludu jest następstwem jego nieuctwa.

Kilku pijaków z Samos zbezcześciło trybunał Eforów; — nazajutrz trybunał ogłasza wyrok, że Samojczykom wolno jest być pijakami. Eforowie pchnęli ludzi głęboko zepsutych ku ostatnim krańcom, zkąd już tylko zwrócić się mogli; jedynie dotarcie do ostatnich krańców ocucić

może ludzi, którzy zapomnieli, że w świecie bożym, tylko sam Bóg nie poddał się miarze.

Boże daj, powiada Rousseau, w radach udzielonych Polakom, by sumienie stało się najwyższym waszym sędzią, straszniejszym niż piekło, łaskawszym niż niebo. Sumienie, to prawość jednostkowa, stojąca w związku z prawem odwiecznem, z prawdą nieśmiertelną, powszechną; — brak sumienia, to bunt przeciw prawom bożym, to spotwarzanie prawdy, pozorem prawdy.

Jak zobojętnienie nie jest jednością, a jedność następstwem odrętwienia, tak ubóstwianie lub poniewieranie życia, czynów i dzieł ludzi znakomitych, nie jest warunkiem i znamieniem życia i ruchu. Dwojaka, powiada Machiawel w historyi florentyńskiej, jest niejedność, tak jak dwojakie są wpływy ludzi znakomitych: jedni służąc pospolitej rzeczy, bez względu na pojedynczych, są silnymi siłą zbiorową; — inni schlebiając pojedynczym, lub sypiąc między nich dary, tłumią dobro pospolite, przemijającemi osób słabościami; — tamci mogą, są jeszcze słowa jego, wywołać różność opinii, ci tworzą fakcye, niezgody; fakcye wspierają lub gnębią człowieka; różność opinii wyświeca sprawę; — tu, dodajmy, jest prawda, tam pozór prawdy; dary ujmują ludzi zepsutych, słowa namiętne chwytają za serce młodzież.

Młodzież uniwersytecka, powiada Boerne (Briefe aus Paris), ubiera się tu skromnie, pracuje szczerze, szanuje starszych, ustępuje z drogi przechodniom; lecz gdy nadejdzie chwila czynu, jest pierwszą tam, gdzie śmierć w oczy patrzy! Nasi bursze w palonych butach, magierkach nakształt zera, i z pałką w ręku, przeobrażają się dla chleba jak motyle, wypełniając bióra najmniej popularne i ścigając

dawnych towarzyszów. Czas zaciera pozór prawdy, gdy fałsz krył się na dnie; czas prostuje błędy, bo czas jest najwyższym prawdy trybunałem.

Prawda jest żywiołem życia, pozór prawdy nosi w łonie swojem śmierci zaród. Społeczność stać tylko może na prawdzie rozwijającej się w różnorodnych kierunkach, pod wpływem rozmaitych nauk; a jak u istot organicznych, uważanych same w sobie, każda cząstka ich zbiorowego organizmu jest warunkiem istnienia i rozwoju całości; tak się kojarzą, przelatują i wiążą wszystkie odrębne i niezawisłe na pozór towarzyskie ruchy, zlewając się w jednę ogólną całość, w ten rozległy i niedość jeszcze zgłębiony organizm, który życiem społecznem nazywamy, w którym toną pojedynczy ludzie i ludy, który wiekową przeszłość z poźną spokrewnia przyszłością.

Na dnie życia społecznego, jak na dnie oceanu, jest prąd posuwający się zwolna, ale ciągle i w kierunku nakreślonym palcem Przedwiecznego; — na powierzchni życia społecznego jak na powierzchni oceanu występują fale, wiatry się zmieniają, burze mącą pokój i prądu siłę. To życie zewnętrzne jest życiem dziennem; a ów prąd nieprzystępny zmysłom jest ciągiem dziejów ludzkości i narodów. W jednem i drugim tkwić musi prawda, lub pozór prawdy, bo fałsze jawnie nie przyjmą się nigdzie; — tamto jest żywiołem ludzi pływających po wierzchu; zrozumienie tego jest rzeczą nauk głębokich, odpowiadających głębokości zadania.

Lud zaniedbany w krajach uorganizowanych, miłuje tylko swoję ojcowiznę, a jego towarzyskie uczucia nie przechodzą poza granice jego gminy. Tatar i Arab nie przywiązany do grzędy ojców, miłuje dziką niezawisłość. Pa-

tryotyzm jest tu i tam obcem uczuciem, bo patryotyzm ma własne istnienia warunki; on zapuszcza korzenie w narodową przeszłość, a oddycha oświatą wieku; — gdzie korzenie wężują po wierzchu, tam burze grożą obaleniem; gdzie szczyt nie sięga wysokości współczesnej atmosfery, tam duszno i ciemno, tam jest ubóstwo i niemoc; a potężni szanują tylko potężnych, słabych poniewierają i depcą. Głęboki i wzniosły patryotyzm to głęboka i wzniosła oświata; oświata rzetelna, to rzetelna siła, to prawda nieprzeparta, której nie zastąpią, śkniące pozory.

Wszystko na ziemi rośnie ku słońcu, ku światłu, wszystko się pnie ku swobodzie oddechu; bo bez jasności i swobody nie ma życia organicznego ani wśród niemej przyrody, ani wśród wielomownej ludzkości; a jak jedno jest słońce w przyrodzie, tak w życiu narodów jedna musi być prawda naczelna, niezachwiana, istniejąca bez nas i mimo nas. Ludzkość posuwa się ku niej; dlatego im głębiej wstecz, tym wydatniejszem jest życie jednostek, tym więcej osobistości i drobnienia: drobnienia pojęć, praw, bóstw i ludów; — im dalej wprzód, tym więcej jedności myśli, pracy, uczuć i czynu. Stopień zbliżenia myśli, pracy i uczuć jest miarą społecznej siły i miarą zbiorowej dojrzałości. Dzieje świata są pełne wojen, prześladowań i niezgód domowych, rozniecanych w imię prawd niezliczonych, prawd sprzecznych, wojujących między sobą; — lecz jakże mało jest chwil wielkich, w których prawdy podrzędne i wątpliwe zgasnąć i zamilknąć musiały; chwil przedstawiających okazały widok zbratania, zapomnienia uraz, zrzeczenia się próżnostek i korzyści osobistych, a nawet przemilczenia wad pojedynczych w imię prawdy naczelnej, świętej, wiekuistej. Gdzie prawdy drobne głuszą prawdę naczelną, gdzie osoby

występują w miejsce rzeczy; gdzie dążności szczegółowe stopić się nie mogą w dążność ogólną; tam jeszcze trwają dzieje dawne; tam istnieją istoty organiczne, lecz nie ma zbiorowego organizmu.

Dziwnem zapewne wydaje się synowi Waszemu, że człowiek którego ulubionem zajęciem jest nauka gospodarstwa społecznego, rozprawia Bóg wie o czem, a pomija szczegóły, odnoszące się do niej bezpośrednio. Więc przechodzę na to pole.

Pojawiające się coraz częściej we wszystkich pismach naszych rozprawy o przemyśle, handlu, finansach, są także jednym z dowodów, że każdy okres dziejów ludzkości, ma pewną myśl, pewną dążność panującą, która wyprzedza inne, rozpościera się szeroko, i przodkuje wszystkich ludów usiłowaniom, jak daleko przedrzeć się może, i pokąd jej odległe następstwa jej pierwotnego nie zwichną kierunku. Przemysł i przedsiębiorczość są cechą wieku naszego, a ich pochód ostatnich lat kilkunastu przeszedł najśmielsze przewidzenia.

Żelazne koleje, telegrafy, para, cuda nieznane przeszłości całej, niesłychany dotąd ruch myśli i czynu, rozwój wiedzy i pracy, zdaje się przebijać państw granice, jak je niegdyś dzikie przełamywały hordy; mięszają ludy, równoważą ich potrzeby, wiodą wszystkie ku wielkiej przyszłości; a to tak łatwo i tak szybko, że dziadowie nasi nie poznaliby już świata, na którym zostawili swoje wnuki.

Ten ruch nowy może nam być miłym lub przykrym, ale przeto niemniej jest prawdziwym. Wolno jest czcicielom ideału, potępiającym tak zwany materyalizm, rzucać klątwy na świat, w którym sami wygodnie żyją; świat ten

posuwa się bez nich i mimo nich, oddala ciągle od lacedemońskiej polewki, Scytów kobylego mleka, zamków średniowiecznych wysłanych słomą, od uczt zeszłego stulecia bez widelców i serwet, od głupoty, pijatyki i panegirystów, przy których usnęło wszystko co poprzedziło wiek dziewiętnasty. Byt materyalny narodu, jest jego oświaty wypływem; oświata nie przyjmuje się w nędzy; połączenie bytu i oświaty jest główną moralności publicznej rękojmią. Prawdy te zajęły już niezachwiane stanowisko w umiejętnościach społecznych, i tylko nieprzewidziane wstrząśnienia zwichrzać je mogą w odległej przyszłości. Syn Wasz musi pojąć te urobione już prawdy, zgłębić je, przejąć się niemi, by mógł iść wraz z resztą ludzkości, chociażby z tyłu poza nią, a przecież o własnych siłach.

Jak nauki przyrodnicze, zatem poznanie spraw świata fizycznego, utarły drogę wielkim wynalazkom Watta, Stefensona, Jakobiego, tak nauki społeczne, na których czele stoi gospodarstwo społeczne, wiodą do poznania praw rozleglejszych jeszcze; bo wiodą do pojęcia tego harmonijnego związku, który tkwi w dwoistej naturze ludzkiej, który łączy w pojedynczym człowieku jego organizm cielesny z jego duchową potęgą, a pojedynczego człowieka wplata w żywot ludzkości całej. Umiejętności te są młode; ich rozwój nowożytny, nie sięga daleko poza nasze czasy; one się nie rozłożyły jeszcze wśród ludów, w łonie których powstały, one są zaledwie z imienia znane pośród nas. Zwabić je ku sobie, odsłaniać ich strony więcej zajmujące, oswajać czytających z ich pojedynczemi prawdami, jest to pięknem zadaniem, jest to zasługą krajową; bo biada ludom, u których to co uprzyjemnia, odpycha

wszystko co jest rzetelnie wzniosłem, użytecznem, rzeczywistem.

Moralność, oświata i byt, oto rozległe pola stojące otworem usiłowaniom naszym; moralność wrosła w serce człowieka jego wyrobionem przekonaniem, — oświata rzetelna, praktyczna, wyższa od tego zewnętrznego blasku, który po salonach razi oczy niewprawne, a budzi litość myślących,—byt materyalny, nieodstępny towarzysz oświaty i moralności, oparty na pracy i umiarkowaniu, byt odpowiadający siłom istotnym; zatem nie ten co świeci wysileniem i omdlewa wewnątrz, by jaśnieć pozorem i żyje dziś, by umrzeć jutro; — moralność, oświata i byt zakorzenione u góry, schodzące do niższych warstw społecznych po drodze wytkniętej rozumem, względnością, pobłażaniem, przykładem, — podnoszące tych co są u dołu, bez zniżania tych, których traf ślepy wyżej nich postawił: — oto rozległe pole, wzniosłe i pocieszające zadanie, oto cel, do którego dążyć winniśmy i do którego dojść możemy. Niechaj syn Wasz nie jednę chwilę wolną poświęci rozmyślaniu tej natury, a stanie się użytecznym kraju obywatelem.

Gdzie ten ruch raz powstanie, tam narastają szybko siły społeczne; kraj taki budzi poważanie zagranicą, i ufność w stosunkach przemysłowych; wszystko w nim żyje, wszystko się posuwa, a im dalej wprzód, tem szybciej i tem łatwiej. Jakież są środki, by raz wejść na tę drogę? Prawe chęci, i żelazna wola.

Następstwem tych cnót obywatelskich, zatem następstwem rzetelnego patryotyzmu jest narastanie zasobu społecznego; bo zasobem społecznym jest wyrób dwóch połączonych potęg ludzkich: wiedzy i pracy. Zaczem zasobem

jest nagromadzenie skutków użytecznej a niespożytej pracy ludzkiej, w jakiejkolwiek ona utkwiła materyi, w ziemi, budowli, narządach, kruszcu wydobytym z ziemi i przetopionym bądź na pieniądz, bądź na pierścień. Zasoby są przeto dziełem pracy, kierowanej pewnem wykształceniem, a warunkiem ich tworzenia się jest oszczędzanie, to jest, przewyżka pracy nad spotrzebowanie. W krajach dzikich, nie ma zasobów. Zasobem narodowym jest zbiór zasobów prywatnych, i nic innego być nim nie może. Zaczem idzie, że jak prywatny, tak naród może zużywać cały swój dochód, może zużywać mniej niż dochód, lub więcej niż dochód. Następstwem pierwszego przypuszczenia jest stanie w miejscu, jest zastój polityczny, umysłowy i materyalny;— następstwem drugiego jest ciągły postęp w wykształceniu i w bycie; cofanie się byłoby wynikłością trzeciego.

Gdzie mimo niskiego stopnia oświaty rzetelnej we wszystkich warstwach narodu, gdzie mimo powszechnego wstrętu do pracy mozolnej, gdzie mimo powszechnego braku oszczędności troskliwej a wyrozumowanej pojawia się pewien rozwój, pewien postęp, tam niewątpliwie mienie krajowe narasta w ręku przybyszów i tych co są obcymi w pośród rodaków, tam losy narodu nie zależą od niego, tam powstają bezowocne walki o zasady, tam jest początek rozkładu. Naciskam na te ostatnie prawdy, bo one są groźnemi pośród nas.

W tych kilku okresach, zdaje mi się, objąłem treść rozległego pojęcia zasobów społecznych, pojęcia spaczonego w życiu potocznem przez pieniądze, które nam się wydają głównem bogactwem krajowem, a które niem są najmniej przecież. Gdyby pieniądz był zasobem społecznym, mogli-

byśmy chodzić w łachmanach, i nie umieć czytać i pisać, a przecież tonąć w złocie.

Rzemieślnik odrywa część kapitału przeznaczonego na kupno materyałów, i nabywa za nię narzędzia, bez których wyrabiać nie może, bez których nie może przemienić deski w stół, żelaza w lemiesz; społeczność odrywa część kapitału ogólnego, którego przeznaczeniem jest zaspokajać potrzeby bieżące, lub pomnażać zasoby dawne, i przeobraża ję w pieniądz, będący narzędziem wymiany. I tu i tam narzędzia są uszczerbkiem rzeczywistego zasobu: rzemieślnik zakupuje tylko niezbędne narzędzia; społeczność zaopatruje się tylko w takę ilość pieniędzy, by jej wymiany utrudnienia nie doznały; — rzemieślnik i społeczność wymarliby z głodu, gdyby ich całe zasoby przeszły w narzędzia; lecz gdy wydoskonalenie narzędzi rzemieślnika zmniejsza ich ilość i kosztowność, oszczędza czas i pracę, w społeczności na odwrot wydoskonalenie stosunków społecznych zmniejsza ilość narzędzi, usuwa pieniądze, zastępuje je wiarą, kredytem.

Są to wielkie i niezaprzeczone prawdy, do których wiodą umiejętności społeczne. Wszakże każda inna umiejętność użycza się z większą lub mniejszą łatwością pewnej analizie i syntezie, za pomocą których człowiek dochodzi do poznania części przez pogląd na całość, i do zrozumienia całości przez oswojenie się z częściami. Szczególną własnością nauk społecznych jest niepodzielność ich treści; jest jednolitość całego ogromu, po którym się błąka wzrok niewprawny; — tu widzi odbicia rzeczy nieistniejących, tam nie dostrzega niewątpliwych; ówdzie dopatrzone skutki z obcemi im kojarzy przyczynami. Pieniądze zdają się być bo-

gactwem publicznem, kapitały rzeczą, którę naraz stworzyć można; otworzony kredyt nowym kapitałem; praca przymusowa, najtańszą pracą; rozległość majętności, jej siły miarą; zamknięcie granic obcym wyrobom, wspieraniem domowej pracy; cechy i korporacye, rękojmią udoskonaleń i bezpieczeństwa; a wszystko tak staje jasnem poprzed oczy, tak wydaje się przystępnem pojęciu, że często społeczność uboga w historyków, techników, matematyków i artystów, tylu liczy ekonomików wyrokujących stanowczo i co chwila o wszystkiem co ich otacza, a co jest życia towarzyskiego gałęzią, — ilu ma członków umiejących słuchać i mówić. Życie obywateli i ich pojęcia, pozwólcie bym powtórzył, tak różne przechodziły koleje, jak różne były węzły łączące ludzkość. Zycie Rzymu jaśniało na polu Marsa; życie średnich wieków w kaplicy i na turniejach; życie nowożytne w pracy rąk i umysłu. Ta nowożytna praca rozebrała organizm społeczny; ona go oczyszcza stopniowo ze wszystkiego, co w nim było sztuką lub gwałtem; ona w nim oddzieliła rzeczy wiary od spraw ziemskich; wydobyła pracę z więzów; zrównała ludzi w obliczu ustaw, i zbliżyła prawa ludzi. Swiat nowożytny, to swoboda indywidualna, to wiedza narastająca pracą, to praca oparta na wiedzy. Biada tym, co nie zrozumieli czasu, w którym żyją.

Oto według zapatrywania mojego prawa naczelne, podług których układają się stosunki towarzyskie i społeczne u nas i poza nami. Syn Wasz musi poświęcić czas jakiś zbadaniu i przyswojeniu sobie tych praw i tych stosunków. Mając wkrótce wpleść się w zbiorowe życie narodu, musi on urobić w sobie przekonanie oparte na naukach

rzetelnych; inaczej zwiększy tylko niestety zbyt już liczne zastępy zarozumialców, krzyżujących wszystko, co w ciasnych ramach ich wiedzy i sądu pomieścić się nie może.

Na tem kończę odpowiedź na zadania, które mi przesłaliście; jeżeli zaś nie odpowiedziałem oczekiwaniu Waszemu i nagadałem zawiele a powiedziałem zamało, winę tego przypiszcie samym sobie: nie zaczepiajcie starych marzycieli.

III.

TATARZY.

Trajedya w pięciu aktach.

(Sztuka ta złożoną była do konkursu ogłoszonego przez Kasyno narodowe we Lwowie r. 1852, przy którym nagrodę otrzymała komedya: „Wąs i peruka“, a to jak powiedziano, ze względu na zasługi dramatyczne Korzeniowskiego).

OSOBY.

TAMERLAN, Wielki han.
KUTŁAJ, emir.
ZOAR, jeden z dowódzców.
AFARAN.
XELINA, branka.
IZANA, „

Starszyzna tatarska, wojsko i t. d.

Rzecz dzieje się w Persyi pod miastem Szyrwan.

Akt pierwszy.

Teatr przedstawia widok rozległych równin, pokrytych namiotami obozowemi.

SCENA I.

ZOAR. XELINA. IZANA.

ZOAR (wprowadzając je)

Tu czekajcie.

IZANA.

Na kogo?

ZOAR.

Mamże się tłumaczyć?

XELINA.

Tak rano...

IZANA.

I tak nagle...

XELINA.

Powiedz, cóż ma znaczyć?...

Kto kazał?

ZOAR.

Kutłaj.

XELINA.

Kutłaj? zwiększasz moję trwogę,
O, nic się więc dobrego spodziewać nie mogę!

SCENA II.

(Gromadzi się starszyzna wojskowa we dwa rzędy; Kutłaj na czele; za nim Zoar; za wejściem Tamerlana wszyscy uchylają głowy).

TAMERLAN (w głębi).

Dziś chcę wam pamięć dawnej uległości zatrzeć:
Wolno wam podnieść głowy — wolno na mnie patrzeć.
(podnoszą się — on się zbliża)
Bo niechaj ze mnie pozna każdy Tatar prawy,
Z jaką twarzą rycerze stają do rozprawy. —
Wodzowie, których liczne i chlubne zwycięstwa
We trzech światach pomniki zostawiły męstwa,
Którym do względów moich słuszne dały prawo,
Czyny odległym wiekom przekazane sławą;
Dziś możecie łask moich, moich względów użyć,
I nowem poświęceniem na nowe zasłużyć. —
Zmierzyliśmy orężem różne ziemi strony:
Schylił przed nami głowę Bagdad poskromiony,
A zuchwalstwa swojego opłacając winę,
Z zasłużoną pokorą niesie nam daninę.
Zająłem Turkomanów, żyzną Partów ziemię,
Georgian i Persów, i Czerkasów plemię,
Runął Kerman, Turkestan i Damaszku mury;
Samych zwycięzców trwoży ten widok ponury,
Gdzie równiny zaległy Alepu zwaliska,
Gdzie z niezgaszonych zgliszczy jeszcze płomień błyska.

Znają nas za Gangesem, znają Dniepru wody;
Maurowie i Azyi północne narody,
A gdzie noga nie była, tam imię przelata,
I trwogą upokarza wszystkie ludy świata. —
Czyliż sam Szyrwan dumny ogromnemi wały,
Miałby zwycięstwom naszym dać odpór zuchwały?
Czy Szach zwalczył nas kiedy? oparł się? a wreszcie
Czyż Persyi moc całą w jednem złączył mieście?
Odwagi! pamiętajcie, kto na waszem czele;
Nie siły tu potrzeba, lecz odwagi wiele. —
Wy, którym nad wojskami władzę powierzyłem,
Których ufnością moją, wiarą zaszczyciłem,
Wskażcie waszym podwładnym, jak wysoko cenię
Godne mnie i was godne życia poświęcenie. —
Powiedzcie im, że moich skarbów dziś nie skąpię,
Że dzieciom ojców, sługom ich panów zastąpię, —
Że ten, kto zręczną sztuką, lub przez męstwo nowe,
Satrapy ze Szyrwanu przyniesie mi głowę,
Satrapy, co śmiał grozić, mnie grozić zuchwale!
Co śmiał pierwszy ubliżyć Tamerlana chwale,
Izanę, brankę moję w nagrodę odbierze; —
Niech się o tem zaszczycie dowiedzą żołnierze,
Niech tę wiadomość wszystkim ogłoszą wodzowie,
Niech się nawet z najniższych każdy o niej dowie:
Wódz, żołnierz, —swój czy obcy—z czyich bądź rąk zginie,
Zasłużona nagroda zwycięzcy nie minie. —
Wszystkich zaś, co odwagą odznaczą się w wojnie,
Łaską i skarby memi wynagrodzę hojnie.

Tobie, mężny Kutłaju, który nadaremnie
Już raz nagrody takiej żądałeś odemnie,

Xelinę, którę kochasz, na własność ci daję. —
Liczne przy boku moim zwidziłeś już kraje,
W granice Polski twoja wycieczka szczęśliwa,
Do waleczniejszych czynów w Azyi cię wzywa.

KUTŁAJ.

Królu, tyś władzę bóstwa na pomoc przywołał,
Któżby za tę nagrodę zwyciężyć nie zdołał?

XELINA.

Co, ja mam być nagrodą? czyliż jestem zdolną...

IZANA (przerywa)

Daj służebnicę twoję, nie Arabkę wolną. —

(Kutłaj daje znak, aby je wyprowadzono).

(Wojsko się rozchodzi).

SCENA III.

CIŻ prócz IZANY.

XELINA (wraca się — klęka i wnet wstaje).

Przebacz mi wielki hanie, — lecz zkądże ta zmiana?
Dla czegoż dziś nowego przeznaczasz mi Pana?
Więc twa poufna branka, wierna ci tak długo,
Ma dziś wzgardzona zostać sługi twego sługą?
W chwili, gdy się Bóg moich cierpień ulitował,
I burzą otoczonej pogodę zwiastował;
Kiedyś przyrzekł niedolę nieszczęśliwej skrócić,
Kiedym miała na łono rodziny powrócić,
Ty cofasz przyrzeczenia — i sam z sobą sprzecznie
Na większe jeszcze męki skazujesz mnie wiecznie?

Pięć lat niewoli takąż nagradzasz swobodą?
Jaż to żołnierzy twoich mam zostać nagrodą? —
Dziś, gdy ciągłe cierpienia słabe starły wdzięki,
Usuwasz mnie z pod twojej opiekuńczej ręki?
Czyż w gronie tylu dziewic, których młodość świeża
Hojnie może nagrodzić twojego rycerza,
Nie ma tego zaszczytu godniejszej odemnie? —
Nie, panie — tej ofiary żądasz nadaremnie.

(do Kutłaja)

Ty, gdy mnie trwogą twoje przeraża oblicze,
Jakież w pożyciu ze mną rokujesz słodycze?
Czy sądzisz, że swobodna, bo po męża zgonie,
Spokojnie schylę w jarzmo pohańbione skronie?
Że już dawne ku tobie ostygły niechęci?
Że mi morderstwo męża wygasło w pamięci? —
Widzę jeszcze te gwałty, łupiestwa i sromy,
Gdyś nad Dnieprem graniczne ponajeżdżał domy;
Gdyś nas napadł bezbronnych po słońca zachodzie. —
Wacław po trudach dziennych spoczywał w swobodzie;
Porwano mnie. — Gdy mąż mój ścigał was w pogoni,
I natarł ze swoimi, oręż pękł mu w dłoni!
Przeszyto piersi jego, upadł krwią zbryzgany...
Czy pamiętasz? — Ja widzę piersi jego rany!
Drżącym głosem śmiertelne przerywał chrapanie,
Ostatnie żonie swojej dając pożegnanie!
Umilkł, i znikł; ja jeszcze oczami sięgałam,
Widziałam jego oczy, jego głos słyszałam!

(do Tamerlana)

Tyż dozwolisz, by męża mojego morderca
Urągał się z mych cierpień, tuląc mnie do serca?

TAMERLAN.

Kutłaju, cóż ty na to?

KUTŁAJ.

Czyliż jedna branka
Zatrwoży mnie pamięcią dawnego kochanka?
Próżno mnie wyrzutami zniechęca i drażni:
Nie żądam poufałej małżeństwa przyjaźni.
Jeźli kochać nie zdoła, niechaj mnie szanuje,
I więcej poważania niż miłości czuje.
Panie, co wyżej cenisz, niech wiemy oboje:
Czy płacze niewolnicy, czy zasługi moje?

TAMERLAN.

Powiedziałem — Xelina do ciebie należy.
Dalej — prowadź pod mury walecznych żołnierzy,
Spiesz nabyte wawrzyny świeżemi pomnożyć,
I obszerniejsze pole mym łaskom otworzyć.

KUTŁAJ.

Królu, sercu mojemu nie przydawaj męstwa:
Zawsze powrót mój z bitwy był godłem zwycięstwa.

TAMERLAN.

Zoar, ty strzeż obozu. —

(odchodzą)

SCENA IV.

ZOAR. XELINA. IZANA (które w głębi czekały ich odejścia).

IZANA (wchodząc zatrzymuje Zoara)

Już więc ustąpili; —
Zatrzymaj się; — czekałam tej dogodnej chwili;

Mów — mamże się spodziewać smutku, czy wesela?
Wprzód zostałam własnością, niż znam właściciela.
Ach, przez litość — trawiącej ulżyj mi boleści:
Gdy o śmierci Satrapy dojdą ciebie wieści,
Donieś mi, czyją będę.

ZOAR.

Spełnię twoję wolę.

(odchodzi).

SCENA V.

IZANA. XELINA.

IZANA.

Nieszczęśliwa, czyż przeto zmienię moję dolę?
Czyliż mnie nowy tyran z jarzma oswobodzi?
Ach, któż mi Afarana stratę wynagrodzi!

XELINA.

Co, i ty miałaś męża? Ty wiesz zatem pani,
Jak srodze taka strata serce żony rani!
Dawno jesteś?

IZANA.

Dni kilka.

XELINA.

Tu czuć nie umieją;
Nie widzą własnej nędzy i z obcej się śmieją.
Więc i ty miałaś męża?

IZANA.

Nie miałam go jeszcze,
Lecz to szczęście przeczucia wróżyły mi wieszcze.

7

Był to niewolnik memu Ojcu zaprzedany,
Któremu litość moja słodziła kajdany.
A ty kto jesteś?

XELINA.

Więcej niż ty nieszczęśliwa,
Która litości nieba na próżno przyzywa;
Która z łona rodziny do niewoli wzięta,
Lanemi codzień łzami ordzewiła pęta!
Błogo żyliśmy, sobą szczęśliwi wzajemnie,
Z nim ciągle jeszcze myślą rozmawiam tajemnie.
O! już go w zimnym grobie płacz żony nie wzruszy —
Umarł, tak — ale jeszcze żyje w mojej duszy!

IZANA.

Kto jesteś?

XELINA.

Jestem Polką.

IZANA.

Jątrzysz moje blizny:
I mój Afaran z Polski.

XELINA.

Co, z mojej Ojczyzny?
Z Polski, z kochanej Polski! to imię?

IZANA.

Jest nowe,
Nie przywykli do waszych dali narodowe.

XELINA.

Jakbym go widzieć rada! ledwie wierzę temu;
Me cierpienia obcemi nie byłyby jemu.

Może go znałam kiedy; — on by mi powiedział
To, co przedemną ukrył miejsc i czasu przedział.
Ty płaczesz?

IZANA.

Wspólność losu łzy nam z oczów sączy,
I wspólnością nieszczęścia serca nasze łączy.

XELINA.

A ty Arabką jesteś? i wasza kraina
Już wiele cierpieć, wiele ofiar nieść zaczyna.

IZANA.

Boże! i wyż tak długo w kajdanach jęczycie?
Dla mnie ten dzień jest dłuższy niźli całe życie!
I jażbym przeczekała sromoty lat tyle,
Nim los z ludźmi grający lepszą podda chwilę?
Tak — nademną nie będą tryumfować długo:
W wolności się zrodziłam, i nie umrę sługą.
Odważmy się na wszystko, a obie nie będziem
Sprośnych chuci zwierzęcych ohydnem narzędziem.

XELINA.

Mnie zbyt długie nieszczęścia odebrały siły,
I płaczącą bez świadka, cierpieć nauczyły.
Mnie mąż na łono swoje przyjąć kiedyś raczy,
I nieszczęśliwej żonie jej hańbę przebaczy.

IZANA.

Gdybyś ty Afaranie o nagrodzie wiedział,
I gdyby nas tak wielki nie rozgradzał przedział,

Tybyś słowa twojego dotrzymał niezłomnie,
Przyszedłbyś aż tu!

XELINA.

Wacław nie może przyjść po mnie!

SCENA VI.

TEZ i ŻOAR.

ZOAR (do Izany)

Chociażbym pragnął twoję zaspokoić trwogę,
Nic jeszcze stanowczego donieść ci nie mogę,
Już wojska wystąpiły; mężne wojowniki
Już roztaczają z kłębka księżycowe szyki.
Zostawiam jeden oddział, ten was zabezpieczy,
A z drugim Kutłajowi spieszę do odsieczy.
Wy skryjcie się w namiotach.

XELINA.

Gdzież mnie skryć możecie
Przed brzemieniem udręczeń, co me serce gniecie?

IZANA.

O, jakbym rada w tłumach sama się przeciskać,
Walczyć, i sama w sobie nagrodę pozyskać!
Powiedz im, że ich cała odwaga daremną,
Że kto chce o mnie walczyć, musi walczyć ze mną.
Niechaj przyjdzie w tryumfie po tryumfy nowe,
Tu za głowę Satrapy znajdzie moję głowę,
Albo swoję zostawi!

XELINA.

Morderca Wacława!...

(słychać szmer i krzyki)

ZOAR.

Uchodźcie ztąd: wojenna już się wzmaga wrzawa.

Koniec aktu pierwszego.

Akt drugi.

SCENA I.

(Teatr przedstawia ustronie obozowe pokryte drzewami, — w głębi kilku Tatarów leżących jako czaty; jeden stoi z dzidą).

KUTŁAJ. ZOAR.

KUTŁAJ.

Czy widziałeś zwycięzcę Satrapy?

ZOAR.

Widziałem,
Lecz o odwadze takiej jeszcze nie słyszałem!
Jak duch, któremu cięcie zaszkodzić nie może,
Roztrącał tłumy, darł się przez dzidy i noże;
Dotarł pod mury — porwał — o ziemię nim rzucił,
I z głową jego, lotem błyskawicy wrócił.

KUTŁAJ.

Poznałeś go?

ZOAR.

Nie, Panie —

KUTŁAJ.

To jest cudzoziemiec.

ZOAR.

Ze stroju zda się Arab — może Grek lub Niemiec?

KUTŁAJ.

Czy pamiątasz wycieczki Krymu, Ukrainy?
Wzdłuż Dniepru?

ZOAR.

Przypominam!...

KUTŁAJ.

Ów mąż...

ZOAR.

Mąż Xeliny!

KUTŁAJ.

Gdy otrzyma od Hana nagrodę w Izanie,
Niech odchodzi natychmiast!

ZOAR.

I dnia nie zostanie!

KUTŁAJ.

Idź do Xeliny. Postaw w jej namiocie straże,
I powiedz jej, że Kutłaj, Kutłaj, jej pan każe,
Aby dawnym zwyczajem wierna panu swemu,
Bez osłony na twarzy nie wyszła z haremu,
Inaczej śmierć ję czeka. Nie dopuść zbliżenia;
Nakazuję ci!

ZOAR.

Spełnię twoje polecenia.

(odchodzi).

KUTŁAJ (sam).

Trzeba ją ukryć przed nim; ten krok jest koniecznym:
On może stać się dla mnie wrogiem niebezpiecznym.
Ta niezwykła odwaga i blask wykształcenia,
Przymioty, które Han nasz wysoko ocenia,
Do łask jego nie mylną otworzą mu drogę. —
Nie, ja zjawienia jego ścierpić tu nie mogę.

(odchodzi)

SCENA II.

(Teatr przedstawia część obozu gdzie są ozdobniejsze namioty kobiet za niemi straże. — Zoar czeka, — wkrótce nadchodzi Xelina, za nią dwóch eunuchów i dwóch żołnierzy.)

ZOAR.

Witaj piękna Xelino, i przebacz mi razem,
Jeźli z przykrym do ciebie przychodzę rozkazem. —
Nas podwładnych tem losy często zwykły męczyć,
Że z własnem udręczeniem, musim drugich dręczyć.
Kutłaj dla zasłonienia ciebie od potwarzy,
Chce abyś nigdy w polu nie odkryła twarzy.

(daje jej woal na twarz)

Byś nigdy w inne strony nie zmierzyła kroku;
On chce byś publicznego strzegła się widoku; —
On chce (ta dzika zazdrość godną jest nagany),
By nikomu twe oczy nie zadały rany. —

XELINA.

O, pomiń to Zoarze, każda twoja mowa
Składa mistrzowską sztuką wymierzone słowa.
Tą życzliwością twoją zwiększasz moje smutki;
Z tej łagodności, straszne przewiduję skutki!

ZOAR.

On chce, byś mu powolna, sama, wśród ukrycia...

XELINA (z ironią).

Żyła szczęśliwa!

ZOAR.

On jest panem twego życia...

On może...

XELINA.

Wydrzeć mi je.. — Czyż żebrałam o nie?
Pocieszasz utrapioną, gdy wspomnisz o zgonie!
Jednak, choć w udręczeniach śmiercią się nie trwożę,
I te jeszcze rozkazy wypełnię w pokorze. —
Ty, którego ojczysta przyjęła mogiła,
Jeszcze mi droższym jesteś kiedym cię straciła.
O! tybyś żonie twojej świat cały zastąpił,
Płakać jej nie zabraniał, i światła nie skąpił.

(wkłada woal)

ZOAR.

Chciej mi także wybaczyć, jeźli z drugiej strony
Im oznajmię Kutłaja wyrok niecofniony:

(do żołnierzy)

Jeźli wyjdzie z haremu odbierzcie jej życie;
Życie jej ocalone, własnem opłacicie.

XELINA.

Nie potrzebujesz mordów dawać im nauki,
Wprawni oni od dawna do tej trudnej sztuki.
Lecz powiedz: tych rozkazów jaka jest przyczyna?
Takżeto Kutłaj nowe pożycie zaczyna?

ZOAR.

Do nas należy każde jego przedsięwzięcie,
Nie badając przyczyny, wykonywać święcie. —
Xelino, to ci jeszcze winienem nadmienić,
Że gdybyś własne życie nie dość miała cenić,
Gdyby cię dostrzeżono z kim obcym mówiącą,
Ściągnęłabyś śmierć na niego, nad tobą wiszącą!
Kutłaj dotrzyma!

XELINA.

Trzebaż o tem przekonywać?
On więcej dotrzymuje, niż zwykł obiecywać.
I cóż mnie jeszcze czeka, gdy dziś zazdrość dzika
Światło oczom odbiera i usta zamyka?

ZOAR.

Patrzaj, już z pola bitwy wracają rycerze,
Pamiętaj!

XELINA.

Bądź spokojny.

ZOAR.

Strzeżcie jej żołnierze.

(odchodzą w przeciwne strony)

SCENA III.

(Teatr przedstawia najozdobniejszą część obozu. — Tamerlan siedzi przed swoim namiotem na wyniesionem miejscu; — przechodzą tatarskie wojska zwycięskie; na ich czele Kutłaj. Zoar i Afaran z tyłu, — ten ostatni raniony, okryty białą togą arabską, zpod której przesłania reszta stroju polskiego; powierzchowność jego zwiastuje świeży trud wojenny)

TAMERLAN.

Słusznie łask mych czekacie w zgromadzonem kole,
Gdyście hańby na mojem nie wyryli czole;

Lecz pokonane tłumy oddając rozpaczy,
Dowiedli co Tarmelan, co broń jego znaczy.
Głośni nieznanym dotąd blaskiem majestatu,
Niemało do mówienia zostawimy światu.
Ja każdego z was chwałą nagrodzę wzajemną;
Bo o każdym powiedzą, że walczył podemną.
Ledwo pojmą jak mimo skały, morza, trudy,
Jeden lud w proch obrócił — we trzech światach ludy.
Gdy kraje trupem zasłał, i rzeki zakrwawił,
Bogu tylko nad sobą pierwszeństwo zostawił. —
Zdarte ozdoby świątyń, skarb miastu zabrany,
Rozdać między setniki, murzy, hatamany. —
Gdzież jest ów rycerz dzielny, co w męskim zapale
Walecznym czynem, blasku przydał naszej chwale?

AFARAN (występując naprzód).

Walczyłem, nie zaborów zapalony chwałą;
Szlachetniejsze uczucie orężem władało.
Gdzież jest Izana?

TAMERLAN.

Kutłaj wydać ję rozkaże.
(do Zoara)
A ty nowe w obozie porozstawiaj straże.
(do wojska)
Wam pozwalam dniem jednym ciągłe przerwać znoje,
Nim dalsze wewnątrz kraju roztoczymy boje.
Tak szeroko rozwiedziem nasze panowanie,
Jak blask słońca dosięga, i jak ziemi stanie.
W czterech jej końcach państwa zakreślim granice
A w środku ziemi, świata wzniesiemy stolicę. —
Lecz gdym dostrzegł, że w boju w najważniejszej chwili

Niektórzy podle życia zbiegostwem chronili,
Zgrozą przejęty, hańby przebaczyć nie mogę,
I wszystkim bojaźliwym zostawię przestrogę:
Niech się o woli mojej całe wojsko dowie,
Niech ich śledzić i chwytać nakażą wodzowie;
By zaś i ztamtąd postrach nie spłoszył ich nowy,
Żadnemu zbyt przezornej nie zostawić głowy. —
Pocóż, gdy powierzchowność wrogów nie omami,
Ta bezkorzystna tłuszcza wlec się będzie z nami?
Pocóż to bojaźliwe i wyrodne plemię
Niepotrzebnym ciężarem ma obarczać ziemię?
Tę nam drogę tryumfu przeznaczyły Nieba?
Czyż liczbą będziem straszyć, gdzie walczyć potrzeba?

(do Afarana)

Ty, którekolwiek na świat wydały cię ludy,
Pójdź dzielić naszę sławę, zapasy i trudy. —
Za zgładzenie Satrapy Izanę posiadasz;
Za inne czyny, nowy obowiązek wkładasz.
Kiedy przy tobie zgaśli wojownicy główni,
Gdyś się odważył stanąć prawie ze mną w równi,
Tym co niżej zostali, ich niższość wybaczam,
A pierwsze miejsce po mnie, dla ciebie przeznaczam.
Wzgląd na ten zaszczyt, nowe męstwo w tobie wzbudzi;
Pomnij: po panu świata, tyś pierwszy wśród ludzi!

(Po tych ostatnich wyrazach wszyscy schylają głowy prócz Kutlaja.)

TAMERLAN (do Kutlaja.)

Cóż to? w obliczu mojem, w obliczu podwładnych,
Ty śmiesz mi opór stawić? i bez względów żadnych
Zuchwałym wzrokiem moje naganiasz rozkazy?
Wiesz, — nie lubię słów jednych powtarzać dwa razy. —

Co? Czyż mi zasług waszych nie wolno oceniać?
Z każdym dniem, z każdą chwilą, sługi moje zmieniać?
Strzeż się, abym cię z liczby godnych nie wymazał,
I do tych niepotrzebnych policzyć nie kazał.
Ty wiesz: nagradzam męstwo, kiedy kto zasłuży,
A odbieram nagrodę, gdy jej nie wart dłużej. —
Ja, co z trzema światami do rozprawy staję,
I w jedno spajam ciało różnorodne kraje,
Mam starszeństwa na waszych drobnostkach budować?
Mam zwycięstwa każdego na sztuki rachować?
Przeliczać wasze lata, rozmierzać życzliwość,
Zgadywać wasze chęci, ważyć sprawiedliwość?
Czyż przeto niszczę twoje dawniejsze zasługi? —
Jeszcze ten będzie pierwszy, kto jest po mnie drugi!

AFARAN.

Panie, łask twoich wyżej cenić nikt nie zdoła;
Lecz ważniejsza powinność gdzieindziej mnie woła.
Byłem sprzedany; wolność którę mi los nada,
Spełnienia jej warunku obowiązek wkłada.
Tem mi tylko niewolę mój właściciel skrócił,
Bym córkę utraconą domowi powrócił. —
Nadto jestem Polakiem; — jakaś skryta władza
Zawsze mi to wspomnienie na myśl naprowadza.
Musiałbym długo walczyć z ranionem sumieniem,
Bym tych co nas gnębili, wspierał mem ramieniem.

TAMERLAN.

Co — i tyż zaślepiony, cenisz tak surowo
Kajdanami w niewoli wymuszone słowo?
Albo nazbyt pamiętny dawnych krzywd niewielu,
Tyżbyś śmiał marnych uczuć bezsilny mścicielu

Odepchnąć dumnie zaszczyt najchlubniejszy w świecie:
Drugie miejsce na ziemi, a po Bogu trzecie?

(odchodzi, za nim wszystko ustępuje).

SCENA IV.

AFARAN. KUTŁAJ.

KUTŁAJ.

Znasz ty mnie?

AFARAN.

Dzięki Niebu, od niedawnej chwili.

KUTŁAJ (na stronie.)

Lecz ja ciebie znam dawniej; tak, wzrok mnie nie myli.
(głośno)
Słuchaj — twe niespodziane i dziwne zjawienie
Okropne między nami sprawi zaburzenie.
Jeżeli Han tak lekce zasługi ocenia,
Że chwila przypadkowa losy wodzów zmienia;
Że osadza na miejsce ludzi znamienitych
W nicości wylęgniętych, z ciemnoty dobytych;
Którym ślepe zdarzenie, nie wrodzone męstwo
Do rąk żebrać nawykłych wprosiło zwycięztwo;
Którzy w tryumfie nawet, drżąc przejęci trwogą,
Co los za nich wykonał, ledwie pojąć mogą!...

AFARAN (przerywając.)

Jeśli się mamy spotkać jako prawi męże,
Godniejsze od słów wietrznych wybierzmy oręże.
Tam ze wstydem uczujesz lub przyznasz mi może,
Że prawdziwa odwaga kryje się w pokorze.

KUTŁAJ.

Tyś jednym czynem moje zniweczył zasługi;
Jedną chwilą wyprzedził szereg lat tak długi;
Tyś mnie na niestłumione naraził niesnaski,
Na pogardę podwładnych i Hana niełaski.
Ty mi władzę wykradłeś — niesławą okryłeś,
I wieczne piętno hańby na czole wyryłeś!
Nie zatrwoży mnie głos twój, ani twoja postać;
Oba na jednym świecie nie możemy zostać!

AFARAN.

Dobrze, niech więc rozstrzygnie oręż to zadanie,
Kto z nas pójdzie na inny, kto na tym zostanie...
Lecz pocóż mam tu ginąć, lub zabijać ciebie?
Może kiedyś w ważniejszej zejdziem się potrzebie;
A puściwszy w niepamięć rzeczy osobiste,
Twarz w twarz, w otwartem polu staniem za ojczyste.
Tam do szczęścia mojego nie potrzeba wiele:
Wolę być tam ostatnim niźli tu na czele.
Pomóż mi tylko odejść. — Gdzież biedna Izana?
O, ustąpię ci chętnie!

KUTŁAJ.

Idę więc do Hana,
A Izanę ci przyszlę niezwłocznie.

(Odchodzi.)

AFARAN (sam).

O Nieba!
Ileż w pośród tej dziczy mąk zcierpieć potrzeba!
Jako? lud co w daleką zaprzedał mnie stronę,
Porwał z łona ojczyzny — zamordował żonę!

Tę, o której myśl każda, i każde wspomnienie
Jakby cios nowy, nowe wlewa udręczenie; —
Wolnego niegdyś, w pęta Azyi osadził,
Włości ogniem i mieczem zburzył i zagładził;
Który mi przez lat tyle gorzkie łzy wyciskał;
Dziśby odemnie wsparcie zdradzieckie uzyskał?
Nie — tego nie dokażą. —

SCENA V.

AFARAN, IZANA, za nią dwóch eunuchów.

IZANA (w głębi).

Drżę z żalu i trwogi;
Słowa w ustach mi nikną, i chwieją się nogi.
Któż mnie od losu tego oswobodzić może?
Stało się!...
(biegnie ku niemu)
Weź twą zdobycz tyranie! o Boże!
Afaran!!

AFARAN.

Tak Izano! —

IZANA.

Czy to omamienie!
Jakież ciebie w to miejsce sprowadza zdarzenie.
Tyżeś to? wszystko dla mnie dziwnem się wydaje;
Głosu twego zdziwione ucho nie poznaje.
Rozdzielona na zawsze, od razu tak bliska!
(ściska go)
Serce mi tylko mówi że ciebie przyciska.
Ratuj mnie! zgraja wrogów zewsząd mnie otacza...
Więc odzyskuję ciebie!

AFARAN.

Tak — widzisz tułacza,
Co od obcych do obcych wlokąc się w żałobie,
Przyszedł z długu wdzięczności wywiązać się tobie.

IZANA.

Zawszeż o tej wdzięczności będziesz mi wspominać?
Trzebaż mi od wyrzutów rozmowę zaczynać?
Jeźli tylko wdzięczności wymuszona siła
W twem sercu opieszałem litość obudziła...

AFARAN.

Wszakże za dobrodziejstwa wdzięcznym być przystało;
W tobie mi Niebo ulgę w udręczeniach dało:
Jako braniec wojenny Arabom przedany,
Pięć lat znosiłem ciężkiej niewoli kajdany; —
Wiele od ojca twego wycierpiałem wzgardy:
Wyrzucał mi żem smutny, zawzięty i hardy.
O, nazbyt on mnie dręczył — wiarą prześladował,
Wyrazami poniżał i pracą mordował. —
Gdy dręczenia codzienne, dawnych swobód strata
Goryczą zaprawiały wlekące się lata,
Ty jedna, ty najczulsza w ojca twego domu
Nieszczęsnemu pociechę niosłaś pokryjomu.
Tyś pracą gnębionego odwiedzała skrycie,
I trucizną zaprawne słodziła mu życie.
Te twoje dobrodziejstwa, wierzaj mi Izano,
Na zawsze w sercu mojem pamiętne zostaną.

IZANA.

Zapomnij o nich wiecznie — i usuń na stronę
Oziębłą powinnością czucia wymuszone.

O tem tylko pamiętaj co serce nakłania,
Co się pamięta chętnie, zawsze bez starania
Co człowiek w sercu swojem czuje, nie w rozumie,
Co choćby rad zapomniał, zapomnieć nie umie;
Co nas w niepokój wprawia, wolność nam odbiera,
Co rozkoszną tęsknotą serce nam rozdziera; —
Wszędzie się czegoś szuka, nigdzie nie znajduje;
Wszystko myślą przebiega, ale jedno czuje!
Piekło zewsząd przeraża, a żyje się w Niebie.
Słowem czuj tylko dla mnie, to co ja dla ciebie! —
Ojciec mając twą wierność i cnoty na względzie,
Już mi przyjaźni twojej naganiać nie będzie.

AFARAN.

Tak, nie będzie — lecz pocóż nadaremnie kryję?
Twój Ojciec...

IZANA.

Boże! — dokończ! — mój Ojciec..

AFARAN.

Nie żyje.

IZANA.

Nie żyje! — on nie żyje!

AFARAN.

Ciężki żal po tobie
Przygnębionego poźnym wiekiem złożył w grobie.
Długo w sędziwym starcu konające siły,
Nawyknięte do boju ze śmiercią walczyły. —
Dręcząc się nieustannie córki swojej losem,
Zawołał przed skonaniem przerywanym głosem:
„Już na wieczny spoczynek pan świata mnie wzywa,
W tobie niech ma obrońcę córka nieszczęśliwa,

Powróć ję na grób ojca, ojczystej zagrodzie,
Sam wróć do Polski; wolność daję ci w nagrodzie.“ —
Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale znikła siła,
A śmierć w stygnących ustach słowa uwięziła. —
Ruszyłem w pogoń; biegłem kędy szli Tatarzy,
Czuwając dnie i noce, aż chwila nadarzy
Możność wyrwania ciebie. W tem słyszę z rozkoszą
Jak przy trąbach żołnierzom po obozie głoszą,
Że ty jesteś nagrodą za Satrapy głowę:
To wróciło mi siły, dało męstwo nowe.

IZANA.

Nieszczęśliwa, co nie ma siostry ani braci,
Matkę dzieckiem straciła — teraz ojca traci,
Godną jest twej litości. — Już tedy na ziemi,
Już więc pomiędzy tylu ludami różnemi
Nie ma nikogo w kimby krew moja krążyła?
Kogobym kochać mogła, jemu miłą była?
Ty jeden Afaranie! w tym cierpień natłoku,
Nie usuń nieszczęśliwej od twojego boku.
Pocóż do rodzinnego mam powracać domu,
Gdzie mój powrót radości nie sprawi nikomu?
Gdzie nikt z wesołą twarzą przed strzechą nie stanie,
Aby dać wracającej czułe powitanie?

AFARAN.

Co? ty się tej najwyższej zarzekasz pociechy,
Aby wrócić z niewoli do ojczystej strzechy?...

IZANA.

Więc uchodźmy; bo cóż nam na przeszkodzie stawa?
Czyż już raz do powrotu nie zyskałeś prawa?

Któż nam oprzeć się może? Jeźliby zuchwali
Przejścia granic obozu kobiecie wzbraniali,
Masz oręż trwożny dla nich, on ich upokorzy,
I wzdłuż zastępów wolne przejście nam otworzy.

AFARAN.

IMamże dla krótkiej zwłoki narażać twe życie,
sam siebie poniżać, i uchodzić skrycie?

IZANA.

O, długąby ta zwłoka i dla ciebie była,
Gdyby cię do powrotu inna wiodła siła;
Gdybyś sercem wiedziony, nie zimnym rozkazem,
Spełniając moje szczęście, spełniał twoje razem.
O, tybyś rad stygnące zawarł mi powieki,
Uwolnił się od przykrej wdzięczności na wieki!
Daj ten miecz; ja go w lepszej użyję potrzebie,
Tyś zawstydził tysiące, ja zawstydzę ciebie!
Pójdź za mną; ja z żelazem na czele pobiegnę,
Uwolnię cię, lub w twojej obronie polegnę!
Pocoś tu przyszedł? resztę zabrać mi swobody?
Czym za przychylność moję żądała nagrody?
Do kogo mam powracać, gdy z mych cierpień szydzisz,
Kiedym Ojca straciła, ty mnie nienawidzisz?
Uwalniam cię na zawsze.

AFARAN.

Wszędzie, w każdej dobie,
Gdy mną pogardzasz nawet, wdzięcznym będę tobie.
Jeżeli przykra moja odraża cię postać,
Nim przyjdzie czas powrotu, możesz sama zostać.

(chce odejść)

IZANA (zatrzymuje go).

Nie odejdziesz!

AFARAN.

Żądałaś...

IZANA.

Chwytasz wyraz miły,
Który bez wiedzy serca, usta wymówiły,
I jak gdybyś mnie nie znał, spokojnie odchodzisz!...
Czemże mi te boleści, te łzy wynagrodzisz?

(po chwili)

Afaranie, ty rany serca mego czujesz,
Ty się cierpienia mego, moich łez litujesz.
Skrytości duszy twojej przeglądam głęboko...
Ty litość malujące zwracasz ku mnie oko;
Wszak ty wiesz, nigdym licznej nie miała rodziny,
Ze wszystkich jeszcze ojciec został mi jedyny,
Gdy i ten zniknął, umrę; śmierć mi będzie drogą...
Afaranie, mów: mamże jeszcze żyć dla kogo?

AFARAN.

Jakkolwiek na mnie z takim powstałaś zapałem,
Nie wszystkich utraciłaś, kiedy ja zostałem.

IZANA.

O, drogi Afaranie, to przyjaźne słowo
Serce ciężko ranione pociesza na nowo.
W tobie ja ojca, matkę, świat cały odzyskam,
I wszystko moje w tobie do serca przyciskam.

AFARAN.

Uspokój się Izano; — oto noc nadchodzi,

(ciemnieje)

Chwila spoczynku nagłe wrażenie złagodzi,
Wkrótce odetchnie serce ściśnięte żałobą.

IZANA.

Ach, z tobą pójdę wszędzie, wszędzie, byle z tobą.

(odchodzą w przeciwne strony.)

Koniec aktu drugiego.

Akt trzeci.

(Noc która zaszła z końcem aktu zeszłego, trwa dotąd. Teatr wyobraża wnętrze namiotu Afarana; tenże oparty na drzewcu namiotu spi. — Xelina wchodzi po chwili z ostrożnością, i zakryta woalem.)

XELINA (jeszcze opodal.)

Tak jest, wzrok mnie nie zmylił; poznałam go w tłumie,
Dostrzegłam sercem: serce mylić się nie umie. —
Boże! od czegoż zacznę? ach, czemuż morderca
Wzbrania mi go przycisnąć do czułego serca? —
„Gdyby cię dostrzeżono z kim obcym mówiącą,
„Ściągnęłabyś śmierć na niego, nad tobą wiszącą“,
Rzekł Zoar. Wielki Boże! zobaczę go skrycie...
Może dla innej drogie zachowam mu życie!...
Ale nie; on się mojej ulituje doli,
I niepoznaną żonę uniesie z niewoli. —

(zbliża się)

Boże! udziel mi mocy! po wojennym znoju,
Lubym snem posilony zasypia w pokoju. —
Jaka szlachetność duszy wyryta na twarzy!
Może umysł złudzony słodko we śnie marzy;
Może go Niebo szczęściem obdarza łaskawie,
Którego już od dawna nie uczuł na jawie; —

Nagradzając zdradziecko pokrzywdzone cnoty
Sennem marzeniem, dzienne osładza tęsknoty.
Może w tej chwili światłem otoczony czystem,
W własnej ziemi oddycha powietrzem ojczystem;
I długie lata w ciężkiej przetrwawszy żałobie,
Żonę, którą tak kochał, ogląda przy sobie!...
Na czole jego czystą jaśnieje pogoda,
Nieskazitelność serca i duszy swoboda.
Ta twarz, której wyrzutów nie powlekły cienie,
I we śnie nawet wolne odkrywa sumienie. —
O, czemuż mi nie wolno mężu ukochany,
Tyle lat bolejącej dziś zagoić rany?
Dotknąć się piersi twoich, ręki twojej ścisnąć,
I z radośnego oka rzewnej łzy wycisnąć?
„Gdyby cię dostrzeżono z kim obcym mówiącą,
„Ściągnęłabyś śmierć na niego, nad tobą wiszącą". —
Zasypiaj; może ziszczę twe marzenia wieszcze,
A ty mojem marzeniom zostaw chwilę jeszcze;
Gdy się uspionej twarzy, twarzą dotknąć boję,
Niechaj do ust przycisnę chociaż odzież twoję.

(klęka, całuje suknie jego — on się przebudza).

AFARAN.

Kto tu?

XELINA (powatając nagle).

O Boże!

AFARAN (chce odkryć jej twarz).

Pocóż zdradziecka zasłona;

XELINA.

Nie poznałbyś!...

AFARAN.

Nie poznał?

XELINA.

Wierz mi — to nie ona.

AFARAN.

Tak, nie Izana. —

XELINA.

Przebacz, to nagłe wejrzenie...
Mocne w umyśle moim sprawiło wrażenie...

AFARAN.

Kto jesteś? czego żądasz?

XELINA.

Jestem jak i ona
Branka i służebnica, cierpiąca,... zhańbiona!...
Ty jeden mnie z niewoli możesz uprowadzić...

AFARAN.

Kto jesteś?

(chce ję znowu odsłonić)

XELINA.

Zaklinam cię...

(na stronie)

miałby mnie kto zdradzić?

(głośno)

Nie — ty mnie nie znasz — wierzaj — ja nie znając ciebie,
Przyszłam żebrać twej łaski w ostatniej potrzebie.
Z którego jestem kraju, cóż ciebie obchodzi?
Zawsze dobry uczynek Niebo ci nagrodzi.
I jeżeli nademną zlitować się raczysz,
Komu szczęście zjednałeś, zjednawszy zobaczysz.

Ach, zaufaj mi Panie, żałować nie będziesz;...
Może wieczną spokojność w nagrodę posiędziesz;...
Może ja, jako anioł od Boga zesłany,
Lubą pociechą zgoję serca twego rany;
W dom twój pokój przyniosę — rozjaśnię wesoło
Długiemi cierpieniami zachmurzone czoło...
Bo czyż jedna kobieta ciągle nieszczęśliwa,
Która litości twojej i pomocy wzywa,
Którę tak małym raczysz uszczęśliwić darem,
Może stać się domowi waszemu ciężarem?
Ja mało potrzebuję; chcę strzedz waszej trzody;
Dajcie mi skromny pokarm i nieco swobody,
Ubogą dajcie odzież, liche pomieszkanie,
Ja chcę pracą rąk moich wysługiwać za nie.
A gdy kres wyznaczony przeżyję w pokorze,
I pogodniejsze dla mnie zajaśnieje zorze,
Dajcie mi na mieszkanie spokojne na wieki
Nieużytecznej ziemi zakątek daleki...

AFARAN.

Przestań; ta czułość twoja serce mi zakrwawia,
I wiele, wiele wspomnień w pamięci odnawia!
Słuchaj; gdybyś żądała, ażebym otwarcie,
Z orężem w ręku jawne poniósł tobie wsparcie,
Choćby cię w piekle skryto, wyrwałbym cię z piekła! —
O, ty nie wiesz coś do mnie w tej chwili wyrzekła!
Lecz kiedy mam jak zbrodzień znikać pokryjomu,
Przebacz mi, i nie żądaj spodlenia i sromu.

XELINA.

Stało się — gdybym życie twoje mniej ceniła,
Możebym innej prośby, innych słów użyła...

AFARAN.

Życie?

XELINA.

Kiedy mi twojej odmawiasz opieki,
Żegnam cię — bądź szczęśliwy — żegnam cię na wieki.
O, jak nas losy w różnej wnet postawią doli!
Ty do szczęścia powrócisz, a ja do niewoli!
Niech Bóg czuwa nad tobą! — idź! — pędź żywot błogi!
A mnie pozwól uściskać twe ręce i nogi.

(klęka).

AFARAN (podnosząc ję)

Ta ziemia zkąd na wieki wszelka godność znikła,
Więcej do kolan ludzkich niźli stóp przywykła.

SCENA II.

Ciż i Kutłaj (zastaje ję klęczącą). Straż.

KUTŁAJ (w głębi).

Nieba! jestem zdradzony! tem samem żelazem....

XELINA.

Kutłaj?

KUTŁAJ.

Ty tu?

AFARAN.

Za moim przybyła rozkazem.
Tyż nad słabą kobietą mściłbyś się nikczemnie?
Jeżeli zemsty pragniesz, to jej szukaj we mnie!
Precz od niej!

KUTŁAJ (dobywa oręż).

Kto?

AFARAN (także).

Ty!

KUTŁAJ.

Włóczęgo!

AFARAN.

Nieba!

XELINA (stając między nimi).

Ach stójcie!
drogie innym życie, wzajemnie szanujcie.

KUTŁAJ (porywa ję na bok).

Wiesz jaki był mój wyrok — śmierć cię nie ominie!

AFARAN.

Będziesz żyła — przysięgam!

KUTŁAJ.

Przysięgam że zginie! —
To nie nad Dnieprem boje; raz cię pokonałem,
I drugi raz pokonam — tu z mniejszym zapałem
Harde odkryjesz czoło, niż na własnej ziemi.

AFARAN.

Ty mnie?... ty mnie?... czy z tobą, czy z braćmi twoimi?...
Te wspomnienia... poznaję... ha, toś ty morderco,
Ty drogiej żony mojej drapieżny wydzierco!
Jakżeś mnie uszczęśliwił! — jakżeś mnie pocieszył!
Tyś tem szczerem wyznaniem śmierć swoję przyspieszył...
Broń się! jeźli masz męstwo, — chwyć oręż do dłoni.
Jeźli nie śmiesz, uciekaj — a śmierć cię dogoni.

Broń się zbrodniarzu! — los ten nie może nas minąć,
I ażeby żył jeden, drugi musi zginąć.

XELINA.

Stało się — żona twoja nie żyje...

AFARAN.

Nie żyje!

KUTŁAJ (na stronie).

Nie dała mu się poznać.

AFARAN.

A zbrodniarz się kryje!
I cóż tobie jej cicha cnota zawiniła?
Ona życia mojego drugiem życiem była.
Ona się stała dla mnie tym boskim Aniołem,
W którym wiecznego szczęścia zakład z Nieba wziąłem.
Gdyby Bóg nad słabością czuwający skrycie,
Występkiem nieskażone zachował jej życie,
Gdyby ostatnie ziemi skryły ję mieszkańce,
Zmierzyłbym wszystkie morza, wszystkie ziemi krańce;
Hoży, niezmordowany, waleczny, zuchwały,
Bez snu i bez pokarmu przebiegłbym świat cały! —
O, ty najnieszczęśliwsza, o ty droga żono!
Której duszę przyjęło Niebo w swoje łono,
Przebacz, że cię tygrysów paszczy nie wydarłem,
I dotąd hańby twojej ich krwią nie zatarłem.
Przysięgam tobie święcie przed ludźmi, przed Bogiem,
Na ciebie, na to wszystko co ci było drogiem,
Że potąd w wściekłej zemście z miejsc tych nie ustąpię,
Pokąd w krwi tego zdrajcy żelaza nie skąpię!

I gdyby go broniła piekieł siła cała,
Wystraszę czarną duszę z ohydnego ciała.
Gdy mi Bóg w udręczeniach łzy jeszcze zachował,
Płacząc będę z nim walczył i płacząc mordował.

(Xelina przez ciąg tej tyrady, stopniowo coraz silniejsze okazuje wrażenie, w końcu mdleje. Kutłaj staje tak, aby ją ukrył przed Afaranem i daje znak straży, aby ją wyniesiono.)

AFARAN (ciągle mówiąc)

A jeźli mnie zawiodą trzęsące się dłonie,
Przebacz mi — wszak ja w twojej polegnę obronie. —

(do Xeliny)

Tobą się świadczę... wyszła. —

(Tu wchodzi Zoar.)

KUTŁAJ.

Świadków nie potrzeba!
Te co nas sądzić będą, świadkami są nieba.
Jam tobie wydarł żonę Azyi zwyczajem,
Umarła; ty mi urząd wydarłeś nawzajem!
Przyznasz, choć na pokornych Niebo jest łaskawsze,
Że i dana przysięga nie spełni się zawsze.

(odchodzi).

SCENA III.

AFARAN. ZOAR.

ZOAR.

Szyrwan skarbów ukrytych wzbrania się otworzyć.
Wczoraj zwalczony, dzisiaj broni nie chce złożyć;
Uzbraja młodzież, resztę gromadzi żołnierza,
Ludem osadza wały i bramy najeża.

Pozwodził mosty, rowem poprzecinał drogi,
I zostawione w mieście morduje załogi.
Wielki Han, co się ludzkiej mocy nie obawia,
I chętnie rzeczy mniejsze podrzędnym zostawia,
Kazał ci donieść o tem, byś ukarał zbrodnie,
I zastąpił go sobą, ile zdołasz godnie.

AFARAN.

Do rzeczy niepotrzebne pomijaj wyrazy,
I niebezpiecznej tobie nie czyń mi obrazy.
Strzeż się, bym władzy mojej przedwcześnie nie użył,
I abyś nie ty pierwszy na karę zasłużył. —
Wiem ja że ci bolesną Kutłaja utrata! —
Wy coście długie na to przetrawili lata
By przez ciągłe pochlebstwa i służebną postać
Życia zbyt niepewnego pewniejszymi zostać,
Nie lubicie przed nowym kolana uginać,
I zasług pochlebstwami na nowo zaczynać.

ZOAR.

Już hufce stoją zbrojne.

(Afaran bierze dzidę z buńczukiem hetmańskim i wychodzi, — za nim Zoar.)

SCENA IV.

(Teatr przedstawia innę część obozu jak w scenie pierwszej drugiego Aktu [str. 102].)

KUTŁAJ. ZOAR.

KUTŁAJ.

a co prawie na szczycie potęgi stanąłem,
Jednemu przybyszowi mam bić podle czołem?

Wieczną okryć zniewagą zdobyte wawrzyny?
Codziennie się obawiać utraty Xeliny? —
Dziś lękając się śmierci, przyszła utajona,
Lecz miłość i ten postrach niebawnie pokona.
Między śmiercią i hańbą nie umiem wybierać:
Chcę zostać tem czem byłem, lub z chwałą umierać.

ZOAR.

Lud nasz, którym żelazna władać musi ręka,
Dopóty słucha starszych, pokąd się ich lęka;
Ale skoro doczeka sposobniejszej pory,
Jak był łatwym w pokorze, tak do mordów skory.
Nie cierpiąc pana, sądzi że mu niebo sprzyja,
Że przyszły będzie lepszy, gdy tego zabija.
Ty Panie, możesz uledz losowi równemu.

KUTŁAJ.

Nie trwoż się, to żelazo zapobiegnie złemu.

ZOAR.

O jakże tego pragnę! ty wiesz należycie,
Że u nas w ręku starszych jest podwładnych życie.
My w każdej chwili śmierci czekamy wyroku,
wcześnie go w niechętnem przewidujem oku.
A gdy się komu łaskę pozyskać udało,
W Panu swoim sam siebie broni siłą całą.
Tych skrytości Azyi ja umiałem użyć,
Ratuj się; ja we wszystkiem chcę ci wiernie służyć.

KUTŁAJ.

Przywołaj mi Xelinę! —

(Zoar odchodzi.)

KUTŁAJ (sam).

Wre krew niespokojna;
Wzrastająca wśród krzyków przyzywa mnie wojna. —
Jeźli ma ludzką duszę i ciało śmiertelne,
Zginie, choćby go duchy wspierały piekielne.

SCENA V.

KUTŁAJ. ZOAR. XELINA.

XELINA (osłabiona).

Choćem w ciągłych boleściach siły postradała,
Posłuszna woli twojej — jestem.

KUTŁAJ.

Milcz zuchwała!
Tyś w niepamięć puściła straszną groźbę moję,
Że was za tajne zejście czeka śmierć oboje,
Czy ty to zapomniałaś?

XELINA.

Wstrzymaj gniew szalony,
I racz łaskawie mojej wysłuchać obrony. —
Sama sobie oddana, jęcząca w ukryciu,
Nigdym chwili szczęśliwszej nie doznała w życiu!
Pięć lat znosząc bez przerwy sromotne kajdany,
W duszy tylko nosiłam obraz ukochany,
Obraz męża, o którym wspomnieć mi nie dałeś,
I z oczu śledząc myśli, myśleć zabraniałeś;
Skryta w namiocie, słyszę licznej zgrai wrzawę,
Dostrzegam łysk oręży, tłumy i kurzawę, —

A w nielicznym orszaku na czele tych szyków
Szedł jakby cudzoziemiec wśród tryumfu krzyków;
Był to mój mąż Kutłaju! — Pojmujesz tę chwilę? —
Ileż uczułam szczęścia i rozpaczy ile!
Gdy pewność śmierci jego zastąpiła radość,
Czyż mogłam sercu memu nie uczynić zadość?
Głosu jego nie słyszyć, którego dźwięk miły
Odwykłe uszy moje oddawna zgubiły?
Nie dotknąć ciała jego? rąk łzami nie skropić?
I oka mego w jego oku nie zatopić? —
Ale on nie wie o mnie.

KUTŁAJ.

I nie będzie wiedział.
Wkrótce nazbyt daleki rozłączy was przedział.

XELINA.

Ach!

KUTŁAJ.

Co ci Zoar każe, wypełnij w pokorze.

XELINA.

Nieba! litości!

KUTŁAJ.

Przestań, litość nie pomoże.
Mam jej mało, mówiłaś; nie wykrocz zuchwale,
Abyś nie powiedziała, że jej nie mam wcale.

(odchodzi).

SCENA VI.

XELINA. ZOAR.

XELINA.

Ratuj!

ZOAR.

Cóż mogę?

XELINA.

Spieszmy!

ZOAR.

Już pod bronią stoją.

XELINA.

Tedy śmierć męża mego uprzedź śmiercią moją. —
Na kolanach cię błagam.

ZOAR.

Lecz błagasz daremnie,
I pomocy dla męża próżno szukasz we mnie.
Sam sobie dać ję może — od nas niech nie czeka.

XELINA.

Mów! Jakże twarde serce zimne słowa zwleka!

ZOAR.

Acz wieść, którę usłyszysz, zbyt się rozprzestrzenia,
Przysięgnij, że mojego nie wspomnisz imienia.

XELINA.

Przysięgam!

ZOAR.

Ja co wszystkim rad z pomocą staję,
I wrogom nawet rękę w nieszczęściu podaję,
Powiem ci szczerze: mąż twój (lecz nie chciej go winić)
Gdy go Tamerlan wolnym wzbraniał się uczynić,
Powziął myśl zabić Hana; ten zamiar okrutny
Doszedł do uszu jego; Han dał wyrok smutny...
I Kutłajowi zlecił jego wypełnienie.
Choć winienem był milczeć, zbyt łzy twoje cenię,
I radbym własnem życiem...

XELINA.

Stój — ja w pole biegnę,
Rzucę się między obu i pierwsza polegnę.

ZOAR.

Wstrzymaj się — na czyn taki zezwolić nie mogę;
Innę do ocalenia nastręczę ci drogę...
Napisz: — — „niech nie śmie Hana zabijać tej nocy,
Lecz w ucieczce dla siebie niech szuka pomocy“ —
Napisz i czekaj na mnie skryta w twym namiocie;
Straż odda mu to pismo po jego powrocie,
A tak męża ocalisz.

XELINA.

Zapóźna obrona!

ZOAR.

Wierz mi, nie będzie późną —

XELINA.

On już może kona!

ZOAR.

Walczy z nieprzyjaciołmi.

XELINA.

Już nadziei nie ma!

ZOAR.

On pismo twoje zaraz po bitwie otrzyma.
Bądź spokojną — spiesz.

XELINA.

Boże!

(wybiega)

ZOAR (sam).

To mu władzę skróci,
I jeźli tam nie zginie, znajdzie śmierć gdy wróci.

Koniec aktu trzeciego.

Akt czwarty.

SCENA I.

(Teatr przedstawia tę samę przedniejszą część obozu z namiotem Tamerlana, co w scenie trzeciej drugiego aktu [str. 106]. — Tamerlan siedzi na wyniesieniu. — Liczna starszyzna stoi. — Zoar zdający sprawę z bitwy, na przodzie).

TAMERLAN. ZOAR. ORSZAK.

ZOAR.

Hanie! przy nas zwycięstwo. — Stały szyki zbrojne;
We krwi wzburzonej wrzało męstwo niespokojne;
Każdy drżąc, Afarana wyglądał z zapałem,
W tem widać go z daleka — wówczas (sam widziałem
Bo i ja byłem z nimi), wówczas w mgnieniu oka
Rozległe pola cichość zaległa głęboką.
Każdy chce pierwszy schwycić wodza rozkaz drogi,
Zgięty, piersią wyprzedza posłuszniejsze nogi,
A czując bicie serca, i rosnące siły,
Czoło zmarszczył, dłoń ścisnął, i naprężył żyły.
W tem Afaran jak piorun, lub jak mara blada
Wiatr wyprzedza i czoła rycerzów dopada;

Okiem iskry ziejącem końce hufców zmierza,
Wznosi dłoń, i w żelazną pierś silnie uderza.
Każdy po tem wejrzeniu chęć jego poznaje,
A on milcząc, przykładem wszystkim rozkaz daje.
W oblężonych odwaga równocześnie wzrasta:
Wysypują się z krzykiem przed okopy miasta.
Nasi wklęsając środek, zarzucając krańcem,
W półksiężycu tatarskim witają ich tańcem. —
Uderza wróg na wroga, i z jękiem grobowym
Mięszają się nawzajem w zamęcie wirowym.
Rżą skrwawione rumaki, jęczą ranne męże,
Szczęka chrzęst zbroi dźwięczne kruszącej oręże.
Tutaj rozmiękła ziemia koniom nogi broczy,
Tam w tumanach kurz gęsty po ziemi się toczy.
Wtem, kiedy w jeden ogrom rycerze stłoczone,
Jak woda gną się naprzód, znów w odwrotną stronę,
Pers na siłach zwalczony, a w męstwie zacięty
Resztą sił odpierając, cofa odepchnięty;
Zrazu z uporem, — łatwiej — już się rozprzestrzenia —
Coraz prędzej; — wnet odpór na ucieczkę zmienia.
Długo pamiętać będzie Azya skołatana...

TAMERLAN (powstając przerywa).

Piekielny ród Tatarów i potęga Hana!

ZOAR.

Lecz nie tu koniec. Tylu zwycięstwy wsławiony
Kutłaj, służenia Tobie żądzą zapalony
Pragnął, by się bezczynnym w bitwie nie ukrywać,
Nie dając sam rozkazów, cudze wykonywać.
Nie wiem, czy za stracony urząd żałość dzika —
Czy Afaran nie lubił sławy poprzednika;

Dość że śledząc się wzajem i zżymając srodze,
W piekielnej burzy oba dostrzegły się wodze.
Zbliżają się ku sobie — oko wryte w oku,
I jednym zwrotem próżnię otwierają w tłoku.
Oręż cięty orężem pod ciosem się zgina,
I odbity, świszczące powietrze przecina.
Stal gęsty sypie ogień — a iskry z orężów
Gasną przy ogniu oczów rozpalonych mężów.
Wnet trzykroć większa wściekłość w obliczach się żarzy;
Ciało styka się z ciałem, twarz zbliża do twarzy;
Każdy żylaste barki zarzuca na wroga; —
Jakby utkwiona w ziemi, drzy niezgięta noga.
Próżno ich rozbraniamy, piersi się przygniotły,
Oczy oczom groziły — i ręce się splotły.
Niepokonana siła wzajem ich zapala;
Naprożno każdy wroga na ziemię obala;
Oba zemstą gorejąc i w zemście zażarci,
Drząc w miejscu, w miejscu stoją, w jedno ciało zwarci.
Już się chwieją — runęli — krew im z twarzy pryska,
A przygniecione ciało ślad w ziemi wyciska.
Afaran był zwycięzcą — wnet oręż porywa,
I krwią nabrzmiałe piersi do ziemi przeszywa.
Krew bryzga, — Kutłaj znosząc gniecące go brzemię
Rękami szarpie ranę i rwie wkoło ziemię.
Skonał; — wnet wojsko w dawnych szeregach stanęło,
A Afaran przerwane pobiegł skończyć dzieło. —

TAMERLAN.

Lubię ten obraz wojny — radość w sercu czuję...
Kutłaj zginął?

ZOAR.

Zwycięstwo wiele nas kosztuje.

Choć zabójca Kutłaja wielkiej godny kary,
Zwycięzca jeszcze większej godny jest ofiary.

TAMERLAN.

Tak, z rozkoszą przebaczę!

ZOAR.

Ale z drugiej strony
Zbrodnia pod twojem okiem... twój wódz niepomszczony...
Dla sławy twojej, którę tak wysoko cenię,
Może by lepiej było, gdyby oddalenie...

TAMERLAN.

Jeźli mnie postawicie w tej smutnej potrzebie,
Zacznę od mniej potrzebnych, a może od ciebie.

SCENA II.

CIŻ i AFARAN (na czele wojska z dobytym orężem wnoszą broń, klucze, chorągwie; dalej idą brańcy i t. d.)

TAMERLAN.

Gdyś obelgę wczorajszą dziś świeżą krwią zmazał,
Przyznać muszę, że jabym więcej nie dokazał.

AFARAN.

Pomiń to wielki Hanie; — bo czyliż rzecz nowa,
Że z pomiędzy walczących wygrała połowa?
Ale przebacz mi raczej, że jednem żelazem
Wojowałem i Persów i Kutłaja razem.
Zawiść niepowściągnięta w tłumy go wplątała,
A żądza mojej śmierci jemu śmierć zadała.

TAMERLAN.

Cóż ztąd? zapomniej o tem, sam sobie zaszkodził,
Że mniej mężny zuchwale na mężniejszych godził.

Jeszcze w nim wojsko moje nie straciło wiele,
Gdy obok Tamerlana, Afaran na czele.
Czyż przeto chcesz zgon jego tłumaczyć przed Hanem,
Że on zwał się Kutłajem, a ty Afaranem?
I cóż mnie to obchodzi, jak się kto nazywa?
Dla mnie ten tylko drogi, co bitwy wygrywa.
U mnie człowiek narzędziem, — daj nowe narzędzie,
Przeniosę je nad ciebie, jeźli lepszem będzie.

AFARAN (składając oznaki).

Ach panie, ja nie zdołam być poręką twoją,
Piersi me nie umieją oddychać pod zbroją.
Tak; uwolnij mnie Panie, niech te godła zrzucę,
I utraconą córkę na grób ojca wrócę.

TAMERLAN.

Obiecałem, nie cofam; — składam ci podziękę,
I pan świata przed wojskiem podaje ci rękę!
(podając ję)
Choć zapewne na zawsze odchodzisz odemnie,
Zawsze cenić cię będę.

AFARAN.

O, i ja wzajemnie!

SCENA III.

CIŻ i NIEWOLNIK.

(Niewolnik oddaje kartkę Afaranowi a ten Tamerlanowi).

TAMERLAN (czyta).

„Afaranie, kiedy Han odjazd twój odwleka,
„Szukaj dla siebie prędkiej w ucieczce pomocy.

„Han już wie, że ty chciałeś zabić go tej nocy;
„Cofnij zamiar — on w zemście śmierci twojej czeka.“

AFARAN.

Gdzież jestem — cóż to znaczy?

TAMERLAN.

Tej nocy?

ZOAR.

Co słyszę?

O zbrodnio!

AFARAN.

Tem żelazem potwarcy odpiszę!

TAMERLAN (rzuca pismo).

To potwarz!

AFARAN.

Boby prawdą musiało być razem,
Że Kutłaj na mnie godził za twoim rozkazem. —
Ja zdradziecko napadać!...

ZOAR (powtarzając Hana).

To potwarz!

AFARAN.

Drżę cały!...

Zkąd to masz?

NIEWOLNIK.

Od Xeliny.

AFARAN.

Zdrajco!

TAMERLAN (do Afarana).

Milcz zuchwały!

(Zoar daje znak żeby milczano.)

(do Zoara).

Przyprowadź tu Xelinę.

(Zoar wychodzi, dając znak wojsku, by się oddaliło).

SCENA IV.

TAMERLAN. AFARAN.

AFARAN.

Ufaj słowu memu
I pozwól mi na chwilę zostać z nią samemu.
To czarną kryje zdradę. — Cóżem jej zawinił!

TAMERLAN.

Pamiętaj, żem nikomu łask tyle nie czynił.
Innemubym nie umiał tak długo odwlekać,
I zbytecznie cierpliwy na dowody czekać.
Jeźli nie zdołasz zbrodni wytropić dokładnie,
Na ciebie cały ciężar zemsty mojej spadnie.
Nie wchodząc czy to prawda, czy złości potwarze,
W nagrodę za zwycięstwa wypędzić cię każę.

(odchodzi).

AFARAN (sam.)

Tym ostatnim wyrazem wściekłość w duszę wlałeś.
I ja już tracę ludzkość, której ty nie miałeś.
Nie znam odtąd nikogo, sam dla siebie żyję,
Nie poruszy mnie więcej nieszczęście niczyje;
A gdy bez krwi rozlewu żyć u was nie mogą,
Ja praw moich tąż samą bronić będę drogą.

SCENA V.

AFARAN. XELINA (jeszcze zakryta.)

AFARAN.

Znasz to pismo?

XELINA.

Ja?

AFARAN.

Mów!

XELINA.

Ja?... zmień ten głos.

AFARAN.

Mów.

XELINA.

Boże!

Czyż przyjacielska litość oburzać cię może?
Zamiar już twój odkryty, wszędzie trwogę wzniecił.

AFARAN.

Co?

XELINA.

Tyś chciał zabić Hana, on ciebie polecił. —
Kiedy wieść ta ogromna do mnie zabłądziła,
Dla ocalenia ciebie, jam pisma użyła.

AFARAN.

Powiedz, tę wieść piekielną kto tobie powtórzył?

XELINA.

Ach, któż ci kiedy wierniej, kto szczerzej usłużył?

AFARAN.

Odpowiadaj, lub zginiesz.

XELINA.

Śmierci się nie boję.

AFARAN.

Mów!

XELINA.

Przysięgłam.

AFARAN.

Lub zginiesz. —

XELINA.

Oto piersi moje.

AFARAN.

Han mnie czeka — jeżeli śmiesz taić niegodnie,
Własnem życiem za cudze odpowiesz mu zbrodnie.
Mów!

XELINA.

Nie!

AFARAN (dobywa oręż)

Giń!

XELINA (klęka i zatrzymuje)

Stój! miej litość nad mężem w żałobie!...
Powiedz — gdyby kto żonę zamordował tobie?...

(Afaran milcząc chowa oręż — ona wstaje.)

Na łączące mnie z mężem przysięgam ci śluby,
Żem ocalenia twego pragnęła nie zguby.
O, gdybyś mógł usłyszyć głos mego sumienia!...
Gdyby ci znane były duszy udręczenia!

G dybyś wiedział... przebacz mi! i ja miałam męża...
Przebacz łzom moim — boleść trwogę przezwycięża...
Możeś i ty miał żonę?

AFARAN (płacząc).

Już jej nie zobaczę!

XELINA.

O, i ja miałam męża! może i on płacze!...
Może on do innego zaprzedany świata
Z rzewnością zwraca myśli w upłynione lata!
Widzę go — on się ze mną więcej nie rozstanie,...
Podobny do aniołów, i do ciebie panie! —

AFARAN (chce odkryć ję).

O Boże, ten głos!...

XELINA.

Czekaj!

AFARAN.

Przysięgam, odkryję!

XELINA.

Ach, — Kutłaj!

AFARAN.

Już go nie ma.

XELINA.

Co? Kutłaj?...

AFARAN.

Nie żyje.

XELINA (rzucając się na niego i odsłaniając twarz).

Wacławie!!

AFARAN.

Co? Wacławie? Boże! — tak — to ona!
Heleno!! — gdzież ja jestem?...

XELINA.

Mój mąż...

AFARAN.

Moja żona...

XELINA.

O Wacławie!

AFARAN.

Heleno!... Cóż się ze mną dzieje?
Ledwie uwierzyć mogę; i drżę i truchleję. —
Tyś tak długo przedemną ukryć się zdołała!

XELINA.

Kutłaj śmiercią zagroził, gdybym się wydała.

AFARAN.

Powiedz, powiedz Heleno! zkąd ta wieść szatana?
Kto ci mówił, żem ja chciał zamordować Hana?

XELINA.

Zoar.

AFARAN.

O, ta wieść w jego wylęgła się głowie!
On ję stworzył, rozrzucił; on za nię odpowie!

XELINA.

Usuń się — ktoś nadchodzi. —

(zasłania twarz chwilowo).

SCENA VI.

CIŻ i IZANA.

IZANA.

Widzę was oboje?
Afaranie — ty prośby wysłuchałeś moje?
... iesz ję?

AFARAN.

Czy ję wezmę!

IZANA (ściska ję).

O, jakżem szczęśliwa!

AFARAN.

Żono!

XELINA

Mężu mój!

IZANA (puszczając ję).

Jakiż głos się tu odzywa?
Żono?... mężu?...

AFARAN.

Heleno!

XELINA.

Wacławie!

IZANA.

O Nieba!

AFARAN.

Już do szczęścia naszego więcej nie potrzeba.
Ta o której zabiciu pomięszane wieści
Tyle sercu mojemu zadały boleści,
Której utrata całe szczęście mi wydarła,
I litość zagłuszyła — i cnoty zatarła,
I pomięszała w sercu tlącem zemstą krwawą
Wściekłość z żalem, łzy z żądzą, odwagę z obawą, —
O której tobie z takim mawiałem zapałem,
Co była duszą moją, mojem szczęściem całem,

Której ty sama, słodząc smutne moje życie,
Litowałaś się nieraz, zapłakałaś skrycie,
Oto stoi przed tobą.

IZANA.

Kłamiesz! to nie ona!

XELINA (ściskając jego rękę).

Izano! to nie mąż mój?

AFARAN.

To nie moja żona?

IZANA.

Nie ujrzy świata tego, kto raz legnie w grobie.

XELINA (do Afarana).

Tyś mnie z grobu wydobył!

AFARAN.

Drogieście mnie obie.

IZANA.

O, nie! — jej pierwsze słowo, jedno jej spojrzenie,
Wznieciły w sercu twojem miłości płomienie.
Szczęśliwa! — ona w jednej chwili pozyskała,
Czegom ja przez lat tyle zyskać nie umiała!

AFARAN.

Gdyś mi lat tyle ciężkie słodziła katusze,
Tęż z ust twoich przy końcu wzgardę słyszeć muszę?
Boże! czyż kiedy pragnąc milszym tobie zostać,
Przybierałem kochanka wymuszoną postać?
Kiedyż zdradne wyrazy, kłamliwe wejrzenia
Ukrywały przed tobą duszy udręczenia?
Czyż taiłem się kiedy? czyż kiedy umiałem

Zimne uczucia sztucznym ożywić zapałem?
Gdy obok miłych wspomnień ponurość grobowa
Zadziwiające ciebie nastręczała słowa;
Jeżeli ciągłym żalem jątrzące się rany,
Jeżeli dusza strudzona, umysł obłąkany,
Łzy boleści z szaloną mięszały rozpaczą,
Czyż taiłem przed tobą co te troski znaczą?
Próżno w twojej litości szukałem pomocy;
Cierpienia z dniem przeżyte, sen powtarzał w nocy.
Uchem śledząc jej głosu, jej postaci wzrokiem,
Widząc ję duszą, w tobie widziałem ję okiem.
Ję przyciskałem, twoje przyciskając łono!
Izano, powiedz, powiedz, czy jest moją żoną?

IZANA.

Dobrze — wierzę twym słowom, kiedy każesz wierzyć,
Ale utraty twojej nie potrafię przeżyć.
Któż mi przyniesie pomoc? jestże jaka siła
Coby zatarła przeszłość, wspomnienia zniszczyła?
Gdzież się podzieję? sama, — bezsilna sierota
Przy kimże spędzę resztę ciężkiego żywota?
Jestże cud, jestże władza na ziemi czy w Niebie,
Któraby mnie zapomnieć nauczyła ciebie?

AFARAN.

Uspokój się Izano, — czas wszystko odmieni,
Obudzi przyjaźń w miejscu niewczesnych płomieni.
Jeźli wolisz dom ojca, możesz wrócić ze mną;
Jeżeli Polska nasza będzie ci przyjemną,
Pójdź z nami; będziem wspierać twoje lata młode;
Znajdziesz krewnych, przyjaciół, mienie i swobodę,

Wszystko; bo jam dawnego uczucia nie zmienił,
W niej będę kochał żonę, w tobie przyjaźń cenił;
A tak szczęśliwy wami, nadziei nie stracę,
Że ci życzliwość twoję, wdzięcznością odpłacę.

IZANA.

O, nie — ja tu zostanę; — nic mnie nie nakłoni;
Pożegnam was oboje, lecz z żelazem w dłoni. —
I ty szczęścia nie znajdziesz — Bóg za twoje winy
Nigdy ci twojej dawnej nie wróci krainy.
Nie zastaniesz nikogo — ci w troskach umarli,
Ci żyjąc, imię twoje w pamięci zatarli.
Nie znajdziesz domu twego — próżno w całej ziemi
Śledziłbyś miejsca jego pod stopami twemi.
Gdzie spojrzysz, w którąkolwiek obrócisz się stronę,
Wszędzie dręczyć cię będzie sumienie ranione.

(do Xeliny)

Ach, potożem dla ciebie litości żebrała,
Bym utraciwszy szczęście, na wasze patrzała!
Boże, co srodze karzesz niewiarę i zbrodnie,
Za niepotrzebną litość skarałeś mnie godnie.

XELINA.

Kiedyż łzy moje oschną sprawiedliwe Nieba?
Kiedy na własne szczęście jeszcze płakać trzeba!

SCENA VII.

CIŻ i ZOAR ze strażą.

ZOAR.

Xelina pójdzie ze mną!

AFARAN.

Dokąd?

ZOAR.

Do więzienia.

AFARAN.

Widzisz ten oręż?

Cudze wypełniam zlecenia;
Zbyt długa zwłoka czyni niespokojnym Hana.
Dziwiż ciebie gwałtowna woli jego zmiana?
Zwykle wyroki nasze jedna chwila zmienia,
Co dziś godne nagrody, jutro potępienia.
Ciebie zaś Afaranie Han wielki ocalił,
Bylebyś się dziś jeszcze z obozu oddalił.

XELINA.

Nieba!

IZANA (pocieszona).

Ha!

AFARAN.

Tyż to mówiąc śmierci się nie boisz?
Jeźli ci życie drogie, wracaj! — jeszcze stoisz?
Lub raczej powiedz: jakaż czarodziejska władza
Ciebie na ślad pomysłów cudzych naprowadza?
Powiedz, jakimże cudem — raczej, jakim czołem
Tyś wyśledził mój zamiar, wprzód nim go powziąłem?

ZOAR.

Rzecz dziwna, gdziem się zwrócił, wszędzie, z każdej strony
Uszu moich dochodził ten zarzut szalony!
Gdym zbyt rozgłoszonego stłumić już nie zdołał,
Chciałem skutki uprzedzić...

AFARAN.

Tyś go sam wywołał!

Nią się świadczę...

XELINA (do Afarana).

Pomiń to; — szanuj życie twoje,
Mnie zostaw — uchodź spiesznie; — uchodźcie oboje. —
Ja nigdy lepszej w życiu nie czekając doli,
Nawykłam już do cierpień, do łez, do niewoli. —
Chwila nadziei dawną rozjątrzyła ranę,
Lecz gdy ją znów utracę, spokojną zostanę.
Myślmy ciągle o sobie, a mimo przestrzeni
Będziem razem, bo myślą ciągle połączeni.
Podaj mi rękę twoję — uściśnij mnie szczerze,
Raz ostatni... raz jeszcze. —

ZOAR.

Bierzcie ję żołnierze.

AFARAN.

Zginie, kogo zuchwała zbliży do mnie noga!
Żono!

XELINA.

Mężu! Wacławie!

AFARAN.

O Heleno droga!

XELINA (do Zoara).

Litości! chwila jeszcze — wszak to już na wieki!
Na wieki!...

ZOAR (do Xeliny półgłosem).

I jażbym ciebie z mojej wypuścił opieki?

XELINA.

Co? ty możesz?

IZANA.

Nie może!

ZOAR.

W nocy; pokryjomu;...
Wszakże ucieczka z mężem nie przyniesie sromu.

XELINA.

Co!

AFARAN.

Mów!

ZOAR.

Uchodźcie!

IZANA.

Straż nam wyjścia wzbraniać będzie.

ZOAR.

Już poleciłem — straże przepuszczą was wszędzie.
(do straży:)
Gdy wyjść zechce, możecie namiot jej odsłonić.

IZANA.

A mnie wejścia nie wzbraniaj.

ZOAR (do żołnierzy).

I wejścia nie bronić.

IZANA.

Słyszycie?
(na stronie)
Los nasz w krótkiej rozstrzygniemy dobie,
Jedna tylko żyć będzie, lub zginiemy obie.

AFARAN.

W nocy przybędę po was.

(Zoar daje znak straży, aby wzięto Xelinę — Ataran i Izana odchodzą w różne strony).

SCENA VIII.

ZOAR (sam).

Ja Hana sprowadzę,
Sprawdzi się chęć zabójstwa. To ci skróci władzę.
Śmierć wszystkich, wszystko przeszłe w niepamięć zagrzebie
Tyś zastąpił Kutłaja — ja zastąpię ciebie!...

Koniec aktu czwartego.

Akt piąty.

(Całe miejsce widziane okryte lasem; — z jednej strony widać początek obozu, i czarny namiot więzieniem będący; — przed namiotem chodzą straże. — Noc — widać księżyc. — Zoar wchodzi z żołnierzami, których ukrywa za drzewa.)

SCENA I.

ZOAR.

Rozsypcie się w gęstwinie z milczeniem głębokiem,
Każde ich poruszenie czujnem śledźcie okiem;
Wkrótce wielkiego Hana w to miejsce sprowadzę,
A losy wasze, waszej poruczam odwadze.

(idzie.)

SCENA II.

AFARAN (później nieco).

Tam ich nie widzę — może w innę poszły stronę. —
Heleno!! czekam!! — milczy? może są zdradzone!
Miałyżby lekce chwilę umówioną cenić?
Miałyżby się zatrwożyć, przedsięwzięcie zmienić?
Służy nam noc pogodna, — nie! pojąć nie mogę;
To opóźnienie wznieca domysły i trwogę. —

(do straży)

Były tu dwie kobiety? czyście nie widzieli?
Milczycie? za pieniądze mówić zapomnieli! —
Niezasłużoną pewnie obarczam je winą;
Tak, kto inny być musi tej zwłoki przyczyną.
Pobiegnę, porozrywam te domy wiszące,
Piersią wyprę zapory, i straże roztrącę. —
Wszędzie martwo — noc szare rozpostarła cienie;
Głucha cichość i spiące zaległo milczenie...
Jakiś szmer... to wiatr słaby w łagodnym powiewie,
Rozkołysane liście potrąca na drzewie.
Spią wszędzie... lecz co słyszę? czy to liść szeleści? — —
Głos ludzki... wielki Boże... tak, to głos niewieści!
Słychać znów — jak grobowy jęk słychać zdaleka...
Jakby sapanie... czemuż tak długo odwleka?...
Zimno mi... już je słyszę.. czy mnie ucho zwodzi?
Tętni stęp szybkiej stopy. — Tak jest, ktoś nadchodzi.

SCENA III.

AFARAN. IZANA.

IZANA (wpada blada ze sztyletem w dół spuszczonym).

Pójdź — pójdź już — uciekajmy — ty jeszcze odwlekasz?
Przez litość uciekajmy — i na kogo czekasz?

AFARAN (bierze ję za rękę).

Tyś pomięszana?

IZANA (wzięta za rękę wypuszcza żelazo).

Boże! zkąd masz to narzędzie?
Gdzieś znalazł? to nie moje.

AFARAN.

Piekła!

IZANA.

Cicho wszędzie...

AFARAN.

Izano!

IZANA.

Kto mnie woła? nie trwoż się, to we śnie...
Cóż znaczą te odgłosy jęczące boleśnie?

AFARAN.

Ach, Izano, domysłem niechciej mnie zatrważać.

IZANA (ogląda się).

To ty? czyż mnie tak strasznie godzi się przerażać?
Cicho — mów — kogo szukasz? — czego się oglądasz?
Poco przyszedłeś do mnie? powiedz czego żądasz?...
Zsiniałe członki ciepłe — wpadł w piersi głęboko...
Patrz, jak szybko przymyka i otwiera oko!...
Drgają palce i usta — znikł głos przerywany,
A spieczonej krwi kłęby wyrzucają rany!...

AFARAN.

Gdzież jestem? Nieba!

SCENA IV.

CIŻ I XELINA (ranna).

IZANA.

Cóż to za postać straszliwa?
Ratujcie!

AFARAN.

Żono!

XELINA.

Mężu!

AFARAN.

Żono nieszczęśliwa!

IZANA.

Piekielne widmo, opuść te skościałe dłonie...
Czego szukasz? po zemstę przychodzisz po zgonie?
Zlodowaciałą nogą we krwi mojej brodzić?
I krwią moją wyschnięte wnętrzności ochłodzić.

(wybiega.)

XELINA.

Przebaczam ci Izano!

SCENA V.

AFARAN. XELINA.

AFARAN.

Piekielne zbłąkanie!

XELINA.

Wacławie, konającej przyjmij pożegnanie.

AFARAN.

Najlepsza żono, zdrada wydziera ci życie!
Nielitościwe Nieba! wyż na to patrzycie?

XELINA.

Uspokój się Wacławie — już siły słabieją,
Usypia krew stygnąca, i członki drętwieją...

Wstrzymaj twój odjazd, — życie przetrwawszy w żałobie,
Niech tę ostatnią chwilę przepędzę przy tobie.
Ty obcym prawie dla mnie będąc przez czas długi,
Żonie twojej nie odmów ostatniej posługi.
Własną ręką do ziemi wejście mi otworzysz,
I na wieczny spoczynek zwłoki moje złożysz.
Tam się zdradnej litości nie uwiodę głosem,
Śmierć będzie życiem mojem, jednostajność losem.
Szczupły grób całym światem, ziemia przyjacielem,
A wieczne zapomnienie,... krzywd moich mścicielem...

AFARAN (oglądając ranę)

Uspokój się, uspokój Heleno kochana,
Nie ma niebezpieczeństwa — to nie groźna rana.
Żadnym dotąd występkiem ręka nieskażona,
Sił niepewna, bojaźnią drżąca, i omdlona,
W odurzeniu cios słaby twym piersiom zadała. —
Już dawna moc powraca — krew się zatrzymała;
To więcej przerażenie, — tak, porzuć tę trwogę,
Przybierz męstwa, — ja chwili zostać tu nie mogę.

(chcą iść)

SCENA VI.

CIŻ i ZOAR (wpada z okrytemi żołnierzami)

ZOAR.

Trzymajcie!

AFARAN.

Precz odemnie! ze mną walczyć śmiecie?
Niebo mi ję powraca, a wy nie wydrzecie.

Czuję nadludzką siłę, którą moje ramie
I ciebie sprzątnie z drogi i te szyki złamie.
Wszystkich z wiatrem rozprószę — wszędzie burzę wzniecę,
I po trupach usłanych zwycięzcą przelecę. —
Kto mi drogę zastąpi? to śmierci narzędzie
Jak duch w świętej pielgrzymce przodkować mi będzie.
Odważny dobrą sprawą i męstwem zuchwały,
Patrz, w każdej części ciała walczyć będę cały!

(chcą iść)

XELINA.

Wacławie!

ZOAR (chwyta Afarana)

Nie odejdziesz!

AFARAN (przebija Zoara)

Giń zbrodniarzu krwawy!
Niegodzieneś litości, gdy złej bronisz sprawy!

SCENA VII.

CIŻ i TAMERLAN.

TAMERLAN.

Stój!

AFARAN.

Tamerlan?

TAMERLAN.

Więc prawda, że przy jej pomocy
Chciałeś mnie zamordować zdradziecko tej nocy?
I w zbrodniczem zuchwalstwie zabijasz Zoara!

AFARAN.

Nie Panie! — lecz dla niego to za mała kara.

TAMERLAN.

Co tu robisz? — w tej porze?

AFARAN.

Ona moją żoną.
Z nią chciałem ujść tajemnie na rodziny łono;
Lecz świadczę się sumieniem, Bogiem, Niebem całem,
Że nigdy ciebie gubić zamiaru nie miałem.
Patrz na mnie i tu czytaj — głosu nie odmienię,
A śmiałe oko, czyste odkrywa sumienie!
(do Zoara)
Ale ty synu piekła, ty wszystkich zdradziłeś;
Ty pragnąc śmierci mojej tę wieść rozpuściłeś.
Mów! przyszła straszna chwila — ciało twoje kona,
Dusza twoja przechodzi do wieczności łona; —
Mów, czy na widok Boga zgrozą nie truchleje?
Mów! w miłosierdziu jego masz jakę nadzieję?
Przebłagaj go wyznaniem! — Chce mówić; — znak daje...
Przysięgam on nas zdradził!.. —

ZOAR (konając)

Tak jest... ja... wyznaję...

AFARAN.

O Boże!

XELINA.

Dzięki Niebu!

AFARAN.

Kutłajowi służył,
I dla własnych widoków czarnej zdrady użył. —

SCENA VIII.

CIŻ i jeden ze Straży.

ŻOŁNIERZ.

Jakaś kobieta z miejsc tych szybkim dążąc krokiem,
Z wzniesionemi rękami, z zaostrzonym wzrokiem,
Z rozpuszczonemi włosy, jęcząca, wybladła,
Minęła straże nasze, i do rzeki wpadła.
Poniesiono jej pomoc, ale nadaremną:
Wartki pęd wody porwał i skrył ję przedemną.

(odchodzi)

AFARAN.

Co — Izana nie żyje?

TAMERLAN.

To całe zdarzenie,
Jakgdyby nie istniało, puśćmy w zapomnienie!

XELINA.

Ach Panie, ty zadaną zgoiłeś mi ranę;
O Nieba! coż sprowadza tę gwałtowną zmianę?
Już więc nie potrzebuję mej duszy ukrywać,
I już mi wolno mężem jawnie go nazywać...
Mężu mój!

AFARAN.

Droga żono! Dzięki Niebu składam;
W niej wszystko utraciłem, w niej wszystko posiadam.

TAMERLAN.

Żyjcie odtąd szczęśliwi miłością wzajemną!
Ja zawsze będę z wami, a wy bądźcie ze mną.

AFARAN.

O Panie — kiedyś raczył męki nasze skrócić,
Do kochanej ojczyzny nie wzbraniaj powrócić.

TAMERLAN.

I tyż śmiesz żądać tego? dwóch wodzów zabiłeś;
Milczałem, bo ich stratę sobą nagrodziłeś,
Nie mógłżeś przeczuć, względy zaślepiony memi,
Że gdybyś chciał odchodzić, poszedłbyś za niemi?

AFARAN.

Cóż ja Panu trzech światów pomódz jestem zdolny?
Czyż bezemnie zwyciężą ciebie?

TAMERLAN.

Jesteś wolny. —
Lecz idź zaraz, dopokąd robię tę ofiarę;
Kto wie czy jutro łaski nie zmienię na karę.

AFARAN (porywając żonę swoję)

O! nie dożyłbym jutra! Jest moc niepojęta,
Jakiś duch tajemniczy, jakaś władza święta,
Co bratniem pokrewieństwem rodaków kojarzy,
Która przez wspólność losu, wspólnem czuciem darzy;
Która dusze i serca połącza ze swemi,
Stopy nawet przykleja do rodzinnej ziemi! —
W obcym kraju, rodaka kto napotka zbliska,
W nim jednym wszystkich swoich do serca przyciska. —
Człowiek krew swą przelewa dla kraju posługi,
Ginie, i radby ożył, by zginąć raz drugi. —
Komu Bóg tę ostatnią zostawił pociechę,
Na skrzydłach wiatru leci pod rodzinną strzechę,

By znaleść jeszcze ziemię, ziemię sercu drogą,
Ziemię, na którę śmiałą stąpić może nogą,
I wyrzec, — gdzie pomniki ojców jego stoją: —
Ten kraj moją ojczyzną, ta ziemia jest moją!

(wybiega z żoną).

KONIEC.

Uwaga. Tamerlan, podług historyi życia jego, utyka na lewą nogę, i ma lewą rękę odciętą niżej łokcia, w skutek ran świeżo odniesionych na granicach Seistanu. (Szczegół ten tłumaczy, dlaczego Han swoich wojsk sam nie prowadzi do boju pod Szyrwanem.)

IV.

ARCEZ.

Trajedya w czterech aktach.

(Sztuka ta przedstawioną była kilkakrotnie w Wielkim teatrze Warszawskim przed rokiem 1831).

OSOBY.

BARDAN, naczelnik plemienia Ultonii.
ARCEZ.
EGEMA, córka Bardana.
TURGUTAN, stary wódz.
HEREMON, syn jego.
RAZENA, towarzyszka Egemy.

Scena w Irlandyi w dziewiątem stuleciu.
(Rzecz wzięta z podań miejscowych).

Akt pierwszy.

SCENA I.

BARDAN. TURGUTAN.

BARDAN.

Szanowny wojowniku — drogi przyjacielu,
W ważnym cię dziś dla kraju przywołałem celu.
Na tej nieludnej wyspie, mimo królestw mnóstwo,
Mimo zamki warowne i ludu ubóstwo,
Złych sąsiadów umysły chciwe, niespokojne,
Niekończącą się nigdy zarzewiają wojnę.
Od trzech lat nieprzerwanie srogie Piktów plemię
Burzy nasze siedziby i pustoszy ziemię.
Ciągle się przerzedzają liczne niegdyś szyki; —
Próżno z dniem każdym mężne giną wojowniki;
Codzień widzimy nowe i gwałty i męki,
Conoc słyszymy krzyki, rozpacze i jęki;
Widzimy ciągle ognie i łuny na niebie.
Cóż mogę słaby starzec w tak trudnej potrzebie,
Niegdyś stróż swobód waszych i granic obrońca,
Stargany w tylu bojach i już bliski końca?

Gdy niebo niemowlęciem zabrało mi syna,
Niech nowe pokolenie królować zaczyna.
Niech tę przynajmniej znajdę pociechę przy zgonie,
Że los kraju naszego w młode złożę dłonie.
Ty, który przyjacielem moim przez lat tyle
Byłeś przy wiośnie życia, jesteś przy mogile,
Przynieś mi radę, podaj przyjacielskie wsparcie,
Wszak tu o przyszłość chodzi; — mów ze mną otwarcie. —
Z tych, co tej szczupłej ziemi zatrudnieni sprawą
Umieli dług synowski wypłacić jej z sławą,
A których późne wnuki wdzięcznością nagrodzą,
Jedni zeszli ze świata, drudzy z nami schodzą.
Gdy nas od spraw narodu usuwa wiek stary,
Niech młodsi od nas dalsze dźwigają ciężary.
Lecz niestety z szczupłego wybrać przyjdzie grona:
Mamy tylko Arceza albo Heremona.
Mnie na stronę pierwszego przeczucie nakłania;
Lecz nie ufając sobie, czekam twego zdania.

TURGUTAN.

Jam krajowi naszemu głównie w bojach służył;
A luboś także często rady mojej użył,
Oszczędny w zdaniu, nigdy nie śmiałem ci radzić,
Gdzie mogłem rodu mego korzyści sprowadzić.
Jeźli temu nie przeczysz, nie wymagaj panie,
By o przymiotach syna ojciec dawał zdanie.

BARDAN.

Mów ze mną jak bywało, szczerze i otwarcie;
Zdanie twoje dziś wielkie przyniesie mi wsparcie.
Ty wiesz, ja się do wielkich mocarzów nie liczę,
Którzy gdy zewsząd słyszą pochlebstwa zwodnicze,

Bóg im tak mało prawych przyjaciół udzielił,
Że im się żaden prawdy mówić nie ośmielił.
Mów szczerze, — tego żądam — a wnet rozrządziemy
Zwierzchnictwem, a z niem ręką Egemy...

TURGUTAN (strwożony).

Egemy?...
Kiedy więc nakazujesz, abym mówił szczerze...

BARDAN.

Mów; równie w twoję szczerość, jak w twę przyjaźń wierzę.

TURGUTAN.

Lecz... lękam się, by mojej nie splamiono sławy,
Żem sam do syna mego śmiał należeć sprawy.

BARDAN.

Przechowam tajemnicę.

TURGUTAN.

Wielbię obu cnoty,
Oba mają czcigodne acz różne przymioty;
Lecz kiedy te na szali porównania ważę,
Słuszność za synem moim przemawiać mi każe;
Bo Arcez jeśli potrwa w swej dobroci dłużej,
Prędzej na imię ojca niż króla zasłuży.
Twój towarzysz, gdy z laty walczyć zapomina,
Wojować i wygrywać nauczył już syna.

BARDAN.

Czemuż nie mogę równej pociechy używać? —
O, ja nie mogłem mego nauczyć wygrywać!
Dwadzieścia lat minęło, jednak i dziś przecie
Niezłagodzony smutek serce moje gniecie!

I tym mi boleśniejszą stratę przypomina,
Że kraj utracił króla ze śmiercią Alcyna.
Niebo srogą na ojca zsyłając ofiarę,
Stratę syna w ogólną przemieniło karę.
Dziś w niebezpiecznym rządcy przyszłego wyborze,
Któż z nas ciężkiej pomyłki nie lękać się może? —
Gdy się różnimy w zdaniu: — ja Arceza pragnę
I czuję, że nie łatwo zdanie moje nagnę,
Niech więc czajek przewódzcy i rodzin ojcowie,
Naczelnicy górali i zamków panowie
Zgromadzą się na radę; — w tak ważnym układzie
Więcej niż sobie samym, zaufajmy radzie.

(odchodzi).

SCENA II.

TURGUTAN. ARCEZ. HEREMON.

HEREMON (do Turgutana).

Czy rozniesione wieści godnemi są wiary,
Że król ważne dla kraju układa zamiary?

ARCEZ (do tegoż).

Że ciebie stryju po to przywoływał do siebie,
By rady twojej w ważnej zasięgnął potrzebie?

TURGUTAN.

Tak jest — by śmiercią swoją zaburzeń nie sprawić,
On chce za życia jeszcze następcę zostawić. —
Lecz gdy się z wolą jego moja nie spotkała,
Chce, ażeby jednego z was rada wybrała.
Temu, na czyję głosy przeważą się stronę,
Odda chorągiew przodków i córkę za żonę.

HEREMON.

Rządy kraju!

ARCEZ.

I córkę!!

TURGUTAN.

Lecz mocno boleję,
Że nie dla obu równą odsłonię nadzieję:
Wybór na pół zrobiony; — Twój ojciec przy zgonie
Dalszy twój los, Arcezie, w moje złożył dłonie;
I przyznacie mi sami, że z równym zapałem
I siostrzeńca mojego i syna kochałem.
Lecz dziś, by mnie o stronność nie posądził trzeci,
Jestem synem ojczyzny, i nie mam już dzieci. —
A jeśli los życzenia mojego dokona,
Na czele naszem wkrótce ujrzym Heremona.

ARCEZ.

Egemo!

TURGUTAN.

Ty jej musisz wyrzec się niezwłocznie,
Wprzód nim się zejdą radni, nim się zbór rozpocznie.

ARCEZ.

Stryju, i jażbym zdołał takie oświadczenie?...

TURGUTAN.

Tego żądam, i woli mojej nie odmienię.
Dziś, gdy ciągle nękany burzliwemi wojny,
Biedny lud jednej chwili nie wytchnie spokojny;
Kiedy te mórz mieszkańce, napół nagie hordy
Łupieżą chaty biednych, rozsiewają mordy,

Łowią trzody po górach, niszczą dolin plony,
Topią dzieci i starców, porywają żony;
Kiedy cała Ultonia w popiołach, zburzona, —
Tyżbyś jej sam nie życzył wodzem Heremona?
Nie zwalczyłbyś miłości? patrz, sam się rumienisz,
Że tak mało szlachetną duszę twoję cenisz...
Dowiedź, że umiesz wesprzeć ojczyznę w potrzebie,
Wyrzec się wszelkich związków, i zwyciężyć siebie. —
Dowiedź, jak ja dowiodę, ciebie godnym czynem,
Że wprzód niźli kochankiem jesteś kraju synem. —
A ja, skroń twą zwycięskim ozdobiając wieńcem,
Z pychą wśród koła moim nazwę cię siostrzeńcem! —
O nieba! — jakże słodko ofiarą tak małą
Pozyskać wdzięczność swoich i okryć się chwałą! —
Z jakąż znoszą radością znoje i katusze,
Kochające ojczyznę, niezachwiane dusze!
Życie dla niej poświęcić jest zaszczyt zbyt mały.
Dziś te cnoty powszednie zadziwiać przestały;
Lecz szukać szczęścia swego w jej szczęściu, zaszczycie,
I to jej wreszcie oddać, co droższe nad życie —
Oto jest świetny obraz wznioślejszej posługi,
Jakę jej oddał Warik, a ty oddasz drugi.
Powiedz, maszże dość męstwa?... niechaj w jednem słowie...

ARCEZ.

Uwolnij od słów, Arcez czynem ci odpowie.

TURGUTAN.

Zwołam więc radę, — wierz, ten jeden czyn wypłaci,
Co za całe twe życie winieneś dla braci.

(odchodzi).

SCENA III.

ARCEZ i HEREMON.

ARCEZ.

Idę —

HEREMON.

Dokąd?

ARCEZ.

Wypełnić ojca twego wolę.

HEREMON.

Tyżbyś sam dla Egemy gotował niedolę?
Gdy równe mamy prawa, niech nas obu sądzą;
Gdy z dwóch będą wybierać, tym trudniej pobłądzą.
I jakiżby to na mnie zaszczyt sprowadziło,
Żem ja był najgodniejszym, gdy innych nie było?

ARCEZ.

Niewiele życiu twemu przydać możesz sławy,
Stając pewny tryumfu z bratem do rozprawy.
Gdyby wybór nie łączył Egemy zamężcia,
O! nigdybym ci tego nie zazdrościł szczęścia!

HEREMON.

Tyżbyś tak szczupłe szczęściu granice zakréślał,
I gdzie o władzę idzie — o żoniebyś myślał?...
Więc bracie, nie czyń kroku, który w jednej chwili
Cały ogrom nieszczęścia na ciebie przechyli.

ARCEZ.

Czuję sam, że nie mogę.

HEREMON.

I czyż taką trwogą
Wyrazy ojca mego przerażać cię mogą? —
Jakkolwiek sławnych cnotą szereg przodków długi,
I osobiste ojca mojego zasługi,
Zdanie jego prawości cechują znamieniem,
Wola jednego nie jest powszechnem życzeniem.
Bracie, — jeżeli z tobą mam mówić otwarcie, —
W przywiązaniu Egemy wielkie znajdziesz wsparcie,
Bo kiedyś już pozyskał miłość wzajemną,
Do związku tego większe masz prawa przedemną.

ARCEZ.

Tak, — lecz ta skłonność serca starców nie poruszy,
Twoja siła ramienia, i hart twojej duszy....

HEREMON.

Tę różność ducha, którę ludzie widzą w czynach,
Ojcowie nasi ze krwią zaszczepili w synach. —
Twój więcej był przezorny, a mój więcej mężny;
Twój więcej przenikliwy, mój więcej potężny.
Czego twój za łagodnym nie dopiął rozkazem,
Mój uderzył, i milcząc wykonał żelazem.
Mój bronił kraju mieczem, twój go radą wspierał;
Mój odwagą pokrzepiał, gdy twój łzy ocierał.
Kiedy się do gór naszych obcy lud dobywał,
Twój radził go pokonać, a mój pokonywał.
Trudno zatem przewidzieć, czy mnie czy też ciebie
Przeniosą zgromadzeni w tak ważnej potrzebie.
Niech jednak los, co w takiej doświadcza nas próbie,
I połączonych dotąd, stawia przeciw sobie,
Nie rozłączy nas nigdy. —

ARCEZ (za rękę go biorąc).

I w największej zmianie
Niech dawna przyjaźń nasza niezmienną zostanie.
A chociaż w tym brzemiennym przeciwieństw natłoku
Żadenby z nas nie wstrzymał łzy bolesnej w oku...

HEREMON (przerywając).

Jażbym płakał, i los mój tak wysoko cenił?...
Przebacz, jeśli ten zarzut twarz moję zrumienił.

ARCEZ.

Bracie, w tem jednem, widzę, mocno się różniemy:
Ty więcej pragniesz władzy, ja więcej Egemy.
Ha! jednakże mi Niebo tyle męstwa dało,
Że z walki uczuć sprzecznych i ja wyjdę z chwałą;
I ja zdołam dla braci i twojego szczęścia,
Posłuszny woli stryja, wyrzec się zamężcia.

(Odchodzi).

SCENA IV.

(Inny pokój)

RAZENA. EGEMA.

EGEMA.

Patrzaj, Arcez nie wraca — może złemi wieści
Nie chce nowej w mem sercu rozniecić boleści.
Może on już rozpoznał, że Rada zwołana,
Która, mówią, — przyszłego ma wybierać Pana,
Niegodnie nad Arceza wznosząc Heremona,
Narzuconem zamężciem mych nieszczęść dokona.
Ale czemuż nie wraca i powiększa rzewność?
Strasznym ciosem jest rozdział, straszniejszym niepewność;

RAZENA.

Wkrótce wróci; niepewną będąc twojej doli,
Czas opieszały nazbyt spływa ci powoli.
Jednak, pocóż rozmyślnie przed stroskanem okiem
Słońce nadziei smutku przegradzasz obłokiem?
Bo któż przewidzi? — może nagle, niespodzianie
Dzień dzisiejszy dniem szczęścia twojego zostanie?
Czyż może oko twoje łzę boleści sączyć,
Gdy się możesz z Arcezem nazawsze połączyć?

EGEMA.

Tak jest, wiecznie połączyć lub wiecznie rozdzielić!
O! los taki nie może serca rozweselić.
Rada, co tylko dobro kraju ma na względzie,
Pewno cierpienia mego szanować nie będzie.

RAZENA.

Twój ojciec, chociaż widzi równe cnoty w obu,
Nie zechce młodych lat twych przychylać do grobu;
Prócz tego, jakaś tajna siła przywiązania
Serce jego na stronę Arceza nakłania;
Lubi z nim mówić, z każdą zdaje się rozmową
Wzmagać dawną życzliwość życzliwością nową.

EGEMA.

Wszyscy go wielbią, — Arcez nieprzyjaciół nie ma; —
Ale ileż go kocha nieszczęsna Egema!
Lecz powiedz — on nie wraca?

RAZENA.

Owszem, już nadchodzi...

EGEMA.

Cóż we mnie tę obawę i to drzenie rodzi!...

SCENA V.

TEŻ i ARCEZ.

EGEMA (strwożona).

Czy straciłeś nadzieję?

ARCEZ.

Ach, porzuć tę trwogę...
Jeszcze nic stanowczego powiedzieć nie mogę.

EGEMA.

Słyszałżeś zdania, myśli, chęci i układy
Naczelników pokoleń zebranych do rady?

ARCEZ.

Słyszałem...

EGEMA.

Mów —

ARCEZ.

Egemo, o jakże boleję,
Że tylko zachwiać mogę tę błogą nadzieję!

EGEMA.

Nieba!

ARCEZ.

Lud co zaledwie uniknął zagłady,
Chce przyszłe bytu swego umocnić posady.
Przebywszy tyle cierpień, straciwszy tak wiele,
Pragnie on bohatera postawić na czele,
Któryby straszny obcym i wszędzie zwycięski,
Pomścił doznane krzywdy i odwracał klęski;

Wzajemną trwogę w łonie sąsiadów rozsiewał, —
Nie powstrzymywał jednych, a drugich zdumiewał, —
By przed nim drżała morska dzicz nieposkromiona...
Rozumiesz mię Egemo, — on chce Heremona.

EGEMA.

A więc nie chce takiego, któryby zarazem,
Swoich sercem zwyciężał, a obcych żelazem?
Rozsądkiem i dobrocią zdumiewał sąsiady,
Przezornością uniknął burzy i zagłady.

ARCEZ.

Nie rozpaczajmy jeszcze w tej wątpliwej doli,
Jeszcze radni ostatniej nie wyrzekli woli.
Może niebo nam sprzyja, — może los nadarzy,
Że jeszcze upragniony związek nas skojarzy;
I może cudem jakim światło zajaśnieje,
Które nam przytłumioną ożywi nadzieję;
Wówczas Egemo, cierpień przetrwawszy czas krótki,
Z rzewnością będziem dawne wspominali smutki...

EGEMA.

Tak jest! król i Turgutan wesprą stronę twoję...

ARCEZ.

O! nie Egemo — jego najwięcej się boję...

EGEMA.

Stryja?

ARCEZ.

On dogadzając narodu potrzebie
Chce żebym... przebacz,...

EGEMA.

Dokończ!

ARCEZ.

Bym się wyrzekł ciebie!

EGEMA.

Potożeś tajny ogień rzucił w moje łono,
Byś na wieki opuścił ofiarę zdradzoną?

ARCEZ.

Egemo! — wstrzymaj rozpacz — kocham cię nad życie,
I nie przyjmuję rady, którę wielbię skrycie.
Jednak, — jeśli nas losy rozłączą nazawsze?...
Niebo ciągle bywało dla niego łaskawsze!...
Powiedz, — pokąd nadziei reszty nie zabrano, —
Egemo, mogęż jeszcze nazwać cię kochaną?

EGEMA.

A ja kochanym mogęż nazwać cię wzajemnie?

ARCEZ.

Ach, obyś i szczęśliwą mogła być bezemnie!

SCENA VI.

CIŻ i BARDAN,

EGEMA (klęka).

Ojcze, sprawiedliwości!...

BARDAN (podnosząc ję).

Mamże cię podnosić? —
Trzebaż o sprawiedliwość na kolanach prosić?

EGEMA.

Jeżeli tak jest czujną sprawiedliwość święta,
Czemuż dbając o wszystkich, o mnie nie pamięta?
Skrytości serca mego przed tobą nie taję, —
I pod opiekę ojca los córki oddaję.

BARDAN.

Cóż za domysł tak nagle twe nadzieje zmienia?

EGEMA.

Ach ojcze, to nie domysł, to nie urojenia!
Sam Arcez wypełniając Turgutana wolę,
Przed chwilą mi zwiastował tę okropną dolę.

BARDAN.

Turgutana?

EGEMA.

Ty ojcze nie dopuść zamęścia,
Które krajowi twemu nie zapewni szczęścia; —
Uwolń mnie od zaszczytów; niechaj twoja rada
Prawa własności we mnie nikomu nie nada;
Niechaj królów mianuje, tam leży jej sława;
Lecz niech do ręki mojej nie rozciąga prawa.

BARDAN.

Nie lękaj się Egemo, — równa obu chwała —
Obydwom równe prawa do wyboru dała.
A jeśli mnie nie łudzą domysły i ślady,
Wkrótce Arcez zwycięsko wyjdzie z tej narady.

EGEMA.

Ach ojcze, nogi twoje niech łzami obleję, —
Ty niknącą nazawsze wracasz mi nadzieję.

SCENA VII.

CIŻ i HEREMON (na czele kilku Radnych). —

HEREMON.

Królu, już się w świątyni Rada zgromadziła,
I nas z tem doniesieniem do ciebie przysyła,
(Egema odchodzi).

ARCEZ.

O nieba! — jakże prędko nadeszła godzina,
W której się życie nasze, albo śmierć zaczyna!

HEREMON.

Co, tyżbyś rad tę szczęścia godzinę odwlekał,
Na którę jam tak długo z upragnieniem czekał? —
Mąż mężnie dotrwać winien, czy korzyść czy strata,
Pójdź, i nie rzucaj wstydu na oblicze brata.

Koniec aktu pierwszego.

Akt drugi.

SCENA I.

EGEMA (sama).

O jakże czas niepewne godziny przewleka!
Czyż nigdzie litośnego nie spotkam człowieka,
Któryby troski moje podzielając ze mną,
Ciężką boleść łagodził boleścią wzajemną? —
Wszędzie spiące milczenie — te posępne mury
Zwiększają we mnie trwogę i smutek ponury.
Wszyscy poszli radośnie oczekiwać końca, —
Kędy ich „dziećmi“ nowy przywita obrońca;
Wszyscy radzi słuchają stanowczego głosu,...
O jakże los ich różny od mojego losu!
Bo czy jeden czy drugi stanie na ich czele,
Za każdym przyjdzie chwała, swoboda, wesele;
Każdy z nich jest im drogim;—lecz ja nieszczęśliwa! —
Ha, kto wie... głos nadziei znowu się odzywa —
O, powracaj Razeno — usuń tę niepewność; —
Pójdź dzielić moję radość, lub bolesną rzewność.

(słychać gwar)

Co słyszę — jakiś gwar się w tych murach rozlega...
Lud radośny tłumami w góry się rozbiega...

Ach lękam się, odejdę, mdleją siły moje...
Razena? — o los własny zapytać się boję! —

SCENA II.

EGEMA. RAZENA.

EGEMA.

Nie mów nic; — nim pochodnie ślubne zajaśnieją,
Pozwól mi jeszcze chwilę cieszyć się nadzieją.

RAZENA.

Dziś ona cię nie zdradzi — wybiła godzina,
Która jego i twoje szczęście rozpoczyna.

EGEMA.

Co?

RAZENA.

Arcez twoim mężem, — zgromadzona Rada
Królem go powitała, i zbroje mu wkłada.

EGEMA.

Uściskaj mnie Razeno!.. lecz płonnemi wieści
Skołatanego serca nie zwiększaj boleści.

RAZENA.

Skutku wielkiej narady czekając zdaleka,
Ku tłumom biegnącego dostrzegam człowieka,
Co powtarzając imię Arceza wesoło,
Przesłał tę wieść ludowi rozlanemu w koło.

EGEMA.

Więc naród nie pobłądził w tak ważnym wyborze?
O! nic radości mojej wyrównąć nie może!...

Powtórz, miałżeby Arcez mężem moim zostać?
Wszystko dla mnie odmienną przywdziało dziś postać.
Ludzi, którym przed chwilą złorzeczyła trwoga,
Wdzięczność łzami ocenia i zbliża do Boga;
Ojciec, którego władza trwożyła mnie skrycie,
Więcej mi jest niż ojcem i droższym nad życie;
Cierpienia, których dotąd lękam się obrazu,
Jakby nieistniejące zniknęły odrazu,
I jakby światłem dziennem rozprószone cienie,
Słodkie mi zostawiają po sobie wspomnienie.
Te mury się zmieniły, twój głos się odmienił,
Bóg chłodzącym oddechem twarz moję ocienił;
Pokój nademną jasnym roztoczył obłokiem,
I spojrzał na mnie z nieba łagodności wzrokiem. —
Patrzaj Razeno droga, Arcezie kochany,
Ile dokonać może jedna chwila zmiany! —
Droższą mi teraz jesteś niżeś kiedy była,
Boś pierwsza wzrok ponury szczęściem rozjaśniła.
Ach! tak szczęśliwą jestem, żeś droższą w tej chwili
Ty, coś mi to przyniosła, nad tych co sprawili! —
(klęka)
Ty nieśmiertelny Władzco niebieskiej krainy,
Co rządząc wolą ludzi prowadzisz ich czyny;
Który przez to szczęśliwe i święte zamęście,
Nieskończone Egemie zgotowałeś szczęście,
A która dziękczynienia chce ci złożyć za nie,
Przyjmij to z głębi duszy płynące wyznanie, —
Łzę szczęścia, którę oko rozrzewnione sączy, —
Duszę, która się z duszą Arceza połączy.
Ten oddech przerywany i to serca bicie
Wdzięczność moję ku tobie przesyłają skrycie.

Niech odgłos chwały twojej potomek daleki
Z pychą własną w odległe przekazuje wieki;
Niech światło wiecznej prawdy w całej ziemi błyśnie,
I niech się reszta świata do stóp twoich ciśnie!

SCENA III.

TEZ i ARCEZ.

ARCEZ (porywając za rękę klęczącą).

Egemo! już zapóźno — modły nie pomogą...
Złą do szczęścia naszego dążyliśmy drogą! —

EGEMA.

Boże!

ARCEZ.

Losu naszego już nie przezwyciężem, —
Już się stało — Heremon królem...

EGEMA.

Moim mężem!

ARCEZ.

Tak jest — on mężem twoim i gór naszych panem;
Dla mnie bratem i królem...

EGEMA.

A dla mnie tyranem!

ARCEZ.

Długo się wśród zdań różnych ważył obrad skutek; —
Zwycięstwo poszło za nim, dla mnie został smutek.

EGEMA.

A więc wszystko stracone! i cóż mi zostało
Utraciwszy nadzieję! Chyba umrzeć stałą!

Gdy mnie ludzie ścigają, prześladują Nieba,
Aby mnie zamordować, czegoż więcej trzeba?
Ach, oby kraj ten kiedyś, choć późno zrozumiał,
Że szczęścia wpośród nieszczęść wybierać nie umiał;
Oby Bóg na tę ziemię przekleństwa wyrzucił,
I od niej oko swoje na wieki odwrócił! —

ARCEZ.

Egemo, gdzież ja jestem? cóżeś ty wyrzekła? —
I dokądże cię rozpacz unosi zaciekła?
Uśmierz ten gniew szalony, i w dzikim zapale
Nie śmiej niebios oburzać i uwłaczać chwale!
Im tylko działań ludzkich znane są powody,
Bo je niemniej jak króle, obchodzą narody.
Próżno wzdychasz Egemo, łzy lejesz daremnie,
Raczej wejrzenia twoje odwracaj odemnie.
Gdy przestajesz być moją, przestań kochać razem,
A niebios złorzeczącym nie drażnij wyrazem;
Nie mów do mnie — unikaj... przyjmij losu zmianę...

EGEMA.

Czyż nie mówiąc do ciebie kochać cię przestanę?
Czyż nie więcej przemówi boleśne westchnienie, —
Lub mniej będzie niż słowo wymowne milczenie?
Czyż sądzisz, że kto inny tę rękę posiędzie,
Kiedy serce do śmierci bić dla ciebie będzie?
O, zbyt jesteś w mej duszy wyryty głęboko!
Dusza cię będzie widzieć, choć nie ujrzy oko.
Nie skryję się przed tobą, i ty się nie skryjesz,
Mieszkasz w moim umyśle, w mojem sercu żyjesz.

ARCEZ.

Miłość, którę twe oko, twój głos wyobraża,
Zwiększa moje boleści i trwogę pomnaża.
Stało się; już twej ręki nie ujmę w me dłonie,
Ani na przyjacielskiem przycisnę jej łonie.
Nie osłodzisz mych cierpień anielskim uśmiechem,
Ani twarzy wiosennym ożywisz oddechem, —
Ani dobędziesz z piersi czarownego głosu,
By marzeniem przyszłego pocieszyć mnie losu.

EGEMA.

Razeno — cóż ty na to? — mogłażeś tak zdradnie
Zmyślonem szczęściem rozpacz rozjątrzać układnie?

RAZENA.

Przebacz — odgłos powszechny...

ARCEZ.

Tak, lud zgromadzony
Już był puścił niepewną wieść na różne strony,
Skoro z ust ojca twego me imię z zapałem
Wyrzeczone usłyszał. — W zgromadzeniu całem
Odgłos ten za stanowcze wzięto ogłoszenie; —
O, jakże i po stracie ten głos jego cenię!

EGEMA.

Ojcze, ty chcesz, by Arcez został moim mężem!
A więc razem umrzemy, lub razem zwyciężem.
Na wszystko się odważy mój umysł szalony,
W którekolwiek nas oko zaprowadzi strony.
Pójdziem do obcych ludów, w odległe narody,
Pocieszać się wzajemnie i szukać swobody.

Bo kiedy Rada wasza ludzkości się zrzeka,
Choć jednego pod słońcem znajdziemy człowieka.
A jeśli wszyscy cofną ręce dobroczynne,
I nikt wsparcia nie poda, pójdziem w strony inne;
Jako ludu srogiego niewinne ofiary
Pójdziem w dzikie pustynie, bezludne pieczary;
Tam szukając swobody i cnoty przykładu,
Gdzie nigdy stopa ludzka nie wygniotła śladu, —
Gdzie kwitnie sprawiedliwość bez ludzkiej opieki, —
Gdzie w milczeniu i zgodzie przemijają wieki.
Tam wspominając dawne uciechy i męki,
Głuchym puszczom bolesne powierzymy jęki. —
Zwierz nawet rozjuszony mniej od ludzi srogi,
Nieszczęśliwym wygnańcom nie zastąpi drogi.
A gdy nam śmierć przynosząc nagrodę prawdziwą,
Zakończy tę pielgrzymkę w nieszczęściu szczęśliwą,
Wówczas wiecznie przyjaźne połączywszy dłonie,
Węzłem silniejszym jeszcze złączymy się w zgonie. —
Gdy dusze skojarzone ujdą spocząć w niebie,
Oczy moje zastygną patrzące na ciebie!
Wkrótce czas zwłoki nasze w popioły obróci,
Wiatr puszczy je rozniesie, w powietrze wyrzuci;
Chciałabym od tej ziemi oderwać się całą,
By na niej nawet szczątków moich nie zostało!

ARCEZ.

Tyżbyś wynagradzając moje przywiązanie,
Do nieznajomych ludów przeniosła mieszkanie?
I wsparcia u obcego szukała narodu —
I władzy się wyrzekła, i wyrzekła rodu?...
To serce, które ciągła zmienność losu nęka,
I chciałoby uwierzyć, i wierzyć się lęka. —

EGEMA.

Słuchaj — wyrazom moim większą wagę nadam;
Oto przy świetle słońca przysięgę ci składam:
Wyrzekam się zaszczytu i rodu i tronu,
Twoją jestem — i twoją zostanę do zgonu.
Zadna władza, — przysięgam przed Boga obliczem —
Egemy od Arceza nie rozłączy niczem.
A jeźli cię opuszczę lub zdradzę bezkarnie,
Niech na mnie zasłużone Bóg zeszle męczarnie; —
Niech ciągle ta przysięga staje mi przed oczy,
I niech wyrzut sumienia serce moje toczy.
A ty, jeźli mnie kiedy opuścisz niegodnie,
Niechaj cię za mnie skarżą twoje własne zbrodnie!

ARCEZ.

O radości! do szczęścia więcej mi nie trzeba! —
Ja na świadki te same przywołuję Nieba:
Przysięgam ci przed Bogiem i na to sumienie
Że słowa mego nigdy — nigdy nie odmienię; —
(dobitnie)
Gdy cię zdradzę, niech ziemia zapadnie się ze mną!

SCENA IV.

CIZ i TURGUTAN (który wchodzi, kiedy jeszcze Egema ostatnie wymawia słowa).

TURGUTAN (w głębi).

Nieba — cóż ja słyszałem — przysięgę wzajemną!
(zbliża się)
Po ciebie mnie Egemo twój ojciec przysyła,
By spełnić, co przed chwilą Rada uchwaliła.

EGEMA.

Nie starcze! w ręku waszych jest Egemy życie,
Niem możecie rozrządzać, sercem nie rządzicie. —
Bądź spokojnym Arcezie — znoś burze wytrwale,
Ja lub twoją powrócę, lub nie wrócę wcale.
(Odchodzi).

SCENA V.

TURGUTAN. ARCEZ.

TURGUTAN.

Przebóg! — cóż uczyniłeś? — sam sobie nie wierzę,
Zmięszanego cię widzę — lecz wyjaw mi szczerze; —
Powiedz, co jej przysiągłeś?

ARCEZ.

Ha! stało się Panie; —
Nieba biorę na świadki, że przysiągłem na nie. —

TURGUTAN.

Boże — i tyż nie cofniesz? —

ARCEZ.

Śmierci się nie boję —
Bo więcej niźli życie ważę słowo moje. —
Jakąkolwiek mi przyjdzie dobijać się drogą,
Umysł zcierpi, a piersi zawady przemogą.
Prześladujcie mnie zawsze i ścigajcie wszędzie,
Ja ję nad życie kocham — ona moją będzie.

TURGUTAN.

Słuchaj; — ja jednem słowem ten zapał rozbroję...
Wiesz kogo chcesz zaślubić? własną siostrę twoję!

ARCEZ.

Turgutanie! co? siostrę? jakiż głos straszliwy — ...

TURGUTAN.

Głos niegdyś stryja twego; — słuchaj nieszczęśliwy...

ARCEZ.

Czekaj; Egema — siostra! — zkąd ta dzika wzmianka? —
Nie stryju — to nie siostra — to moja kochanka!
Ona jest tą dziewicą — tym boskim aniołem,
Który za żonę wezmę, za kochankę wziąłem...
Ale ty mówisz — siostra? ...

TURGUTAN.

Nieszczęśliwy synu,
Słuchaj, nim zbrodniczego dopuścisz się czynu.
Kiedy tak niebezpieczną obraliście drogę,
Okropnej tajemnicy dłużej kryć nie mogę.

ARCEZ.

Czekaj, pójdę braterską uścisnąć ją dłonią,
Chociaż mi tej w cierpieniu ulgi nie zabronią. —

TARGUTAN (wstrzymując go).

Ta straszliwa wiadomość cierpień twych nie zmniejszy,
Owszem, ona ci zada cios najokropniejszy; —
Ona nowe boleści przyda twemu życiu,
Bo musisz cierpieć więcej, a cierpieć w ukryciu.
Choćby cię przygnębiła piekieł siła cała,
Chociażby cię Egema zbrodniarzem nazwała,
Choćby Heremon nowe chciał czynić ofiary,
Chociażby Rada pierwsze cofnęła zamiary,
Chociażby cię twój ojciec rzeczy nieświadomy,
Powagą władzy swojej znaglał do korony:

To, co się stanie odtąd wiadomem nam obu,
(dając mu rękę)
W nas tylko żyje, z nami pójść musi do grobu.

ARCEZ.

Masz przysięgę — i stałe biorę przedsięwzięcie,
Że jeźli pierwszę złamię, tej dochowam święcie. —
Egemo! wielki Boże! —

TURGUTAN.

Synu nieodrodny,
O jakżeś twego ojca, twojej siostry godny; —
Pierwszy raz w życiu mojem łamię dane słowo! —
(wznosząc myśl ku niebu)
Ty co nas za niewiarę karzesz tak surowo,
Widzisz sam, że w tem miejscu przysięga nie służy,
I zbrodniębym popełnił, gdybym tail dłużej. —
(do Arceza)
Słuchaj, wszak nas tu ucho nie zdradzi niczyje:
Arcez umarł, — a w tobie syn królewski żyje!
Na szczycie skały zwanej skałą pustelnika,
Która w obłokach ginie i niebios dotyka,
Żył niegdyś kapłan święty, stary, długobrody,
Którego czciły wszystkie tej wyspy narody.
Jak gdyby z gór wierzchołka widział przestrzeń świata,
Znał całą przeszłość, przyszłe przepowiadał lata;
A z słów jego, jak gdyby płynęły od Boga,
Lała się luba błogość, lub studząca trwoga.
Królowa, gdy cię na świat wydała, Alcynie,
Chciała już odkryć przyszłość w niemowlęciu synie.
Starzec powiedział: „straszne są nieba wyrocznie!
„Szereg klęsk ziemię waszę prześladować pocznie;

„Niebo nas wszystkich z swojej opieki usunie;
„A sławne dotąd plemię z poniżeniem runie.“ —
Królowa pragnąc szczęścia i chwały narodu,
Poświęciła dla niego przyszłość swego rodu;
A puściwszy zmyśloną wieść o twoim zgonie,
Złożyła cię w troskliwe brata mego dłonie.
Przyjął cię, w tobie syna zmarłego posiadał,
Tobie ród swój przyswoił, inne imię nadał;
I pokąd z szczęściem kraju, wśród jego swobody,
Na łonie uciech wiek twój przepędzałeś młody,
Sądziłem że on słodko do końca przeminie,
A straszna tajemnica w ukryciu zaginie.
Sądziłem, że ci ojcem zostanę w potrzebie,
A ty szczęśliwym będziesz, nie znając sam siebie;
Nie wiedząc czem dziś jesteś, nie wiedząc czem byłeś,
Co niegdyś zyskać mogłeś, a co utraciłeś.
Dziś wolno ci jest starca o podstęp obwinić; —
Bóg osądzi, czy mogłem inaczej uczynić.

ARCEZ.

I potóż ciebie Nieba w te miejsca przysłały,
By tak okropną boleść w serce moje wlały?
Aby mnie ciągle dręczyć, i aby bezkarnie
W męczarniach ciągle nowe wymyślać męczarnie!
Nie mogłżeś tę wiadomość lat tyle tajemną,
I w tym ostatku życia ukrywać przedemną?
Czyż dziś, gdy w ciele mojem ogniem gore piekło,
Jak gdyby w niem truciznę roztoczyło wściekłą, —
Czyż nie mogłem u ciebie mieć litości tyle,
Byś żelazem uprzedził tę okropną chwilę, —
Chwilę, w której tak straszną zbrodnię popełniłem,

I do spełnienia drugiej przysięgi użyłem! —
Siostra moja! jakież ty skrytości posiadasz,
Jak okropniejszy jeszcze obowiązek wkładasz!...

TURGUTAN.

O Boże! za cóż oba dziś tak cierpieć mamy?...
Czemuż nam Bóg tej wcześnie nie oszczędził plamy?...
Ciągłą wojną zajęty — w polu zamieszkały,
Czyż mogłem wcześnie poznać zbrodnicze zapały?
Lecz porzuć rozpacz — dzięki Niebom dobroczynnym,
Że jeszcze dotąd jesteś wolnym i niewinnym.

ARCEZ.

Niewinnym? ja niewinnym? co w dzikim zapale
Poprzysiągłem zaślubić i kochać ją stale. —
Ileż tu łez popłynie; — o ileż tu razy
Uszy moje okropne przerażą wyrazy! —
Jej wyrzuty, przekleństwa, skargi, złorzeczenie
Z czarnych grobów posępne wywołają cienie. —
Tu Egema zdradzona, w szalonym zapędzie
Kary i pomsty Niebios wzywać na mnie będzie.
Cóż jej odpowiem na to? oto milczyć muszę,
Niewinny cierpieć w sercu piekielne katusze,
Tak nagle zmienić dawniej słodką dla niej postać,
I nazawsze w jej oczach zbrodniarzem pozostać. —
Nieba! nie zdołam przed nią w żadnę skryć się stronę,
Ani wyrzec jednego słowa na obronę! —

TURGUTAN.

Stało się — w tym brzemiennym przeciwieństw natłoku
Nie szukaj jej spotkania — unikaj jej wzroku.
Czas odmieni stan rzeczy; — gdy zapał zwolnieje,
Może ci Niebo dawną odsłoni nadzieję. —

Wreszcie, przyzwij odwagę i męskiego ducha,
Niechaj rozsądku serce pokonane słucha. —
Poznaj mnie teraz lepiej, wiedz z jakiej przyczyny
Chciałem niwecząc wybór, nie dopuścić winy.
Lecz więcej sobie ufaj — wnet wszystko odmienisz,
Więcej ja cenię ciebie, niż ty sam się cenisz;
I byś nowym tryumfu ozdobił się wieńcem,
Wystaw jeszcze przez chwilę, żeś moim siostrzeńcem. —

ARCEZ.

O czemuż nim nie jestem! co widzę? to ona!
Siostra! a ję tu miłość prowadzi szalona!
Jakież imię jej nadam — powiedz Turgutanie;
Kochanki?... siostry?... odejdź. —

SCENA VI.

ARCEZ. EGEMA.

EGEMA.

W tak okropnym stanie,
Kiedy niebezpieczeństwo dłuższej zwłoki wzbrania,
Od drugiego z mym ojcem uwolń mnie spotkania.
Spieszmy! mienie, zaszczyty pozostawmy z niemi,
A nas słońce niech jutro nie ujrzy w tej ziemi. —
Znalazłszy Heremona przy Bardana boku
Straszną wróżbę w niepewnem wyczytałam oku;
A obudwu w gwałtownem widząc poruszeniu,
Zwolna się ku nim drżąca przybliżam w milczeniu.
Wtem ojciec pomięszany spostrzegł mnie zdaleka,
Oto mąż twój, zawołał, — słowa twego czeka; —
Pójdźcie, niech świętym węzłem połączę obojo...

(po chwili)

Lecz czyż się na to serce nie oburza twoje?
Miałożby co innego zająć ciebie w chwili,
Kiedy na zgubę naszę cały świat się sili?
Tyżbyś tak nagle miłość przytłumił wzajemną,
Lub jakę nową boleść ukrywał przedemną?...
Ty milczysz? obumarła bladość twarz powlekła; —
Co widzę, z twego oka gorżka łza wyciekła?
Powiedz...

ARCEZ.

Nic ...

EGEMA.

Co Arcezie, mogęż sobie wierzyć?
I tyżbyś wraz z innymi chciał na mnie uderzyć?
Błagam cię — wyjaw szczerze...

ARCEZ.

Ach, porzuć tę trwogę...
Czyż w ciągłem udręczeniu spokojnym być mogę?

EGEMA.

Niechaj ci ulgę niesie i smutki łagodzi
Myśl, że nas obca ziemia z cierpień oswobodzi.

(opowiadając dalej)

Heremon stojąc ciągle w milczeniu głębokiem,
Zdał się na mnie spoglądać litościwem okiem. —
Ja bojąc się w tej burzy zająć pożar nowy,
Wybiegłam przerywając dalszy ciąg rozmowy.

SCENA VII.

CIŻ i RAZENA.

RAZENA.

Egemo!...

EGEMA.

Nie — napróżno mnie mój ojciec woła,
Żadna władza do ślubów skłonić mnie nie zdoła.

RAZENA.

Gdyś odeszła ostatnie wyrzekłszy wyrazy,
Powstał król i w milczeniu przeszedł kilka razy;
Wnet wybiegł, i polecił zwołać lud i pany,
A do ślubnych obrzędów zgromadzić kapłany.

EGEMA.

O Nieba! cóż ja słyszę — Arcezie, drzę cała. —

ARCEZ.

Egemo!...

EGEMA.

Gdzież ja jestem? krew we mnie zawrzała,
(do Razeny)
Powiedz dla kogo mają ten obrzęd gotować?
(do Arceza)
Ciebie stracić — i wiarę innemu ślubować? —
Nie —
(do Razeny)
Odejdź! —

SCENA VIII.

EGEMA. ARCEZ.

EGEMA.

Czyliż wiarą nazwie się niewiara?
O! już nieszczęścia mego przepełniona miara!

Na wszystko jestem głuchą i nic już nie widzę,
Zbrodnie mało uważam — — i cnotą się brzydzę.
Wszystko znika zprzed oczu, widzę drogę inną,
Rozpacz jest duszą moją, żądzą dobroczynną;
Dziś cała ziemia dla mnie jest piekłem zajadłem,
Słońce ogniem piekielnym, a ludzie widziadłem.
Słuchaj — w nieszczęściu długo nie umiem wybierać;
Dla ciebiem się zrodziła, twoją chcę umierać.
Wolę z tobą noc piekieł, niż z nim jasność słońca; —
Bez końca z tobą konać, — niż z nim żyć bez końca.
Zabij mnie, niech mnie groby przed ołtarzem skryją,
Twoją tylko żyć pragnę lub umrzeć niczyją. —
Zabij mnie, a nie będziesz sławie mojej przeczyć,
Że śmierć tylko zdołała przysięgę zniweczyć.
Lub jeźli śluby nasze ma dochować ona, —
Nie czekaj, i przed ślubem zabij Heremona...
Co widzę? — wzrok zdziczały zaostrzyły oczy...
Idę, wnet się żelazo we krwi mojej broczy,
I losów przeciwnością bez przerwy dręczona,
Nieszczęśliwa Egema, u nóg twoich skona.
Bądź zdrów... ty milczysz?

ARCEZ.

Czekaj...

EGEMA.

Bądź zdrów.

ARCEZ.

Czekaj...

EGEMA.

Boże!
Kochający tak mało poświęcić się może!

Kiedy w brzmiennej burzy wzmaga się los srogi,
Dwie do szczęścia mojego pozostały drogi:
Lub w zbrodni szukać szczęścia, w samej zbrodni chluby,
Albo z grobem wiecznemi połączyć się śluby.

SCENA IX.

CIŻ i HEREMON.

ARCEZ (na stronie).

Nieszczęśliwa! o Boże!!

HEREMON.

Unikasz mnie Pani?
Wzgarda niezasłużona serce moje rani.
Gdybyś wiedziała ile przy szlachetnej dumie
To serce nies częśliwych litować się umie,
Mimo umysł wyniosły, mimo serce harde,
Szacunkiembyś zapewne zastąpiła wzgardę.

EGEMA.

Co? ja mam tych szacunkiem nagradzać nikczemnie,
Co do celów swej dumy chcą dążyć przezemnie?
I za martwe narzędzie biorąc mnie bezkarnie
Wydzierają mi szczęście, wiodą na męczarnie?
Co mi resztę nadziei przytłumili skrycie,
Duszę moję zbłąkali i zatruli życie?
Nie, — pokąd duch ożywia siły osłabione,
Nie zgasną ognie zemsty w tem sercu zatlone.
Gdy już nagłym do grobu postępując krokiem,
Śmierć mi bladą zasłonę rozwinie nad okiem,

Jeszcze zemstą żywiona, konająca w męce,
Resztę władzy ust moich przekleństwu poświęcę!
(odchodzi).

SCENA X.

HEREMON. ARCEZ.

HEREMON.

Cóż ja słyszę? gdzież jestem? — bracie, wyznam śmiało,
Że nie tak mnie podobnych poważać przystało!
Umiem cenić litości godne położenie,
Ale niemniej mój honor, jak jej cnoty cenię.
Wzgardę niezasłużoną niewiele uważam,
I częściej się lituję — niżeli obrażam. —

ARCEZ.

Heremonie, o przebacz jej serca boleści,
Bo granic i rozwagi nie zna żal niewieści.
Przebacz jej — wierz mi — ona w cnocie nieodrodna
Niemniej litości twojej, jak szacunku godna. —

HEREMON.

Tak bracie, choć sam tylko jej uczuciem rządzisz,
Więcej się jej lituję, niżeli ty sądzisz; —
I chociaż nazbyt może męska moja dusza
Niełatwo się na jęki i żale porusza,
Nie zabrało mi niebo tej ludzkiej zalety,
Bym nie umiał szanować słabości kobiety.
I gdy ja ostrzem tylko zwyciężam oręża,
Mnie łatwiej niźli oręż słaba łza zwycięża. —
Pragnąc więc i twojego i Egemy szczęścia,
Przychodzę do słodkiego pomódz wam zamęścia.

Po jej rozmowie z królem płynącej z zapałem,
Której w milczeniu ciągłem z boleścią słuchałem,
Silną uczuwszy w sercu i litość i trwogę,
Dłużej cierpieć waszego nieszczęścia nie mogę.
Chcę dług winny ojczyźnie wypłacić żelazem,
Zrzec się władzy, godności i Egemy razem.

ARCEZ.

O radości! — gdzież jestem? cóż tę zmianę sprawia?
Czy sam mówisz, czy Niebo przez ciebie przemawia?
Drogi bracie!... — tyranie!...

HEREMON.

Co mówisz szalony?

ARCEZ.

Jakiż cię duch zaklęty prowadził w te strony?
Uciekaj — i piekielnym przerażony krzykiem,
Coś wybluźnił przedemną, nie powtórz przed nikiem!

HEREMON.

Arcezie — cóż to wściekłe wzburzenie ma znaczyć?
Odpowiedz, jak mam sobie te słowa tłumaczyć?

ARCEZ (zmięszany).

Przebacz bracie — i porzuć wspaniałość daremną.
Pokądże los niestały będzie walczyć zemną?
Więcej teraz niechęci niźli żalu czuję,
Cokolwiek raz straciłem więcej nie przyjmuję.
Jaszcze mi Niebo mocy zostawiło tyle,
Bym się poświęcił braciom, i spoczął w mogile.

HEREMON.

I mnie nie tyle jeszcze blask władzy przynęcił,
Bym dla waszego szczęścia mego nie poświęcił.

Bo — powiedz — czyliż mógłbym bez zgryzot sumienia
Widzieć niechęci żony i brata cierpienia?
Czemże dla mnie ta godność, kiedy z jednej strony
Cierpieć będę łzy brata, z drugiej jęki żony?
Nie — acz chwała zapala duszę moję skrycie,
Zdołam dla was poświęcić wszystko, nawet życie;
Niech oko twoje blaskiem szczęścia zajaśnieje,
I stroskanej Egemie przywróci nadzieję.
Pójdźmy.

ARCEZ.

Czekaj...

HEREMON.

Ty drzysz?

ARCEZ.

Nie; ten los niespodziany
Mocnem przejął wrażeniem umysł skołatany.

HEREMON.

Idźmy.

ARCEZ.

Dobrze; lecz pozwól — ja sam — nie — za chwilę—
Poźniej — z zbytniej radości nie mam siły tyle...
Ale czegoż się lękam, pójdę z tobą wszędzie,
Lecz nigdy żoną moją Egema nie będzie;
Tak, nigdy — nigdy bracie. O jakżeś szczęśliwy!
Więcej niżeli... bracie — przyjacielu tkliwy!
Podaj mi rękę twoję; acz cię wiele cenię,
Zamiaru mego nigdy — nigdy nie odmienię...
Ty spokojny wśród swoich, a wśród wrogów mężny,
Bądź szczęśliwy Egemą, zwierzchnictwem potężny;

Zostań królem, żegnam cię, wielbię cnoty twoje,
Ale się więcej ślubów, niźli śmierci boję!

(odchodzi).

SCENA XI.

HEREMON (sam).

Cóż to — onby się darem brata swego brzydził,
On, co ję tyle kochał, dziśby znienawidził?
Choć wzgardził mą ofiarą w niewczesnym zapale,
Zapominam co wyrzekł, i kocham go stale.
Tak jest; a kiedy głos mój był dla niego niemy,
Użyję ust wymownych drogiej mu Egemy;
Żołnierskie czyny innym zbogacę dziś czynem,
I zwycięstw tyle nowym ozdobię wawrzynem.

(odchodzi).

Koniec aktu drugiego.

Akt trzeci.

SCENA I.

ARCEZ. TURGUTAN.

ARCEZ.

Pójdź, patrzaj, czy ty widzisz serca mego ranę,
Widzisz te sine usta, to oko zbłąkane?
Stryju! powiedz, gdzież jestem, cóż się ze mną dzieje?
Grzmi niebo — piekło jęczy — i ziemia się chwieje...
Powiedz, czemuż tak prędko wszystko się zmieniło?
Wszędzie zimno, pochmurno; — a tak pięknie było!
Pocom cię przyprowadził? coś ci mówić chciałem,
Tak, chciałem coś powiedzieć... ale zapomniałem.

TURGUTAN.

Może Egema...

ARCEZ.

Nieba! wycierpiawszy tyle,
Zbłąkany umysł wszystkich zapomniał na chwilę;
Tak, chciałem ci powiedzieć, i żądać od ciebie,
Byś mi rady udzielił w tak nagłej potrzebie.
Ciebie tylko jednego posiadam na ziemi,
Przed którym się nie kryję z uczuciami memi;

Tyś się zajmował moim młodocianym wiekiem,
Tyś był wczoraj mym stryjem — dziś obcym człowiekiem!...
Powiedz, wiesz ty, że nowe nieszczęście mnie czeka,
Wiesz, że Heremon dla mnie tronu się wyrzeka?

TURGUTAN.

Co słyszę? Heremona niezachwiana dusza
Na cierpienia miłośne tyle się porusza?
On, w którego niezgięty umysł mój przelałem,
Który z zaszczytem rodu, z szlachetnym zapałem,
Zawsze męski i od tej słabości daleki,
Sławą swoją ostatnie chciał dopędzić wieki;
Który z dni niemowlęcych dostojeństwa czekał,
Dziśby dla żalu twego chwały się wyrzekał?

ARCEZ.

Tak jest, on się wyrzeka, wierz słowu mojemu,
I powiedz jak zaradzić ciosowi nowemu.
Kiedym przysiągł, że święcie dochowam ci wiary,
Z zaufania twojego nie zrobię ofiary.
Lecz powiedz, jakże cios ten odeprzeć; — nie zwlekaj,
We wszystkiem chcę cię słuchać; — mów!

TURGUTAN.

Synu, uciekaj!
Nie widzę drogi innej; — nie czekając końca
Uchodź nim nas obudzi blask nowego słońca.
Skoro stróż czynów ludzkich — dzień jasny przeminie,
Po drżących cieniach nocy blade światło spłynie,
Unikając wyrzutów, lub okropnej zbrodni,
Idź za śladem na Niebie rozsianych pochodni;
Idź, gdzie cię zaprowadzi zbłąkana źrenica,
Dopokąd starczy ziemi i światła księżyca.

Statki Skotów odchodzą jutro, więc ty z niemi,
Przenieś twoje mieszkanie do szczęśliwej ziemi.
Wśród obcych ludów lata przepędzając młode,
I występku unikniesz, i znajdziesz swobodę.
Ja, jakiekolwiek Nieba dostatki mi dały,
Oddam ci co dać mogę — mój majątek cały;
Gdy trzeba zbrodnię spełnić, lub przysięgę zdradzić,
Cóż ci może innego przyjaciel doradzić?

ARCEZ.

Turgutanie, tyż umiesz radzić tak okropnie!

TURGUTAN.

Czegoż niezgięty umysł i stałość nie dopnie?
O, wiem ile w tej chwili czuje serce twoje,
Lecz mniej się żalu twego niż występku boję.

ARCEZ.

Więc mówisz, mam uciekać w jaki kraj daleki,
I rozstać się z Egemą na wieki — na wieki! —
Nie widzieć ani ciebie, ani Heremona,
Nigdy was do czułego nie przycisnąć łona;
Od dzieciństwa pod jednem mieszkając sklepieniem,
Nigdy ojca tem słodkiem nie nazwać imieniem!
Gdyby po mym odjeździe, zdumiony tym czynem
Mógł wiedzieć, kiedy ja wiem — żem był jego synem, —
Gdyby przez zapomnienie omylić się zdołał,
Nim pójdę „synu“ na mnie raz jeden zawołał! —
Przyznaj, acz rada twoja konieczną się staje,
Ciężkiej sercu mojemu boleści przydaje.
O, gdyby można jeszcze drogi jakiej użyć,
By chociaż na dni kilka ten odjazd przedłużyć.
Jak słodko przeszły z wami życia mego chwile,

Żem mało do was mówił, choć mówię lat tyle. —
Widząc ciągle Egemę, sam siebie się wstydzę,
Zawsze mi się wydaje, że pierwszy raz widzę.
Lecz powiedz, gdy w kraj obcy przeniosę mieszkanie,
Czy mi jeszcze ta chociaż nadzieja zostanie,
Że po tylu cierpieniach, po długiej rozpaczy,
Arcez swoję Egemę przed śmiercią zobaczy?
Czy zobaczę ję kiedy? — nie, nadziei niema...

TURGUTAN.

Zapomniałeś kim jesteś, i kim jest Egema? —

ARCEZ.

Siostra! — bądź zdrów...

TURGUTAN.

Stój!

ARCEZ.

Myśl ta serce moje truje.
Któż rozstając się wiecznie smutku nie uczuje?
Ja więc mogęż się oprzeć dręczącej żałości,
Kiedy ojca na zawsze opuszczam w starości,
Który, mimo że miłość uwiodła mnie płocha,
Kochając mnie lat tyle, nie wie kogo kocha;
Opuszczając was obu, gdy przez czas tak długi
Jeden był stryjem moim, a bratem był drugi?
O tak, to obłąkanie jest żałości skutkiem,
Smutek mój Turgutanie jest cnotliwym smutkiem.

TURGUTAN.

Tak Arcezie, ten język duszy twej rozumiem,
I więcej się litować niż pocieszać umiem;
Bo chociaż ów czas słodkiej swobody przemija,

Masz we mnie przyjaciela, i dawnego stryja.
Chociaż pod obcem niebem obierzesz siedlisko,
Serce i dusza moja będzie twojej blisko.
Teraz żalowi twemu tym łatwiej wybaczę,
Że mimo wiek sędziwy razem z tobą płaczę.
Słyszysz to serce bicie, widzisz te łez zdroje!
Pójdź — nieszczęsny, pójdź; zabierz wszystko co jest moje,
I pożegnaj mnie wiecznie.

ARCEZ.

Ha! stało się, Nieba!
Więc wszystkich was nazawsze opuścić potrzeba!
Stało się; los rodziny w twoje zwierzam dłonie,
Pamiętaj o Egemie i o Heremonie,
I do którego czucie wiązało mnie wieszcze,
Którego przecież ojcem nazwać nie śmiem jeszcze;
A jeźli w troskach wolna chwila ci zostanie,
I o twoim Alcynie wspomnij Turgutanie!
Żegnam cię już nazawsze — już tedy na ziemi
Nie zobaczę się z tobą — nie zobaczę z niemi!...

TURGUTAN.

Ty pocieszając starca nim odpocznie w grobie,
Przez jakiego wędrowca donieś mi o sobie.
I ulżyj mi przed śmiercią tą wieścią przyjemną,
Że jeszcze żyjesz książę, choć nie żyjesz zemną.

ARCEZ.

Nie nazywaj mnie księciem, nazwij mnie tułaczem,
Więcej los mój osłodzisz przyjacielskim płaczem.
Jeźli się dręczyć będziesz mojem przedsięwzięciem,
Płacz nademną człowiekiem, a nie nad książęciem;
Bądź zdrów.

TURGUTAN.

Bądź zdrów Arcezie.

ARCEZ.

Idźmy.

TURGUTAN.

Nieszczęśliwy! —

ARCEZ.

Dwaj przyjaciele — siostra — i ojciec sędziwy!

(chcą odejść).

SCENA II.

CIZ i EGEMA.

EGEMA (z żalem).

Wstrzymaj się. — Racz przebaczyć, jeźlim nazbyt śmiała
Niewieściem udręczeniem twe sprawy przerwała.
Wszak nie moja w tem wina, jeźli w całem życiu
Nic nie umiem przed tobą zachować w ukryciu.
I nie możesz odmówić mojemu życzeniu,
Bo sam mnie nauczyłeś tej ulgi w cierpieniu.
Przebacz, jeźli na chwilę twój pokój zamiesza
Blada twarz, której nic już — nic już nie pociesza.
Był wszakże czas szczęśliwy — były chwile błogie...
O, jakże to wspomnienie dla Egemy drogie!
Był czas, gdym się cieszyła miłością wzajemną,
Był czas kiedy Egema była ci przyjemną.
Lubiłeś do mnie mówić, mówiącej słuchałeś, —
Ja cię kocham Egemo, nieraz powiedziałeś,
I kochałeś zapewne; zbyt masz duszę tkliwą,
Abyś chciał, albo umiał łudzić nieszczęśliwą.

Ja, chociaż gniew twój może na siebie obruszę,
Raz jeszcze że cię kocham, powiedzieć ci muszę. —
Tak Arcezie — i mimo serca twego zmianę
Kocham cię, i do śmierci kochać nie przestanę.
Jednak — jeżeli większe ciebie szczęście czeka
Od chwili, kiedy serce miłości się zrzeka;
Jeźli wyjaśnisz czoło okryte żałobą,
Litując się nademną, pocieszę się tobą;
Jeźli ci pokój wróci przerwane zamęście,
Rany serca mojego — twoje zgoi szczęście;
I będę odtąd nieba błagać najgoręcej,
By ci szczęścia ta miłość nie zatruła więcej.
Lecz dla mnie nigdy Nieba nie będą łaskawsze,
Nie Arcezie — ja ciebie kochać będę zawsze.
Lecz pocóż nam wynurzać niepotrzebne żale,
I czas może zbyt drogi zabierać zuchwale!
Choć dawniej każdeś moje cierpienie przeniknął,
Jużeś od tej rozkosznej litości odwyknął;
Już dziś próżnobym chciała wzruszyć serce twoje,
Dawniej się łez twych bałam, dziś się gniewu boję!
Lecz masz jeszcze sumienie i litości tyle,
Że już dla mnie poświęcisz tę ostatnią chwilę.
Tak — ostatnią — ostatnią, bo już niemoc blada
Bliski życia mojego koniec zapowiada.
Gdy nadzieja spoczynku cierpienia łagodzi,
Każde dawne wspomnienie słodką rzewność rodzi.
Miejsce to, mimo gniew twój — mimo wzrok surowy,
Z rzewnością nasze dawne wspomina rozmowy.
O nieba, jakże prędko te chwile minęły!
Czucie zgasło, a słowa w powietrzu zniknęły.
Może pamiętasz jeszcze, bo czas niedaleki,

Tu mi przysiągłeś wiarę dochować na wieki;
Tu, przyniosłeś pociechę sercu zbolałemu,
Tu, kilka kroków dalej — kilka godzin temu.
Lecz nie sądź, że mnie zawiść przyniosła tu krwawa,
Raz mi już przyznanego poszukiwać prawa;
Lub żem przyszła łez gorzkich wylewając zdroje,
Spytać twego sumienia, gdzie jest słowo twoje.
Nie; chciałam ci powiedzieć, że dobrze zrobiłeś...
Uwolnić cię od przysiąg, które sam zniszczyłeś,
I w oczach twoich łaski Przedwiecznego błagać,
Byś mógł tak łatwo troski jak miłość przemagać.
Nie trwoż się, abym kiedy żałośnemi głosy
O pomstę krzywdy mojej wzywała niebiosy.
Wierzaj mi, jeźli głos mój litość w nich obudzi,
Arcezie — będziesz odtąd najszczęśliwszym z ludzi.
Tak — i gdybym za twoję zdradę mścić się chciała,
W twem tylkobym sumieniu mściciela szukała.
Przebaczam sercu twemu, ty przebacz wzajemnie,
Że jeszcze dotąd jesteś kochany odemnie.
Temu, kto zguby wyrok ostatni usłyszy,
Jakaś dzika spokojność żalom towarzyszy;
I gdy umysł słabieje, i sił coraz zbywa,
Przesilone cierpienie do spoczynku wzywa.
Konając wzniosę modły, by niebo raczyło
Łaskawszem być dla ciebie, niźli dla mnie było...
Ty milczysz i czem innem zajęty głęboko,
Odwróciłeś odemnie skamieniałe oko; —
Głos twój ostygł — zmieniłeś postać twoję całą...
Tyż to jesteś Arcezie? cóż się z tobą stało!...
Ach, po cóż ja tu przyszłam!

(odchodzi).

SCENA III.

TURGUTAN. ARCEZ.

ARCEZ.

O rozpaczy wściekła!
Wszystkie się w sercu mojem zgromadziły piekła.
Jak ona się zmieniła! przy takiej zgryzocie
Po niezmienionej tylko poznałem ję cnocie. —
Zamiast by zmienne serce albo duszę hardą
Odpłaciła zmiennością, zemstą albo wzgardą,
Przyszła mnie od słodkiego uwolnić zamęścia!
Zdradzie mojej przebaczyć, i życzyć mi szczęścia!
Egemo! czemuż raczej mściwa i szalona
Żelaza nie rzuciłaś do mojego łona? —
Przebaczyła, i poszła okryta żałobą
Błagać dla mnie o szczęście, a płakać nad sobą.
Jak ona się zmieniła! siostro nieszczęśliwa!

TURGUTAN.

Arcezie — próżne żale — czas nagły upływa;
Kiedy cię los za obce wprowadzi granice,
Niech się bez świadka łzami zaleją źrenice;
Tam ci życie powrócą łagodniejsze Nieba,
Tu nie czas — pójdź Arcezie — tu nagli potrzeba.

ARCEZ.

Tak, idźmy — im sumienniej umysł mój rozważa,
Tym więcej ta okropna cnota mnie przeraża.
Znam ja powinność moję, nie chcę zbrodni szerzyć,
Idźmy; nie pytam więcej, czy potrafię przeżyć.

SCENA IV.

CIŻ, BARDAN i HEREMON.

BARDAN.

Zatrzymaj się Arcezie, zbliż się Heremonie;
(do Arceza)
Ty obejmiesz ster rodu po Bardana zgonie.
Heremon przewidując twe męki zdaleka,
Dla szczęścia twego własnej chwały się wyrzeka,
Niechcąc być wrogiem tobie a żonie tyranem,
Pragnie służyć ojczyźnie, nie będąc jej panem.
Uwieńcza waszę miłość, smutek wasz łagodzi,
I pierwszą wolę moję do skutku przywodzi.

HEREMON.

Tak bracie, szczęście wasze zbyt wysoko cenię;
Woli mojej nie cofnę, uczucia nie zmienię.
Dusza, którę szlachetne ognie ożywiały,
Chciała przydać znaczenie do nabytej chwały;
Lecz gdy przyszło waszemi okupić ję łzami,
Wznieść się waszym upadkiem, ogłosić jękami,
Zrzekam się praw nabytych; — Bóg nie błogosławi
Potędze, która serca niewinnych zakrwawi.
Niech ci, co marom szczęścia sprzedali sumienie,
Na krzywdach obcych własne budują wzniesienie.
Ja wystarczę sam sobie, — dość silny sam sobą,
Chcę sam być swoją chwałą, sam swoją ozdobą.

BARDAN.

Lecz ty milczysz Arcezie?

ARCEZ.

Ach, przebacz mi panie;
Widzę, że codzień wzrasta twoje przywiązanie.
Wstydzę się, żem tak mało życia mego użył,
I wprzód mnie wynagradzasz, niżem ja zasłużył.
Czy to jest twoją chęcią, czy też wolą bratnią,
Niechaj pierwsza uchwała zostanie ostatnią.
Królu! — chciej mi przebaczyć, jeźli nie przyjmuję
Tego, co mi zaledwie litość ofiaruje.

(do Heremona)

Przyznaj, ile dziś nczuć twe serce zwalczyło;
Nie zrzekłbyś się wyboru, gdyby mnie nie było!

SCENA V.

BARDAN. TURGUTAN. HEREMON.

BARDAN.

Cóż znaczy... —

TURGUTAN.

Królu, z jakąż słyszałem rozkoszą
Te słowa żalu, które zaszczyt mu przynoszą.
Gdy pod powagą twoją działająca Rada,
W jego męstwie nietyle ufności pokłada;
I gdy nad syna twego utyskując zgonem,
Chce wypełnić tę stratę mężnym Heremonem,
Nie przyjmując zwierzchnictwa, każdy mu to przyzna,
Dowiódł, że żądzą jego jest droga ojczyzna.

BARDAN.

Wszak Rada ich niepewne rozwiązując losy,
Na dwie strony życzliwe podzieliła głosy.

Połowa poszła za tym, a za tamtym druga;
Lecz gdy rozejm wzmagała rozprawa zadługa,
Ażeby w zdań różności sprzeczka zbyt nie rosła,
Wola moja zwycięstwo na niego przeniosła,
Bo ty tego żądałeś, a ja zwykłem ciebie
W każdej ważnej dla kraju przyzywać potrzebie.
Ale dziś gdy Heremon pragnący ich szczęścia,
Od praw swych odstępuje, zrzeka się zamęścia;
Kiedy liczni rycerze zpośród radnych grona
Żądali bym zrzeczenie przyjął Heremona;
Gdy serce moje jakąś potajemną siłą,
Wyboru tego zdawna krajowi życzyło,
Gdy się wszystko na jednę przychyliło stronę,
Cóż przytoczyć możecie na waszę obronę?

TURGUTAN (po chwili).

Heremonie, czyż twoje serce już nie słucha
Tak niezgiętego dawniej, tak wzniosłego ducha?
Gdzież jest ów dawny rycerz, dumny niestrwożony,
Co rządzić tylko pragnął, nie będąc rządzony?
Zapomniałżeś o sławie twojego imienia,
Które przetrwa odległe wnuków pokolenia?

HEREMON.

Tak ojcze, dumny jestem, ale i przy dumie
Umysł władać, a serce litować się umie.
Chociaż wzdycham do chwały i wielkości żądam,
Jednak na ludzi okiem Arceza spoglądam.
Lubię wprawdzie wśród szczęku wojenne rozprawy,
Lubię na polu chwały rycerskie zabawy,
Lecz poświęcenie moje sił moich nie złamie;
Zdołam mężne uzbroić dla ojczyzny ramię,

I tem chętniej pierś moję okuję żelazem,
By nią zasłonić naród i Arceza razem.
Wzgardy godzien, kto pragnie sławą przodków świécić,
Ja tych co po mnie przyjdą, chce moją zaszczycić.
Przodkowie moi, którzy mieczem się wsławili,
Dosyć sami za siebie ojczyźnie służyli.
Niech patrzą, dla każdego ich dzieje otwarte;
Każdy z nich sam dla siebie zapełnił swę kartę,
Bo niezwykli, nie kończąc rozpoczętych czynów,
Niedopłacone długi odkładać na synów.
I ty wznosząc dla siebie pomnik okazały,
Od pradziadów rodzinnej nie pożyczasz chwały.
Naśladując te wielkie i czczone przykłady,
Pragnę wiernie wstępować w ich ubite ślady.
Wszyscy są uwielbienia, wszyscy cześci celem,
Zaden królem, a każdy był obywatelem.
Ja chcę, by mi cześć równą potomni oddali,
I częściej moje czyny, niż ród wspominali.

TURGUTAN.

Synu, naddziadów twoich synu nieodrodny,
Jakżeś ludowi temu przewodniczyć godny!
Czyż nieprzeświadcza twoja dusza niezachwiana,
Żeś życie twoje pojął we krwi Turgutana?
Królu, może ja syna zbyt wysoko cenię,
Może to miłość własna, ojca omamienie,
Jednak aby dochować narodowi wiary,
Za nim, za sprawą ludu, błaga żołnierz stary.
Serce me w tym wyborze drogą prawdy zmierza,
Nie żądam syna mego, lecz żądam rycerza.

BARDAN.

Dobrze więc; — nieład, bezrząd, w własnem wzniećcie łonie,
Uzbrójcie przeciw sobie bratobójcze dłonie!...
Królu godny litości, Boże sprawiedliwy!
Takiejże wzgardy wiek mój doczekał sędziwy,
Natożeś mnie ukarał wczesnym syna zgonem,
By wszyscy pogardzili trudów tylu plonem?
Dwóch ich wzywam, a każdy w tak świętej potrzebie
I władzę i zaszczyty oddala od siebie.

SCENA VI.

CIŻ, EGEMA i ARCEZ.

EGEMA (wprowadzając go).

Pójdź, próżno się wyrywasz, ta dłoń skamieniała,
Ta dłoń dziewicza siły olbrzymiej nabrała.
Lub cię przed ołtarz moc jej zaprowadzi wściekła,
Lub jeźliś ty silniejszy, wciągnij mnie do piekła;
Drzysz, bo ziemia na której przysiągłeś mi wiarę,
Z grzbietów swych wiarołomną otrząsa poczwarę.
Pójdź — patrzaj — tu — tu — oczów nie podnoś do góry,
Bo tam świadka nie znajdziesz, zmieniły się chmury!

(bierze go za rękę)

Ale ziemia ta sama — postąp krok w tę stronę;
Tu, tuś stał, kiedyś wyrzekł te słowa zhańbione:
„Gdy cię zdradzę, niech ziemia zapadnie się zemną“!
Tu, słyszysz? tu — „niech ziemia zapadnie się zemną“!
Pamiętasz, czyś zapomniał? mów, Bóg cię ukarze;
Jeźli pamiętasz, chodźmy przed jego ołtarze!..

Jeźliś zapomniał, uderz o tę ziemię nogą,
Uderz, niech ci dotrzyma obietnicę srogą,
Uderz, niech się zapadnie na twoje wezwanie,
Leć na tej cząstce bryły w piekielne otchłanie;
Upomnij się o swoje, niechaj się zapadnie,
Niech leci, i niech złoży wiarołomcę na dnie.
Lub raczej, obyś ciągle o spoczynek wołał,
Ciągle leciał, i nigdy dna dostać nie zdołał;
By ci powietrza brakło, żmij wpiło się krocie,
A duch mój jeszcze głębiej popychał cię w locie!

ARCEZ.

Dobrzę Egemo, dobrze; — o, ty wielki Boże!
Ty wiesz wszystko, czyż Arcez cnotliwym być może?
Idź, niech zabłyśnie światło weselnych pochodni;
Nie sądź, że już nie zdołam większej spełnić zbrodni.
Idźcie wszyscy — zgromadźcie wszystkie ludu stany,
I niech nam — nam — ślub dadzą święcone kapłany.

EGEMA.

Mężu! —

ARCEZ.

Mężu!..

TURGUTAN.

Arcezie!

BARDAN.

Synu, drogi synu!
Drzysz, jakbyś występnego obawiał się czynu?

ARCEZ.

Nie królu... nagła zmiana... chcę litości tyle,
Byście mnie zostawili samego na chwilę;
Przygotujcie...

SCENA VII.

ARCEZ, TURGUTAN.

TURGUTAN (zatrzymuje się w głębi, i wraca).

Co robisz? o chwilo straszliwa!
Czy cię zły duch pomięszał, szał jaki porywa?

ARCEZ.

Nie trwoż się, będzie dobrze....

TURGUTAN.

Nad brregiem stanąłeś.
Powiedz, jakę w tej burzy drogę przedsięwziąłeś?
Jak chcesz działać, — mów!

ARCEZ.

Nie wiem,...

TURGUTAN.

Chcesz się wiecznie zgubić,
Chcesz tajemnicę wykryć, czy siostrę zaślubić?

ARCEZ.

Nieba!

TURGUTAN.

Mów, jakiekolwiek masz czynić ofiary,
Ja naprzód poznać muszę te skryte zamiary.

ARCEZ.

Spiesz się, korzystaj z chwili, nikt cię nie zobaczy —
Ochroń hańby dla siebie, a dla mnie rozpaczy;
Zabij mnie — nie odwlekaj, zwłoki złóż w ustroni,
I zostaw miecz zbroczony w zastygniętej dłoni.

Kiedyś tyle męczarni w sercu mojem sprawił,
Kiedyś mi z młodu życie dla zbrodni zostawił,
Niech mnie ta sama ręka z piekieł oswobodzi,
A cnotliwe zabójstwo Niebo ci nagrodzi.
Jeźli Bóg dusze wasze ma karać za zbrodnie,
Litościwym uczynkiem okupisz je godnie.
Milczysz? — własne żelazo od mąk mnie ochroni,
I wierniejszem mi będzie w samobójczej dłoni.
Nie chcę żyć wiarołomnym, cierpień nie przeżyję,
I niewinną krwią moją wasze zbrodnie zmyję.

(odchodzi).

Koniec aktu trzeciego.

Akt czwarty.

Scena napełniona ludem i wojskowymi, czekającymi na Naczelnika pokolenia.

SCENA I.

TURGUTAN, HEREMON, BARDAN i EGEMA.

BARDAN (wchodząc z Egemą).

Dzięki Niebu, już wielkie skończyliśmy dzieło.
Utopmy w niepamięci wszystko co minęło,
Silni jednością, cnotą i odwagą zbrojni,
Pod nowym sterem żyjcie szczęśliwi, spokojni.
Domowego pokoju nikt wam nie zakłóci,
Młody wódz dawną wielkość plemieniowi wróci.
Lecz gdzież Arcez?

TURGUTAN (zmięszany).

Nie wiemy, może już w świątyni
Przygotowania jakie, może modły czyni.

BARDAN.

Idźmy.

SCENA II.

TURGUTAN (sam).

Jakże mię srogie dręczą niepokoje,
Boże, rozjaśniej prawdą błędne oczy moje!
Alcynie, gdzież ty jesteś? o chwilo straszliwa! —
Jakież cię tajne miejsce przedemną ukrywa?
Miałżebyś, idąc teraz za rady mojemi,
Przenieść twoje mieszkanie do nieznanej ziemi,
I dać mi na pamiątkę w godzinie rozstania
Złorzeczące wyrazy w miejsce pożegnania?
Pogardzić wsparciem mojem, sam jeden, ubogi,
Żebrzącym wzrokiem w troskach szukać szczęścia drogi?
Miałbyś mnie znienawidzić, miałżebyś zarazem
Spełnić, coś przepowiedział okropnym wyrazem?

(klęka)

Wy sprawiedliwe Nieba, które go widzicie,
Jeźliście mu dotąd zachowały życie,
Jeżeliście Bardana przewidując mękę,
Wstrzymały syna jego samobójczą rękę, —
Wy tę okropną burzę rozprószcie wszechwładnie,
A cała zemsta wasza niechaj na mnie spadnie!
Bo cóż znaczy dla starca, co resztę dni sączy,
Że o kilka dni później, albo wcześniej skończy?
Niech grom sprawiedliwości na tego uderzy,
Który wiedząc o zbrodni do zbrodni należy;
A niech ochroni młodość, której cała wina
Że drogę życia swego nieszczęściem zaczyna.

SCENA III.

TURGUTAN. ARCEZ.

TURGUTAN.

Książę, ty żyjesz; jakęż radość we mnie rodzi....

ARCEZ (wynędzniony).

Niechaj cię życie moje więcej nie obchodzi;
Nigdy ja tej niknącej gwiazdy nie ceniłem,
A dla przetrwania nieszczęść dosyć długo żyłem.
Gdzie mój ojciec? gdzie siostra? chcę po raz ostatni
Zaspokoić ten zapał synowski i bratni.
Kiedy już droga dla mnie zbliżyła się chwila,
W której do życzeń moich Niebo się przychyla,
I zwracając odemnie blask dziennych promieni
Zbrodnię na cnotę, piekło na Niebo przemieni: —
Niech błogosławiąc mękom trawiącym przy zgonie,
Skonam przy boku siostry i na ojca łonie.
Niewinności zdradzieckim nie napadłszy gromem,
Ani czoła ohydnym nie splamiwszy sromem,
Sumienie mając wolne, i duszę bez skazy,
Niech przed śmiercią te słodkie usłyszę wyrazy...

TURGUTAN.

Może o wsparcie Nieba nie napróżno wołasz,
Ale ostatniej cnoty wydrzeć mi nie zdołasz;
Sam odkryję...

(odchodzi).

SCENA IV.

ARCEZ (sam).

Wstrzymaj się! — odszedł — już się stało;
Żyjesz ze mną lat tyle, a znasz mnie tak mało.
Jażbym dla ulgi cierpień w znikającem życiu
Wyjawił, co przysiągłem zachować w ukryciu?
Nie, — chociażbym rad zerwał okropne kajdany,
Nieznanym żyjąc dotąd, zakończę nieznany.

SCENA V.

ARCEZ. EGEMA.

EGEMA.

Gdyś umiał czarną duszę zataić układnie,
Powróć mi moje serce, któreś wydarł zdradnie;
Powróć mi dawny pokój i dawną swobodę,
I w szczęściu upłynione moje lata młode.

ARCEZ.

Ja nieszczęśliwy jestem! — czego żądasz? Boże!
Uwolnij....

(chce odejść)

EGEMA (biorąc go za rękę).

Stój! nie pójdziesz — litość nie pomoże.
Chcesz się uwolnić teraz — uwolnić odemnie,
Uwolnić się od serca, któreś zwiódł nikczemnie?
Dobrze, wnet cię uwolnię, ale dokaż cudu,
Bym cię kochać przestała. Głos późnego ludu
Za mnie będzie na ciebie miotał złorzeczenia,
I bez zgrozy twojego nie wspomni imienia.

Stój, i nim nową karę ściągnie zbrodnia nowa,
Ja cierpię twoje czyny, ty cierp moje słowa.
Uwolnię cię nazawsze, jużem powiedziała,
Ale wprzód dokaż cudu, bym kochać przestała.

ARCEZ.

O, gdybyś ty znać mogła tę walkę tajemną ...
Nie miotaj na mnie przekleństw, miej litość nademną!
Ja nieszczęśliwy jestem; uczuj moje rany,
Godniej ceń moję duszę, mój los opłakany.
Wierzaj mi — nie chciej związku, który w krótkiej dobie
Stałby się zbrodnią dla mnie a ciężarem tobie.
Zatrujesz twoje życie, i w ciągłej zgryzocie
Napróżno ulgi cierpień szukać będziesz w cnocie.
Nie znajdziesz odpoczynku; jakaś moc ukryta
Codziennie ciebie nową zgryzotą przywita.
Ciągle cię będą tajne dręczyć niepokoje;
Wśród czarnych myśli spłyną młode lata twoje.
W dzień będzie cię ścigało ranione sumienie,
W nocy sen ci odbiorą twoich ojców cienie.
Ale napróżno zechcesz docieknąć przyczyny,
Nie znajdziesz, ktoby twoje objawił ci winy.
A kiedy cię przygnębi piekieł siła cała,
Żałować potem będziesz, żeś słuchać nie chciała.
Lecz zapóźno Egemo. — Egemo, na Boga!
Niech utkwi w sercu twojem ta straszna przestroga,
Ach, nie sądź, że ja zdrajcą z niecnoty zostałem,
O więcej mnie nie pytaj; — nadto powiedziałem.
Wszystko się skończy; — piekło dobroczynną siłą
Od potrzeby mówienia już mnie uwolniło.
Chciałem głos twój usłyszyć, słyszyć muszę jęki.
Lecz wkrótce męka przerwie okropniejsze męki.

EGEMA.

Rozumiem — ostatniego środka się chwyciłeś,
I pierwszę wolę Rady za powód użyłeś.
Chcesz teraz wmówić we mnie, że kraju nieszczęście
Będzie mi wyrzucało niegodne zamężcie.
Dobrze, bądź więc szczęśliwy; niech i kraj nim będzie,
Niech godniejszy od ciebie zwierzchnictwo posiędzie;
Lecz ty sam będziesz mojej pociechy zadatkiem,
Sam będziesz cierpień moich, mojej śmierci świadkiem.
Dręczony wyrzutami, pokryty żałobą,
Pogrzeb twej narzeczonej przyozdobisz sobą.

ARCEZ.

Nie tworz się! Niebo w swoich wyrokach nie błądzi;
Bóg lepiej życie moje, niźli ty osądzi.
Już się twą pogrzebową nie zajmę posługą,
Już się z mąk życia mego nie pocieszysz długo.
Bóg mi słowa dotrzyma, wkrótce śmierć przychyli....
Przebaczam złorzeczeniom! mów, — korzystaj z chwili, —
Są to ostatnie słowa....

SCENA VI.

CIŻ, BARDAN, TURGUTAN, HEREMON.

BARDAN (wchodząc).

Już wiem co się stało,
Już mi to moje serce dawno powiedziało.
Synu mój, drogi synu! czemuż wiek sędziwy
Silniej cię nie uściska synu nieszczęśliwy!

ARCEZ.

Ojcze!!

BARDAN.

Egemo, on jest twoim bratem!

EGEMA (uradowana przez zapomnienie).

Drogi!

BARDAN.

Synu!

ARCEZ (padając ojcu do nóg)

Ojcze!

EGEMA (wyszedłszy z zapomnienia).

Bratem!...

ARCEZ (u nóg ojca).

Niech uścisnę twe nogi!

EGEMA.

Bratem?

BARDAN.

Tak, Arcez umarł, a w nim Alcyn żyje; —
Turgutan mi wyjawił. —

EGEMA.

Nieba! — gdzież się skryję?

ARCEZ.

Dusza moja ożyła tak nagłą przemianą,
Egemo, teraz mogę nazwać cię kochaną.
Cnotę mi teraz przyznasz, mnie będzie dość na tem,
Przeklinałaś kochanka, pojednaj się z bratem.

Uściskaj mnie Egemo, płacz nad nieszczęśliwym;
Patrz! występny kochanek jest bratem cnotliwym.

EGEMA.

Gdzież ja jestem? co słyszę? cóż się ze mną dzieje?
Sama niewiem co czynię, i drżę i truchleję...
Ach, któżby był powiedział, że jedno zamęście
Tak okropne na wszystkich sprowadzi nieszczęście!
I że słaba kobieta przez tak krótkie chwile,
Tyle zbrodni sprowadzi i nieszczęścia tyle!
Patrzcie, dokąd los ludzi prześladować zdoła!...

ARCEZ.

Wkrótce po przebaczenie niebo nas przywoła.
Stało się; — już się stało, już czas niedaleki,
W którym Bóg do spoczynku wezwie mnie na wieki.
Już żar ogni piekielnych w wnętrzu mojem czuję;
Już mi głowę rozpala — krew w żyłach tamuje...
Mgła przed okiem — głos ginie — zawrót i ból srogi...
Trucizna...

EGEMA.

Ach!

TURGUTAN.

Co!

BARDAN.

Synu!

HEREMON.

Przyjacielu drogi!

EGEMA.

O nieba, tyle zbrodni miłość zgromadziła!

ARCEZ.

Siostro! przestań —

BARDAN.

Synu mój!

ARCEZ.

Synu!! — zkąd ta siła?
Cóż zrówna mej radości — o boskie odkrycie!
Gdzież jest Bóg, co mi lepiej wynagrodzi życie?
Turgutanie, w męczarniach błogosławię tobie,
Że mi ojca powracasz choć przy samym grobie.
Siostro, przybliż się ku mnie, i podziel żal bratni.
Ojcze, daj rękę po raz pierwszy i ostatni. —
Żegnam was już nazawsze; — żyj każdy cnotliwym...
Niekiedy przypomnijcie o mnie nieszczęśliwym...
Boże! ogień śmiertelny wnętrzności pożera...
Ojcze, ty wiesz — żem synem! — patrz, syn twój umiera...
(chwieje się, upada i kona).

EGEMA.

Gdy mi Bóg nie dopuścił żyć występną żoną,
Siostra pójdzie za bratem na wieczności łono.
(wyrywa oręż Arceza i chce się nim przebić, król jej wytrąca).

BARDAN.

A ojca chcesz opuścić?

EGEMA.

Ojcze!

HEREMON.

Cóż zrobiłem!

BARDAN (do Heremona).

Bądź królem.

HEREMON.

Jakże drogo los ten okupiłem!

KONIEC.

V.

KILKA ARTYKUŁÓW

z pism czasowych.

V

KILKA ARTYKUŁÓW

z pism czasowych.

Na wstępie tego tomu nadmieniłem już, że Supiński brał udział w życiu codziennem narodowem przez artykuły, które umieszczał w dziennikach.

W r. 1848 należał on stale do redakcyi Dziennika Narodowego. W skład jej wchodzili też: Leon Korecki, August Bielowski i Tomasz Rajski. W dzienniku tym znajduje się w każdym tygodniu po kilka artykułów wstępnych Supińskiego. Odnoszą się one wszakże albo do spraw, których odgrzewanie nie byłoby tu na miejscu, lub też do wypadków, które się przesunęły bez śladu.

Nie takim wszakże zapowiadał być dzień 31. lipca, w którym jak wiadomo, przypada rocznica śmierci Teofila Wiśniowskiego. Kim on był, nie potrzebuję dodawać, gdyż nawet przeciwnicy nasi oddawali hołd jego rzadkim przymiotom ducha. Kto zna rok 1848, ten pojmie, w jakie usposobienie umysły wprawić musiała zbliżająca się ta rocznica. Zaburzenie zdawało się być nie do uniknienia; tem bardziej, że i takich nie brakło, którym to właśnie byłoby wodą na młyn.

Patryoci tedy silili się na utrzymanie pokoju. Do nich należeli też redaktorowie pomienionego dziennika. Supińskiemu poruczono napisanie stosownego artykułu. Artykuł ten więc przytaczam tu.

* * *

Dzień pojutrzejszy jest rocznicą śmierci ś. p. Wiśniowskiego i Kapuścińskiego. Dzień ten jest zanadto obecny pamięci nas wszystkich, abyśmy go przypominać potrzebowali. Patrzymy jeszcze w tej chwili na ten grobowy konwój,

przeciągający ponuro wśród żałobą pokrytego miasta. Grobowa cisza zaległa była wszystkie jego ulice; martwe tłumy stanęły na brzegach drogi, po której męczennicy swobód narodowych zjeżdżali ze świata tego w otchłań wieczności. Wśród ciszy odpowiadającej spokojowi ich sumienia, wśród ciszy, którę tylko niekiedy wyparte z męskiej piersi westchnienie, lub łkanie niewieście przerwało, ostatnie rzucali na nas spojrzenia, ostatnie przesyłali nam pozdrowienie. Dzień pochmurny zwiększał posępność tłoczącą serca nasze; dżdżyste niebo łączyło rosę swoję ze łzami ócz naszych, a słońce nie chciało być świadkiem tryumfu przemocy.

Dzień ten był dla nas za długi; dnie po nim idące stały się tylko przedłużeniem jego. O, tego czuć nie może ten, kto nie doświadczył, co jest cierpienie wśród urągowiska; cierpienie, którego objawić mu nie wolno; cierpienie, które siła mocniejszego zbrodnią nazywa.

Błogosławiony stanąłeś Teofilu przy boku Łukasińskich, Pestlów, Konarskich, Murawiewów; lecz cień twój żyje wśród nas, bo cię widzimy przed nami. Wytrwałość i pokój, które się rozlały na łagodnej twarzy twojej, w chwili, gdyśmy się z nią wiecznie rozłączali, stały się godłem wiary naszej. Tak, wytrwałość i pokój! — Zniosłeś więzienia, prześladowania i śmierć, która uświęciła sprawę naszę; my znosimy obelgi i potwarze, jakiemi nas nieprzyjaciele nasi przed światem plugawią; my znosimy prześladowania tych, co zatrzymali jeszcze w ręku resztki schodzącej ze świata potęgi; — my widzimy najeżone noże w dłoni braci naszych, w chwili, gdy się w ich objęcia rzucić chcemy.

Wytrwałość i pokój! nadzieja bije w sercach naszych, a ty spij snem wiecznym i módl się za nami do Boga ojców naszych; módlcie się obadwa za tą ziemią, której w zadatek wiecznego przymierza zostawiliście kości wasze. My dotrwamy; — dotrwamy po sam kres, który palec Przedwiecznego cierpieniom naszym naznaczył. Spijcie snem wiecznym błogosławionych; my go nie zakłócimy. Dzień śmierci waszej będzie dla nas dniem grubej żałoby, a nie ostentacyi; dniem milczenia a nie wrzawy; dniem cierpienia, nie tryumfu; dniem kościoła a nie obrad; — dniem pacierza, a nie mów; dniem ukrytych łez, które wylejemy każdy w zaciszu, których świadkiem będzie tylko pamięć wasza, i Bóg, co was przyjął do chwały swojej.

My uroczystości dnia tego nie skazimy burdą uliczną; myśl zatopiona w przeszłośei, i to religijne milczenie, co duszę oderwaną od ciała przenosi w krainy niebieskie, w błogie przyszłości marzenia, będzie żałobną pieśnią ludu waszego, ludu tułacza na własnej ziemi, który wam niesie w ofierze wszystko co ma: wytrwałość i cierpienie w milczeniu.

Wczoraj wieczór poprzylepiano na rogach ulic ogłoszenie, podpisane przez komenderującego, wzbraniające wszelkiej manifestacyi na miejscach publicznych na cześć ś. p. Wiśniowskiego i Kapuścińskiego, w celu uniknienia zaburzeń, jakieby obchody podobne wywołać mogły.

Władza rządowa odnosi się do ludności miejscowej, która chęci utrzymania pokoju w kraju niezaprzeczone dała już dowody; wykonanie zaś tego zostawia gwardyi narodowej, a w ostatniej tylko potrzebie wojsko ma być użytem.

Pragniemy gorąco, aby do tej ostateczności nie przyszło; a po wypadkach tego rodzaju, które już kilkakrotnie w mieście naszem się wydarzyły, mamy prawo spodziewać się, że dzień poniedziałkowy przejdzie z godnością, jaka wspomnieniom narodowym towarzyszyć powinna.

Zbyteczną byłoby rzeczą powtarzać raz jeszcze, jak święty obowiązek wkłada na nas sprawa krajowa. W niebezpiecznym dniu rekrutacyi, głosy pełne prawdy i zdrowego rzeczy pojęcia, do których i my przyłączyliśmy byli nasz, nie zostały bez skutku. Sąd publiczny oddał hołd prawdzie; obywatelskie przywiązanie do kraju, do ogółu, do przyszłości naszej przygłuszyło chwilowe serca oburzenia. Że utrzymanie pokoju jest dziś najświętszym naszym obowiązkiem, o tem nikt wszakże nie wątpi. Publiczne manifestacye, nic chwale straconych dodać, w niczem poszanowania naszego dla nich podnieść nie zdołają; bo to już wyżej stanąć nie może. Zostawmy więc na lepsze czasy te narodowe uroczystości, i wierzmy w to, że nadejdzie czas, kiedy połączywszy imiona wszystkich sprawy naszej męczenników, swobodnie i bez trwogi uwłaczającej ich pamięci, zaspiewamy im hymn ludu, całą przestrzeń ziemi naszej zamieszkującego.

W pomienionym dniu zgromadziło się było do 10.000 osób na górze tracenia. Odbyło się wszakże wszystko bez zakłócenia porządku, pomimo podżegań.

Głos dziennikarstwa, wsparty usiłowaniami obywatelstwa, osiągnął zamierzony skutek.

Zawiedzione oczekiwania po r. 1848 rozdzieliły stanowczo społeczność naszą na dwa obozy. Jeden z nich nawoływał do prac realnych, nie pojmując siły bez materyi; — drugi, z klątwą na u-

stach na tak zwany materyalizm, widział jedyne zbawienie w rajskiej krainie ułudy. W tym składzie rzeczy napisanym był następujący artykuł.

* * *

W chwili, kiedy przemysł bądź rzetelny, bądź zwichnięty rozwija życie i ruch, jakich nie doświadczyły nigdy jeszcze znane nam dzieje świata; kiedy ta rozpościerająca się dążność, daje się już czuć w kraju naszym; — ważnem nader jest zadanie oswajać się wzajemnie z prawami, którym ten ruch ulega, i na których się to życie opiera. W krajach bogatych dążność podobna obudza ruch rzeczywisty; przedsiębiorstwa się mnożą, ponawiają nowe pomysły; ludzie i zasoby idą na wyścigi, a ich siły zdają się rosnąć przez wyczerpanie. W krajach ubogich w zasoby i znajomość praw rządzących niemi, bo te dwie potęgi ludzkie nigdy nie postępują oddzielnie, w krajach ubogich, ruchowi temu towarzyszą cierpienia i niemoc; w nich z łatwością dopatrujemy bezpośrednie przyczyny złego, a utyskiwania na brak kapitałów i kredytu, odsłaniają słabą towarzystwa stronę. Samo narzekanie może pozostać bez skutku, może nie być ani pomocnem, ani szkodliwem; ale przedsiębranie środków zaradczych wymaga już umiejętnej znajomości rzeczy, bez czego łatwiej szkodliwem, niżeli pomocnem być może.

Cóż jest kapitałem? i co jest kredytem? Oto dwa wielkie pytania, na które odpowiedzieć nie jest łatwą rzeczą, lubo nikt się nie waha stanowczo o nich wyrokować; pytania, których rozwiązaniu, pierwsi publicyści Europy poświęcili rozległe prace, a których w artykule dziennika zaledwie napomknąć można.

Kapitałem, a właściwie zasobem społecznym jest nagromadzenie skutków użytecznej a niespożytej pracy ludzkiej, w jakiejkolwiek ona utkwiła materyi: w ziemi, budowli, narządach lub kruszcu wydobytym z ziemi. Kapitały czyli zasoby, są przeto dziełem pracy, kierowanej pewnem wykształceniem; a warunkiem ich tworzenia się jest oszczędzanie, to jest przewyżka pracy nad spotrzebowanie. W krajach dzikich nie ma zasobów. Zasobem krajowym jest zbiór zasobów prywatnych, zatem zbiór mienia pojedyńczych obywateli i nic innego być nim nie może.

Cóż tedy jest kredytem? Kredytem w najściślejszem znaczeniu wyrazu, jest otrzymane przyzwolenie użycia kapitału cudzego; — kredytem dalej rozwiniętym, jest użycie kapitałów spodziewanych, a nie istniejących jeszcze. Do pierwszego należą pożyczki zabezpieczone na innych wartościach; drugi opiera się głównie na dobrej wierze, zdolnościach i porządku zapożyczającego; tamten nigdy nadużytym być nie może; ten w chwilach szału podobnych obecnej, przeradza się w namiętność i grę, prowadzi do klęsk pojedynczych i publicznych.

Z powyższych dwoch określeń wynika, że jak nie jest w mocy niczyjej stworzyć kapitał sztuczny, obudzić powstanie jego na innej drodze, jak na drodze pracy i oszczędności wspartych wykształceniem; tak nie jest w mocy niczyjej stworzyć kredyt istniejący sam w sobie, kredyt, że tak powiem, wiszący w powietrzu, zatem nieoparty na tem, co już istnieje rzeczywiście. Kredyt jest długiem; dług i kredyt są zruchomieniem części posiadanego mienia, są sprzedażą z prawem odkupu części posiadłości, praw, dochodów, a niekiedy nadziei; — a jak nie można

sprzedawać tego, co nie istnieje, tak nie można tworzyć kredytu, nie dawszy mu wprzód materyalnej podstawy.

Od tych ogólnych twierdzeń, obchodzących społeczność wziętą zbiorowo, przyjdziemy do szczegółów, obchodzących więcej pojedyncze osoby. Jak kapitał, tak opierający się na nim kredyt, jest dwojaki: uwięziony i ruchomy; — do pierwszego należy głównie ziemia, drugi rozwija się przeważnie w handlu sklepowym. Zabezpieczeniem kredytu przy tamtym jest hipoteka, przy tym weksel; — hipoteka łagodna dla dłużnika, bo potężna w gwarancyi; weksel ulegający sądom doraźnym i przymusom osobistym, bo polegający więcej na osobie niż na rzeczy. Kredyt, dług, kapitał obcy w handlu, może nie być żadnem obciążeniem dla dłużnika; on może wynosić połowę, trzy czwarte, a nawet całość kapitału obrotowego, to jest handlujący może nie mieć nic własnego, a przecież pracować korzystnie i być rzetelnym. Kredyt, dług, kapitał obcy w ziemi, jest boleśnym ciężarem, jest rzeczywistym wywłaszczeniem części mienia; on nie może przechodzić pewnej miary, bo po za tą granicą, stoi utrata własności. Pojętoż zawsze tę ogromną różnicę między właściwością kapitału uwięzionego a ruchomego? — wołając o kredyt ziemski, o łatwość obciążania ziemi, — wołamy o wywłaszczenie się z niej częściowe, prowadzące ostatecznie do wywłaszczenia zupełnego. I inaczej być nie może; w handlu kapitał obcy włożony w towar, powraca cały, — powraca w krótkim czasie, przynosząc użytkowy narost, którego część pozostaje w ręku kupca, część powraca z kapitałem do wierzyciela; kapitał włożony w ziemię, tonie w niej na zawsze: porznięte rowy, wystawione budowle, młyny, groble,

a nawet same zwierzęta robocze nie przejdą bezpośrednio już nigdy w kapitał obrotowy.

Rolnik spotyka się tylko z kapitałem, gdy go zapożycza; on go znikąd nie dostanie, by go zwrócić! Jakże głęboko rozmyślać, jakże dokładnie obliczać się powinien ten, kto samym dochodem z ziemi ma spłacać dochód kapitału i kapitał; dochodem niższym dochód wyższy; czteroma od sta: pięć lub sześć od sta; dochodem niestałym dochód pewny; dochodem ulegającym wpływowi atmosfery i licznym klęskom, dochód i kapitał głuchy na pomory, nieurodzaje, grady i zalewy. Zaprawdę pierwszy dług na ziemi, to pierwszy krok do jej utraty; otwarcie rozległego kredytu dla ziemi jest to puszczenie ziemi w obieg, obieg korzystny dla towarzystwa w ogólności, bo przenoszący ję w ręce zamożniejsze, może więcej gospodarcze, może w ręce kierowane wyższem wykształceniem, ale w ręce trzecie, przeobrażające postać kraju.

Właściciel obciążony już długiem, lub nie posiadający kapitałów ruchomych, bez których nie ma rolnictwa, może zbyć część, połowę, dwie trzecie mienia kłopotliwego i być bogatszym na pozostałości rzeczywistej, niż był na całości pozornej. Są ludzie, którzy nie mogąc złudzić innych, łudzą ostatecznie samych siebie, ale smutne złudzenia tego byłyby następstwa, gdyby ogromna większość, oględna i rzetelnie wykształcona, nie pojmowała zdrowo, że jak prywatny wydający więcej niż ma dochodu, narusza mienie główne, tak naród kupujący więcej z zagranicy, niż jej sprzedaje, obciąża tą przewyżką mienie krajowe; bo nikt nic nie dostaje darmo, — bo każdy szczegół wzięty z zagranicy, innym szczegółem pokryty być musi, — że zatem naród taki wywłaszcza się zwolna i stopniowo drogą kre-

dytu, nie dostrzegając funkcyi wywłaszczenia, — że z kraju takiego wychodzą naprzód kruszce, dalej weksle, listy zastawne, wreszcie zapisy hipoteczne, — że z kraju takiego wychodzi kredyt krajowy, część zruchomiona ziemi, zatem wychodzi ziemia krajowa, jak to starałem się rozwinąć w pracach moich; — gdy ta oderwać się nie może, ludzie ruchomi przybywają do niej, a przez nich ostatecznie równoważy się bilans społeczny; oni sobą wypełniają to, co weszło więcej niż wyszło. Mamże twierdzenie to poprzeć przykładem kraiku, który przed oczami naszemi przechodził te studya, i w ciągu lat ośmiu, połową ziemi pokrył długoletnie nadwyżki, skutki przesadzonego i może rozmyślnie nasuniętego kredytu.

Romantycy, idealiści, trubadury! — wy co chcecie obudzić w nas obrzydzenie do wszystkiego, co jest materyą, wy coście może w życiu waszem nie poświęcili jednego miesiąca pracy mozolnym studyom rzeczy społecznych; — trzymajcie się granic, któreście sobie sami zakreślili, a których przestrzegać powinno obywatelskie sumienie! Pomnijcie, że warunkiem ziemskiego istnienia ludzi i ludów jest materya; że myśl oderwana i oderwane uczucie nie należą już do świata tego; pozwólcie nam istnieć ciałem, jeżeli nie chcecie, by was posądzano kiedyś, żeście byli nasadzeni na zagładę współbraci.“ („Świt“ z r. 1857).

W skutek ukonstytuowania się państwa Austryackiego otrzymała też Galicya prawo reprezentacyi krajowej.

Na zgromadzeniach przedwyborczych pełnych ruchu, jeżeli kiedy — to tem bardziej na tych, które były pierwsze, — dały się słyszeć zdania najróżnorodniejsze.

W zamiarze sprowadzenia tychże do granic należytych, napisany był artykuł poniższy.

* * *

Na wczorajszem wieczornem zgromadzeniu wyborców w sali ratuszowej, przyszło znów do wyznania wiary kandydatów. Mowca, pan Ziemiałkowski oświadczył, że popierać będzie na sejmie przedewszystkiem następujące szczegóły: szkoły ludowe, samorząd gminy, zniesienie służebnictw, przez które zdaniem mowcy, dawne poddaństwo przeciąga się dotąd; dalej szczodrzejsze uposażenie duchowieństwa słowiańskiego; wreszcie zupełne i najrozciąglejsze zrównanie praw cywilnych i politycznych dla starozakonnych.

Niema już może między nami nikogo, ktoby nie podzielał życzeń mowcy, nie czuł ważności podobnych ulepszeń i nie pragnął ich urzeczywistnienia; a sądząc ze stopniowania oklasków, któremi przerywano mowę, ostatni z tych szczegółów, najwięcej znalazł współczucia.

Pojmuję, że cztery pierwsze punkta poparte były jednomyślnie przez słuchaczy, bo tylko złe chęci dla kraju, lub zupełne niezrozumienie warunków pomyślności powszechnej, mogłyby się na nie nie zgodzić. Co do ostatniego, zdaniem mojem, byłoby jeszcze wiele do powiedzenia. Jako jeden z członków komitetu, chciałem w tym przedmiocie prosić o głos; lecz zapał powszechny był tak wielkim, że lada uwaga mogła była wywołać nieporozumienie i wrzawę. Wstrzymawszy się od mówienia w gronie komitetu, niech mi wolno będzie odezwać się do czytelników waszych, bo czytaniu towarzyszy zimniejsza uwaga.

Wiadomą jest rzeczą, jak strasznym prześladowaniom ulegali żydzi w całej Europie wychodzącej z zamieszania, w które ję wtrącił upadek dwóch państw starożytnych.

Zdawało się, że dla nich nie było zakąta na ziemi. Kiedy w Hiszpanii palono niewinnych, jako „najmilszą Bogu ofiarę;“ — we Francyi zakopywano żywcem „oparszywiałych „jako czarowników;“ — w Anglii obdzierano ich ze wszystkiego na pokrycie kosztów wojen krzyżowych; gdy w Niemczech uwalniali cesarze całą szlachtę od płacenia żydom ich należytości; gdy we Włoszech musieli stawać co sobota przed biskupami dla słuchania katechizmu, i po każdej sentencyi odpowiadać ze skruchą „amen;“ — w tych chwilach których dziś dość nawet pojąć nie umiemy, dwa tylko były kraje, gdzie męczennicy ówcześni chronić się tylko mogli. Krajami temi były Holandya i Polska: — Holandya powstająca ze zbiegów całego świata na bagnach niezaludnionych, które wprzód osuszyć trzeba było, i Polska, która urządzeniami swojemi prześcignęła wiele innych narodów; — Holandya przyjmująca w łono swoje każdego, kto chciał pracować, — i Polska przyjmująca każdego, kto był prześladowanym i nieszczęśliwym. W Holandyi, skutkiem poźniejszych wypadków, żydzi przeszli w ogólności na chrześcian; w Polsce, gdzie wygnani zewsząd Aryanie odbywali jawnie swój obrządek, i gdzie Socyan skazany wszędzie na śmierć, znalazł bezpieczne schronienie, żydzi pozostali żydami; bo ich przeszłość, ich religia, i idące za nią moralne usposobienie, oddzielały ich wszędzie i zawsze od miejscowej ludności.

We Francyi za Filipa Augusta trzy czwarte Paryża były w ręku żydów, dziś jest ich ośmiu na tysiąc ludzi. Zaczem gdy jest mowa o żydach, Francyi także za przykład brać nie możemy. Nie stosując przeto do nas tego, co się stało gdzieindziej pod ciężeniem zupełnie różnych okolicz-

ności, poddaję głośno pod rozstrzygnienie publicystów naszych następujące uwagi.

Powiadają: wprzód trzeba żydów oswobodzić, a potem żądać od nich, by się stali narodowymi. W jednym z artykułów moich, (Kółko rodzinne Nr. 7.), mówiąc o potrzebie kształcenia ludu powiedziałem, że aby go uzdolnić do praw obywatelskich, należy go naprzód oswobodzić; bo nikt się nie nauczy jeździć konno, pokąd nie wsiądzie na konia. Porównanie to, przenosząc jeżdżenie konno do pływania, zastosowano dnia wczorajszego do żydów. Pozwalam sobie twierdzić, że je zastosowano niewłaściwie. Chłopi nasi są ludem rodzimym, osiadłym na tej ziemi od wieka; ich językiem jest język krajowy, oni są wreszcie rzeczywistym narodem, bo bez nich nie byłoby narodu. Inne jest zadanie w polityce podnieść do godności obywatelskiej krajowców opóźnionych, a inne uczynić ludźmi narodowymi przybyszów, którzy się do obowiązku tego nie poczuwają.

Polska przeszła w ostatnich stuleciech tak rozmaite, a tak bolesne koleje, że w rodzinie ludów europejskich, los jej tylko z losem Irlandczyków porównanym być może. Gdy jej odebrano wszystko, co odebrać można było, przechowała ona swój język mimo wymierzonych na niego ciosów; bo obok ojczystej ziemi, język jest najdroższym skarbem, i najświętszą spuścizną pradziadów. Jeden z Izraelitów wmówił w słuchaczów, że obojętną jest rzeczą, jakim kto tłumaczy się językiem, byle miał w sercu narodowe uczucia. Zaprawdę, twierdzenie to jest polityczną zagadką. Przypuśćmy, że język niemiecki stał się już dla nas wszystkich naszym domowym językiem, — któżby nawet z pomiędzy nas samych, śmiał jeszcze wówczas

twierdzić, że mimo to pozostaliśmy zawsze Polakami? Język nie jest zewnętrzną formą, ani nawet samym tylko środkiem porozumienia z innemi; język ust, jest językiem duszy. Człowiek pozostawiony sam sobie, rozmawia sam z sobą myślą; — język w którym myśli i czuje, jest językiem jego duszy i serca; dlatego też język jest głównym narodowości warunkiem i znamieniem.

Gdy Niemcy osiedli w kraju naszym, starają się z małemi wyjątkami, przyswoić sobie język krajowy; gdy ich synowie stają się niekiedy gorętszymi, od nas Polakami, żydzi żyjący między nami od tylu wieków, nie poczuwają się do obowiązku tego; w ich szkole dla młodzieży, język polski jest tylko ubocznym i przez rząd nakazanym przedmiotem, w ich świątyni postępowej, postąpił tylko język niemiecki, i jeszcze język niemiecki oczyszczony, stał się z małemi wyjątkami, językiem domowym rodzin zamożniejszych. Na tejże to drodze żydzi się stają ludźmi narodowymi?

Narodowość każda, a nasza więcej niż inna niezależna, utrzymuje się tylko pracą, poświęceniem, zamiłowaniem. Gdzie tych cnót niema, gdzie starsze pokolenie nie chce widzieć potrzeby przygotowania w młodszem uczuć narodowych, tam interes materyalny jest i pozostanie jedynem bożyszczem. Jak matka kocha dziecię swoje dlatego głównie, że ono powstało z niej samej i jej cierpieniem, tak narodowość spaja nierozerwanym węzłem tych tylko, którzy poświęceniem, życiem domowem codziennem, a nawet choćby tylko pragnieniem samem i cichemi modłami przyczynili się do jej przechowania.

Nie sięgając już odległej przeszłości, spojrzyjmy na to, co się dzieje lub działo przed oczami naszemi. Żydzi pruscy

porównani bezwarunkowo z innymi kraju mieszkańcami, przeszli Prusaków w zaciętości ścigania żywiołu polskiego. Przy rozliczaniu dwóch narodowości w Poznańskiem po r. 1848 wpisali się wszyscy w listę Niemców, a tym postępkiem przeważyli szalę na stronę antynarodową.

Powstańcy polscy chwytani przez władze tamtejsze, doznali od nich wszelkiego poniżenia; prowadzonych przez ulice, obrzucali kamieniami, pluli im w oczy, bili laskami po rękach w tyle skrępowanych, itp. — Żydzi galicyjscy po r. 1848 stali nazewnątrz życia politycznego, a w życiu społecznem poślednie tylko zajmowali miejsce. Z pierwszym dniem ruchu, Polacy powitali ich braćmi jednej matki; wezwali do uczestnictwa tych samych praw, ale i tych samych trudów. Żydzi przyjęli pierwsze, do drugiego nie poczuli obowiązku, a nie poczuli go dla tego właśnie, że tamto przyszło gotowe. Oni stanęli po stronie, gdzie jest siła, i tak długo stawać będą po stronie silniejszej bez względu na jej pochodzenie, pokąd nie dorzucą ofiar własnych na ołtarz, którego płomień my utrzymujemy od lat stu dla siebie i dla nich.

Rok 1848 przeobraził u nas zamożniejsze rodziny żydowskie; poprzyjmowały one imiona łacińskiego kalendarza i ubiory niemieckie, które dotąd rzadkiem były zjawiskiem; ich brudne domy stały się salonami, ich żony i córki olśniły ulice miasta kosztowną toaletą, a język niemiecki i francuski wygnały zpomiędzy nich stanowczo żydowski i polski: — żydowski, bo za nim szło poniżenie, — polski, bo on jest dotąd językiem boleści, uczuć i niemocy.

Jakże wzniosłem wydaje się obok tego brudnego samolubstwa, życie synów Izraela w Warszawie. Wspólnie

cierpiący, pokochali oni wspólną, w bolach leżącą matkę, uścisnęli dłoń bratnią chrześcian nie w szczęściu, lecz pod ogniem i bagnetem; mężowie poszli z bracią chrześciańską dopominać się u władzy oko w oko praw nieprzedawnionych wspólnej im ojczyzny, ich żony i córki mdlały po ulicach w tłumie sióstr chrześcianek. Gremium kupieckie przyjmuje żydów w swoje łono, bo żydzi dowiedli, że *już są* Polakami.

Nikt mnie nie posądzi, aby to com powiedział o żydach naszych, nie dopuszczało żadnych wyjątków. Znam osobiście dwóch może gorętszych odemnie Polaków. Miło mi jest nazwać ich publicznie przyjaciołmi moimi.

Niech mi wolno jeszcze będzie w kilku słowach wskazać źródło, z którego, zdaniem mojem, płynie ta różność zapatrywania się na potrzeby i środki społeczne. Jeden ze światłych żydów powiedział: „Między nami a wami ta jedynie zachodzi różnica, że wy powiadacie: narodowość i wolność, — a my: wolność i narodowość.“ Nie można lepiej oznaczyć różnicy, która dzieli nietylko Żydów od Polaków, ale nawet Polaków samych na dwa różne obozy.

Wolność, — powiedziałem w jednej z rozległych prac moich, — jest głównie prawem i własnością osób pojedynczych, dlatego też wolność w pojęciu polskiem, nie ma liczby mnogiej. Wolność rozciągnięta do wszystkich mieszkańców kraju, jest wolnością powszechną, wspólną, narodową, a jej bezpośredniem następstwem jest równość. Narodowość przeciwnie nie może istnieć indywidualnie, i należyć do pojedynczych ludzi. Wolność, to *ja*; narodowość, to *my*; — zaczem wolność może istnieć i istnieje bez narodowości; narodowość obudzona we wszystkich po-

kładach narodu, pociąga za sobą wolność dla wszystkich; — bo, raz jeszcze, narodowość to *my* a nie *ja*.

Następstwem powyższej prawdy, a przynajmniej prawdy dla mnie, jest, że gdy narodowość może przetrwać wieki pod uciskiem barbarzyństwa, i przechować się w całej czystości dla późniejszych pokoleń; — wolność nie wysnuta z życia samoistnego, rozbija narodową spójnię. W imię narodowości można odebrać narodowi wolność na czas długi, ale tylko na czas pewny; — w imię wolności można go rozstroić nazawsze. Oto przyczyna, dla której, dbając o potomnych najmniej tyle co o siebie, wołam, i wołać nie przestanę: wprzód narodowość, a potem wolność: — wprzód być, a potem, jak być.

Powiedziałem przed chwilą, że bezpośredniem następstwem wolności, jest równość. Równość bez wolności jest pojęciem spaczonem albo despotycznem. Wolność idąca poprzed równością, pozostawia każdemu ruch swobodny, bo wie że jej łagodna ale nieprzeparta potęga zrówna wszystkich bez gwałtu i oporu; — równość depcąca wolność osobistą, jest panowanie jednych nad drugimi. Gdy tamta szanuje pracę, zdolności, zasługi, użyteczność, bez względu na stan osób, które je przynoszą do wspólnej narodowej pracowni, — tamta odpycha z zasady osoby, bez względu na ich wartość i ich cnoty.

Będąc członkiem komitetu wyborczego, gdzie przeważna większość objawiła odmienne widzenie, sądziłem być obowiązkiem moim, wyspowiadać się publicznie z mojego; a chcąc według przekonania mego, które wszakże mylnem być może, stanąć czysty przed sądem bożym, nie mogę mieć udziału w czynnościach, których zadaniem być się zdaje, z jednej strony ścigać tych, co się poważyli przyjść

na świat z rodzin historycznych, z drugiej oddać staropolską ojczyznę moję, w ręce tych, którzy stawiają „wolność“ przed „narodowością.“

Mamże wypowiedzieć ostatnie słowo? Panowie! postawcie rząd narodowy, (jeźli możecie!), a wówczas powiemy wam: „idźcie w imię boże z wolnością waszą na czele! — a powiemy wam to bez ogródki; bo narodowość stanąwszy u władzy, stanie już *de facto* na pierwszem miejscu. Dziś jedno z dwojga: albo wolność narodowa, albo narodowość dowolna. („Głos“ z dnia 24. marca 1861 Nr. 70).

Artykuł powyższy wywołał dwie repliki.
Oto odpowiedź Supińskiego.

*
* *

Artykuł mój umieszczony w Nr. 70. „Głosu“ wywołał dwie odpowiedzi: Redakcyi Przeglądu i p. M. D., izraelity. Na pierwszę nie odpowiedziałem, nie dlatego że mi wskazano miejsce, gdzie mam odpowiedź moję przesłać, bo to mogło mnie nieobowiązywać, nie dlatego także bym lekceważył zdanie Przeglądu; — lecz dlatego, że Przegląd w odpowiedzi swojej wszedł już na innę drogę. Gdy z dwóch braci i współwłaścicieli pewnego kawałka ziemi, jeden chce na nim wystawić dom rodzinny, drugi założyć ogród publiczny, trudno przypuścić, by bracia ci porozumieli się co do środków, kiedy tak różne zamierzają cele. Przegląd chce przedewszystkiem wolności dla rodu ludzkiego; my pragniemy przedewszystkiem pozostać naro-

dem. Prócz tego, nacożby się przydały rozumowania moje, których cechą jest „brak loiki".

Pan M. D. powiedział w artykule swoim wiele rzeczy prawdziwych, jak n. p. o stanie średnim i ślubach. Czytamy tam także na wstępie, że ktokolwiek pełni obowiązki obywatela względem ogółu, musi być w używaniu wszystkich praw obywatelskich. Jest to prawda niezaprzeczona, ale nie ściągająca się do nas; — obowiązki są materyalne i moralne, jedne przechodzą przez pośrednictwo rządów, drugie odnoszą się wprost do współobywateli. My mówimy tylko o tych ostatnich, bo nikt nie oskarża starozakonnych, by nie płacili podatków, lub stawali w opozycyi władzom rządowym; że zaś obowiązki moralne mierzymy i mierzyć możemy tylko na własną miarę, dopominamy się od nich uznania naszej narodowości, i tę stawiamy na czele „obowiązków obywatelskich." Jeżeli rok 1848 nie ziścił wszystkich oczekiwań żydów, (bo niezaprzeczenie ziścił ich nie mało), to jeszcze nie nasza w tem wina, bo nie my byliśmy władzą prawodawczą; myśmy ich wezwali do wspólnej pracy, a tę, nie waham się powtórzyć, żydzi odepchnęli od siebie, skoro inne na niebie zajaśniało słońce.

Pan M. D. upewnia nas, że wykształceńsza młodzież żydowska dobrze mówi i pisze po polsku. Nie myślę zaprzeczać poważnemu zapewnieniu; lecz z mojej strony o tem także zapewnić mogę, że nie zdarzyło mi się spotkać dwóch żydów idących razem, którzyby między sobą mówili po polsku, — którzyby przeto z serca uznali za swoje, to co jest naszem. Przeciwnie, gdy młodzież nasza rzuciła się do ubiorów narodowych, młodzież żydowska szkół wyższych przyjęła równocześnie niemiecką „burschenmütze,"

jak gdyby dla pokazania towarzyszom swoim, że z nimi nie mają nic wspólnego, że myśl ich sięga gdzieindziej.

Aby mnie nie posądzono o stronność, winienem nadmienić, że mi się zdarzało słyszeć panie i panny żydowskie mówiące między sobą czysto i płynnie po polsku. Cześć wam siostry nasze! Kobiety kierują życiem domowem; pomnijcie, że wszystko co mówimy w tej chwili, przeminie, a czyny pozostaną; że jak dzieje narodowe łączą nowe pokolenia ze znikłemi, tak język jest siłą atrakcyi w pośród żyjących. Tej dwoistej wspólności nie zastąpi żadna ustawa.

Nie mam zamiaru wchodzić w szczegółowy rozbiór odpowiedzi pana M. D. Zostawiając powszechności dalszy sąd o rzeczy powszechnej, nadmienić jeszcze muszę, że się z nim nie zgadzam zupełnie w sądzie o narodowości tureckiej, którę autor słusznie nazywa „świętą.“ Ze wszystkich uczuć jakie dziś opanowały serca ludzkie, uczucie religijne, jest niezaprzeczenie najdawniejszem. Człowiek surowy wychodzący z łona surowej przyrody, uczuł mimowolnie, że jest gdzieś potęga wyższa od wszystkiego, co go otacza; uczucie to owładnęło tak silnie ród ludzki, że go nie opuści nigdy. W miarę zrastania się społeczeństw ludzkich, przybywały do pojęć religijnych pojęcia towarzyskie; one się wciskały między nie, a na ich zespolonej świętości wzniosła się budowa państw starożytnych, w których siłą początkującą wszechrzeczy było bóstwo, a ostatnim i najliczniejszym czynnikiem niewolnik, zatem niebo i ziemia, uczucie i siła. Na tych podstawach wznosiły się państwa dawnej Azyi; na niej oparły się liczne, lubo jednej narodowości, greckie rzeczypospolite; na niej jeszcze stanęło jedno, lubo różnych narodowości, państwo rzymskie.

Chrześcianizm pierwszy uznał człowieka w niewolniku, a kobietę postawił w równi z mężczyzną. Był to okres dziejów przeobrażający postać świata; zmięszane dotąd uczucia ziemskie i zaziemskie zaczęły poznawać różną naturę swoję, — miłość bliźniego rozpościera się coraz dalej, miłość narodowości kupi się w własnym żywiole.

Gdzie nowożytna cywilizacya nie urobiła się jeszcze, tam dawne zmięszanie trwa dotąd; gdzie uczucia doczesne wikłają się jeszcze w natłoku różnorodnych a nieurobionych pojęć, tam narodowość mieszka jeszcze w pagodzie, meczecie, bóżnicy, cerkwi. W imię tej „świętej“ narodowości, różnorodni uczniowie proroka idą wytępiać wszystko, co nie przyjęło ustaw koranu; ich prawdy ziemskie i zaziemskie połączyły się na ostrzu ich kordelasa, a w lat stopięćdziesiąt po wyjściu pierwszej dziczy z arabskich piasków, pasterze wielbłądów zasiedli na tronach Azyi, Afryki i Europy. Zaprawdę, to nie narodowość! Gdy ludy chrześciańskiej Europy wychodząc z dawnej mięszaniny pojęć doczesnych i wiecznych, lały krew za wiarę, przemieniały religię, a przecież pozostały czem były; Turcya ostygnąwszy w fanatyzmie, omdlała na siłach i znika z powierzchni ziemi, bo na niej żyła nieziemskim pokarmem; Turcya stała religią a nie narodowością.

Przechodzę do ważniejszego szczegółu, to jest do używania praw cywilnych i politycznych. W właściwem, umiejętnem znaczeniu, prawem cywilnem jest każda ustawa określająca wzajemne stosunki mieszkańców kraju, ich obowiązki względem ogółu, i służące im nawzajem korzyści. Zaczem, gdzie już jest dla wszystkich jeden kodeks cywilny i karny, jedna procedura, jeden sąd, jedna władza administracyjna, jedne szkoły, jedne podatki ogólne, tam

już jest niezaprzeczenie równość praw cywilnych. Wolność zakładania wszędzie sklepów, kupowania domów itd., jak oznaczenie miejsc, w których wolno jest zakładać jatki, garbarnie, mydlarnie itd., nie wchodzi w ogólne prawa cywilne, lecz leży w atrybucyach władz gminnych i policyjnych; dlatego też te przepisy drugiego rzędu nietylko są różne w różnych miejscach tego samego kraju, lecz nadto gdy tamte stoją niewzruszone dla wszystkich, w tych pojawiać się muszą wyjątki i uwzględnienia. Celem tamtych jest sprawiedliwość powszechna; tych bezpieczeństwo, zdrowie, porządek, czystość. Rzeczą jest przeto samych obywateli odsunąć od siebie przyczyny, które znagliły do tych wyłączności.

Mówcy starozakonni dopominający się zrównania wobec prawa, nie wspomnieli o powyższem odróżnieniu; a to czego im nie dostaje, podciągnęli ryczałtem pod nierówność praw politycznych. Nie waham się twierdzić, że to pojęcie praw politycznych jest jeszcze mylniejszem od poprzedniego, a ich mniemana nierówność dla żydów nie istnieje. „Les droits individuels, civils, c'est la liberté; les droits sociaux, politiques, c'est la garantie," powiada niezrównany obrońca swobód konstytucyjnych, Ben. Constant. Jakoż, podczas gdy prawa cywilne obejmują wszystkie stosunki życia prywatnego, prawem politycznem jest wyłącznie uczestnictwo w rządzie i prawodawstwie.

Ażeby ustawy cywilne odpowiadały potrzebom i życzeniom obywateli, obywatele pragną mieć udział w ich stanowieniu, i dozór nad ich wykonaniem. Prawa cywilne przynoszą korzyść; prawo polityczne jest ciężarem, lecz ciężarem o który dobijają się ludy; bo rzadko kiedy są dla nich ustawy powstające bez nich.

Po rok 1848 prawa polityczne nie istniały u nas dla nikogo. Sejm postulatowy, którego zadaniem było „prosić o to, czego nigdy nie otrzymał, a dziękować za to, o co nie prosił," nie przechował był nawet pozoru prawa politycznego. Od r. 1848 prawo to zaczęło się przebijać w radach gminnych, w izbach handlowych, w deputacyach, a dziś w sejmie. Zapytuję, z którego z tych praw politycznych wyłączono żydów; i twierdzę, że żydzi używają u nas praw politycznych w całej rozciągłości, o ile ich używa kraj cały, i o ile te ustawą nadane zostały.

Powyżej praw cywilnych i politycznych stoją prawa towarzyskie. O nich „Czas" powiedział niemal równocześnie (27. z. m.): „Żydzi otrzymali już równouprawnienie polityczne, bo mają te same co i my polityczne instytucye; lecz żadna ustawa ani rozporządzenie władz nie jest w stanie nakazać równouprawnienia społecznego", a właściwiej towarzyskiego.

„Prawo nadane, powiada Montesquieu, jest albo gwałtem, albo skreśleniem tego, co się już urobiło w społeczności". Ustawa nadaje cechę sprawiedliwości temu, co już uważanem było jako słuszność; prawo spisane jest uroczystem powtórzeniem, jest uznaniem prawa żyjącego w sumieniu, na wypadek gdyby to gdzie zagrożonem zostało. Zaczem jeszcze, zadaniem prawa nie jest zaprowadzenie słuszności, ale raczej niedopuszczenie niesłuszności; a niesłusznem jest to tylko, co sumienie powszechnie uznało za takie. Ustawa może powiedzieć: szanuj, słuchaj i milcz; lecz nie może powiedzieć: poważaj, ufaj i kochaj. Poważanie, ufność i życzliwość człowiek musi zdobywać własnem wysileniem; poważanie — godnością, ufność — prawem postępowaniem, życzliwość — współczuciem. Po-

kąd ta moralna spójnia nie skojarzy współobywateli, potąd prawa spisane okrążać będą prawa, żyjące w sumieniu publicznem; one pozostaną „gwałtem a nie skreśleniem tego, co się już urobiło w wykształconej społeczności".

Jeszcze słów kilka o urzędach i obowiązkach publicznych. Ustawy nasze dozwalają żydom piastowania stopni lekarzy i adwokatów, bo odpowiedzialność za nie cięży na osobach. W obsadzeniu posad krajowych, każdy rząd, a tym bardziej każdy minister odpowiedzialny, dwa szczegóły mieć musi na względzie: naprzód pewność własną, że poruczony obowiązek wykonanym będzie sumiennie, a przynajmniej wiernie; powtóre, wrażenie publiczne, sąd publiczny, poszanowanie publczne. Dwa te czynniki iść muszą razem; gdzie jednego z nich nie dostaje, tam znika warunek służby publicznej. Nie my obsadzamy sądy i powiaty; jeżeli przeto rząd nie poruczał dotąd urzędów żydom, to jeszcze przyczyny tego szukać należy w tych samych prawach moralnych, na których się wznoszą prawa spisane. Wszakże szczególne odznaczenia lub zasługi wydobywają z ukrycia towarzyskie i narodowe cnoty i znakomitości: Pan M. D. zostaje posłem niemal jednomyślnie; Rotschild wchodzi do parlamentu angielskiego; Fould i Crèmieux obejmują teki ministeryalne we Francyi; ubogi lecz uczony Stern w ubiorze żydowskim zasiada w warszawskiem Towarzystwie Przyjaciół Nauk obok jenerałów i senatorów; Berko, pułkownik polski, dowodzi szlachecką młodzieżą, i uwielbiany przez nię ginie walecznie pod Kockiem; syn jego dowódzca szwadronu, a mój towarzysz i przyjaciel, ozdobiony krzyżami, umiera dla kraju na wygnaniu.

Oto są ogólne, w naukowym świecie urobione pojęcia praw cywilnych, politycznych i towarzyskich. Ich natury nie przeobrazi żadna ustawa; one się rozwijają od wieka na tej samej drodze.

Powołano przeciw mnie Arystotelesa. Arystoteles nie jest trudnym, on stanie także i po mojej stronie. Ten głęboki filozof i publicysta powiedział: „Każda cnota leży pomiędzy dwoma występkami, z których jeden jest brak, drugi przesada.“ My unikając wszystkiego, co stoi na krawędziach, nie chcemy ani wynosić nagle tego, cośmy potępiali przed chwilą; ani potępiać dla miejscowej polityki, co wyniosły prace i zasługi życia całego. („Głos“ z dnia 9. kwietnia 1861, Nr. 8).

Supiński zajmował się też przedmiotami, które się stykają z nauką gospodarstwa społecznego.

W »Kółku rodzinnem«, piśmie literackiem, wydawanem we Lwowie r. 1860, znajduję między innemi artykułami pióra J. Supińskiego, rozbiór dzieła Edmunda Stawiskiego: »Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego.«

Rozbiór ten przytaczam tu tem chętniej, że przyczyni się on może do tem większego rozpowszechnienia pomienionego znakomitego dzieła.

*

* * *

Praca ta obejmująca 380 stronnic, umieszczoną była częściowo w Bibliotece warszawskiej już przed ośmiu czy dziesięciu laty, a dopiero w roku 1858 doczekała się oddzielnego przedruku. Mimo to, jej pojawienie się i jej przedruk są wielce pocieszającem w literaturze naszej zjawiskiem. Literatura, a wyraźniej mówiąc, piśmiennictwo

każdego narodu i każdej epoki, jest odbiciem, jest wystąpieniem na zewnątrz rozwijających się w łonie jego uczuć, poruszeń i skłonności. Kronikarze otwierają wszędzie spisywane ludów dzieje; historye specyalne pojawiają się dopiero na wysokości, z której sąd publiczny, patrząc na szerokie przeszłości pole, zaczyna dostrzegać i odróżniać w nawale imion, wypadków, tłumionych jedne przez drugie i burz głuszących ukryte pod niemi życie, to co było istotnie życiem, i to z czego się wylewała siła zasilająca te głośne imiona, te uderzające wypadki, i te ciągłe burze. Historye specyalne mnożą się w miarę postępującego wykształcenia; one się rozpadają, tak jak wszystkie inne umiejętności na części drobniejsze, z których każda pęcnieje sama w sobie, i sama w sobie dochodzi dawnych rozmiarów.

Z radością witamy historyę rolnictwa naszego, stającą dziś obok znamienitych dzieł historyi literatury, szkół i innych; witamy ją z tem większem zajęciem, że ona pierwsza oderwała nas od jednostronnego parcia i skierowała uwagę naszę w stronę lekceważoną dotąd, a w której przecież odbywała się główna praca narodu, wzdłuż trwania społeczności naszej; — w stronę gdzie jaśniało nasze domowe życie, gdzie biły życia zbiorowego tętnice, zkąd wychodzili na scenę świata polscy Cyncynaci.

Dzieło Stawiskiego nie jest dziełem technicznem; ono zaledwie zahacza po drodze sposobów dawnej uprawy, których znajomość już dziś byłaby tylko zaspokojeniem ciekawości naszej. Autor sięgnął głębiej; on rozwinął nasze wewnętrzne stosunki, on przedstawił nasze domowe dzieje ze stanowiska, które obrał za punkt widzenia. W narodzie czysto rolniczym, dzieje rolnictwa są rzeczywiście jego wewnętrznemi dziejami; na niem usadowiło się jego istnie-

nie, na niem rozwinęły się jego społeczne stosunki, na niem się oparła jego towarzyska hierarchia, na niem dojrzewały i pod jego jeszcze zasłoną wyradzały się i paczyły cywilne i polityczne prawa.

To połączenie i ta zawisłość wszystkich ruchów towarzyskich i wszystkich usposobień narodowych od kierunku jaki weźmie w łonie jego to, co jest jądrem jego istnienia, uchodzi łatwo baczności naszej; bo skutki leżą opodal, bo spisane dzieje przeszłości rzadko są wyjaśnieniem przyczyn nurtujących cicho, z dawna, i w głębinach podwaliny społecznej budowy.

Jeżeli niełatwem jest zadanie skreślić obraz długiego żywota wielkiego ludu, jakże trudnem być musi zbadanie i rozkład pokarmu strawionego, na którym się ten żywot rozwijał, a który niekiedy przesycił organizm społeczny i ku upadkowi chylić go zaczął. Stawiski puścił się wstecz z tą myślą, lecz nie znalazłszy ścieżki wsród ciemnic i gruzów zalegających rozległe równiny, niekiedy nawet zwiedziony napotkanemi śladami, często domysłom naszym zostawia, czego ostatecznie wyrzec nie śmie; bo to ostateczne nie pojawiło mu się jeszcze dość jasno, wyraziście i stanowczo. Wypadki społeczne nie są nigdy zbiorem samych nieszczęść, lub samych powodzeń; te same przyczyny, często odmienne sprowadzają skutki, — podobne skutki często z różnych płyną przyczyn. To zwikłanie obok nawału jaskrawych wypadków innej natury, bałamuci sąd patrzącego, a przynajmniej odbiera mu śmiałość wyrokowania. Mamyż we trzech słowach określić treść nieocenionych badań Stawiskiego? Pliniusz wołał głosem pełnym boleści: *latifundia perdidere Italiam*! Latifundia stłumiły wielkość Hiszpanii, obaliły dawną monarchię francuską,

pomięszały wewnętrzny Niemiec rozwój, dziś grożą przyszłości Anglii; one zalały trucizną słodką i zwolna tylko trawiącą wnętrza społeczności naszej. To bolesne spostrzeżenie urabia się w czytającym, i narasta z drobnych okruszyn rozrzuconych po dziele całem, gdy się je czyta po raz pierwszy; wszakże kto je weźmie powtórnie do rąk, lub przystąpi do niego przygotowany, dostrzeże tam z łatwością tę wielką, historyczną i niezaprzeczoną prawdę.

Z końcem XV wieku rozpoczyna się nasze przeobrażenie, pojawiają się rozległe folwarki, łany dworskie zagarniają grunta kmiece, chłopi wydziedziczeni i szlachta biorąca górę w społeczeństwie rozchodzą się coraz dalej w kierunkach odwrotnych od miejsca dawnego zetknięcia; przyjdzie czas, gdy państwo przestanie być narodem.

Reforma rolnicza rozpoczęta w XV wieku, dopełnioną została w XVI. Wielka uprawa wzięła górę stanowczo i przeszła granice naturalne (194) *). Rosnące gospodarstwa folwarczne wywołują potrzebę rąk pracujących nie dla siebie. Tu rozpoczyna się szereg ustaw biorących w opiekę latifundia kosztem ludności wydziedziczonej; prawodawstwo używa wszelkich środków, aby uczynić zadość ich potrzebie; — czynsze ustępują miejsca robociźnie (86). Ogół ludności krajowej przeobraża się szybko, a z nią dawna zamożność i obyczaje; w miejscu wolnych dawniej chłopów pojawiają się rozliczne rodzaje ludzi do robót folwarcznych używanych, bądź zagrodników, bądź luźnych, alias hultajów (37). Statut toruński wyrzekł ostatnie słowo, on pańszczyznę uprawnił i określił ją tygodniowo (73).

Rozdarta raz społeczność, wszedłszy na inną drogę, posuwa się po niej coraz dalej, krok raz uczyniony, znagla

*) Stronnice powołane odnoszą się do wydania pierwszego tegoż dzieła.

do dalszego pochodu. Dzieje Anglii, Francyi i Niemiec przedstawiają podobne przejścia; lecz gdy dzieje państw tamtych napstrzone jaskrawością możnych wśród nadużyć, cierpień, niedostatku i poniżenia ludu, są niemal jednym ciągiem bezpraw wywołujących w końcu srogie katastrofy, — u nas przelewanie się wszystkich praw społecznych w jednę stronę, było więcej uczuciem małoletności drugiej strony, było rozwinięciem opieki jednych nad drugimi. Jakoż, nowe zasady sądownictwa nie uważają chłopów za mocnych do działania sądowego (145), i oddają ich opiece panów. Lecz opieka osób pojedyńczych nie zastąpi opieki prawa. Chłopi wydziedziczeni, z rolników zamożnych nędzarze, uchodzą przed uciskiem z miejsc przypominających im dawne swobody. Włóczęgostwo i niemoralność stają się życia trybem. Ostrość praw znagla jednych do nieposzanowania onych, a ich pomijanie wywołuje z drugiej strony coraz ostrzejsze ustawy. W XVII stuleciu już całe wsie opuszczają panów swoich (183), chroniąc się do dóbr królewskich, a nowo pojawiająca się konstytucya zamyka przed nimi te ostatnie wrota.

Jakże różny widok przedstawia się oku patrzącemu na dwa wielkie żywota naszego okresy. Włości nasze w XIII i XIV stuleciu, stanowią prawdziwie mozajkową rozmaitość. Na jednej dziedzinie mięszają się różnych rozmiarów i rodzajów posiadłości: cząstki dziedziczne, posady rycerskie, łany wolne, osady, a na tych gruntach kmiecie, służebni, czynszownicy, rzemieślnicy, sołtysi, lub drobne rycerstwo. Ci zajmują się rolą, ci rybołowstwem, ci pszczelnictwem; — ci składają część swoich płodów, ci płacą czynsze, ci obok opłat uiszczają się cząstką pracy (85). Folwarki niewielkie ginące w tłumie cząstkowej uprawy,

(29) są częścią wielkiej całości, a nie ich sercem i głową, do których później wszystko się zbiega. W XVI wieku waga zaczyna się chylić w jednę stronę; system folwarczny bierze górę, a wolna dotąd ludność rolnicza staje się stopniowo wydziedziczonym robotnikiem dworskim (87). Ręce opadają, gdzie owoce długich i ciężkich usiłowań wystawione są na igraszkę dowolności (91)

Dziwnym wydałby się ten wewnętrzny pokój, ta cicha uległość naszej wiejskiej ludności utracającej dawne swobody, prawa i mienie, gdybyśmy nie napotykali z drugiej strony w domowych cnotach szlachty naszej potęgi łagodzącej to, co suche i zimne wykonywanie ustaw byłoby nieznośnem uczyniło. Dzieje nasze nie znają buntów chłopów, które tyle cierpień i nieszczęść sprowadziły w Niemczech, Francyi i Anglii; bo u nas aż po okres, w którym obczyzna przemogła stanowczo, dotrwały w łonie równie wyższych jak niższych rodzin polskich: pracowitość, oszczędność i ludzkość. Przesądy były liczne, prawo ciężkie, ale obyczaje czyste i surowe, a głęboka obok nich religijność, znośnemi czyniła stosunki jednych klas do drugich. Prostota, prawość i tradycye, zacierały poniekąd, a przynajmniej łagodziły praw nierówność. (266). Jednym z najsilniejszych dowodów tej ojcowskiej ludzkości, jest przywiązanie, wierność i sumienność sług, o jakich dziś już nawet pojęcia nie mamy.

Wszakże mimo to, prawo wspólne dla wszystkich, lub opieka prawa rozciągająca się ponad wszystkimi w wiekach Kazimierzów i Jagiełłów (60), znikały coraz więcej w społeczności naszej. Rozpadanie się prawa było i będzie po wszystkie wieki rozpadaniem się narodu, zatem początkiem niemocy, którę tylko nagłe wstrząśnienia, lub wielkie po-

święcenie powstrzymać niekiedy zdołają. Swoboda jednych, rozwijająca się na uciśku drugich, wyradza dawne cnoty i obyczaje, a „w miarę (są to słowa autora) jak najliczniejsza klasa narodu upadała moralnie i materyalnie pod naciskiem nowych praw i zwyczajów, druga jego część, w stosunku narastających dostatków i ulg od obowiązków publicznych, poczynała okazywać skłonność do miękkości i przepychu; poczynała tracić dawną prostotę obyczajów, zamiłowanie obozu i życia twardego, nawyknienie do pracy i wstrzemięźliwości“ (187). Nowe gospodarstwo oparte już na prawach przymusowych, centralizacya dominialna, chłonąca dawne życie i samodzielność gminy, kunsztowna i fałszywa budowa towarzystwa, (265) podkopały budowę społeczną. Wkrótce zbytek mięsza się z ubóstwem i nieładem; przepych i pańskość wygania istotną gościnność, a nieraz poczciwość i rzetelność (276), bo „rozliczne choroby gnieżdżą się w ciele, które oddecha powietrzem zepsutem“. (271).

Wiek XVI jaśnieje w dziejach naszych jako wiek wysokiej umysłowej uprawy; — koniec jego powiedzieliśmy był początkiem przeobrażeń w społecznych stosunkach. Czasy, które poprzedziły to przełamanie się dążności i pojęć, przedstawiają miły, a zarazem bolesny widok; miły, bo tam widzimy siłę, sprawiedliwość, zadowolenie powszechne, — bolesny, bo ten stan rzeczy mógł się rozwijać ciągle, bo rozwojowi naszej narodowej potęgi, nic z zewnątrz nie zagrodziło drogi.

Chwilowe korzyści uwiodły przodków naszych. W trzech ostatnich wiekach, światy nowe otworzyły zachodniej Europie rozległe pole przemysłu. Siły jej zwróciły się ku tej stronie, zostawiając innym krajom, a głównie Polsce mo-

żność zaopatrywania jej w płody ziemiańskie, których produkcya podówczas była jeszcze dziełem więcej przyrody niż sztuki. Ogromny i cwałem rosnący odbyt, nie mógł nie złudzić w czasach, gdzie obcemi jeszcze były prawdy zdobyte później przez ekonomię polityczną. Zawód ten mógł spotkać państwa zachodnie, lecz niebo chciało inaczej, bo powodzenie państw tamtych rozlewało się na wszystkie narodu stany; — u nas przesadzona pomyślność jednych, oparła się na upośledzeniu innych. Równowaga wywozu z produkcyą zaczęła znikać; podsuwane z zewnątrz sztuczne ruchy, pomagały łudzić oczy niewprawne, sztuka znikła, przemijające potrzeby ustały, a zaród złego zapuścił głębokie korzenie, których wydobycie stało się olbrzymiem zadaniem, — zadaniem, na rozwiązanie którego już nie wystarczyło czasu!

Odległe wstecz przyczyny pierwsze klęsk i boleści, pojawiają się dopiero późniejszym pokoleniom, dość już odległym, by je naraz i w całości ogarnąć mogły; — niedość jeszcze odległym, by ich widok skrył się przed niemi zupełnie, lub by ich działanie usnęło. Czego my już nie dostrzegamy, to dostrzegli nasi dziadowie. Niedługo, bo nie wiele nad jedno stulecie trwające powodzenia i obfitość stanów wyższych, głuszące coraz większe u dołu cierpienia i niedostatek, przeradzać się musiały stopniowo w niemoc powszechną; bo potęga państwa tylko na zbiorowej potędze narodu oprzeć się może; — bo wycieńczeni nie mogą być siłą.

Te główne prawdy, ten rozum stanu, i to poczucie sprawiedliwości ziemskiej, rozwinięte zdawna na religii i moralności, które nigdy nie wygasły zupełnie w sercach przodków naszych, zwracały ich uwagę w stronę, w któ-

rę gdzieindziej tylko opór ludu zwrócić zdołał wyższe pokłady. Ludzie bystrzejszego widzenia, Ostroróg, Górnicki, Starowolski, przewidywali pierwsi dalsze następstwa zerwania dawnej równowagi; — „wszyscy się niesiemy, wołał Modrzewski, jakoby w jednej łodzi rzeczypospolitej; — gdy jeden członek ciała utrapienie cierpi, drugim miły żywot nie może być“ (179).

Zubożenie najliczniejszej klasy narodu, pociągnęło miast upadek, miast pracowitych i zamożnych przed dwoma wiekami, dziś nędznych miasteczek, wypełnionych brudnem i lichwiącem żydostwem. Bogactwo dworów szlacheckich, wabiło do Polski podróżujących dawnym obyczajem mnóstwo kupców szkockich, niemieckich, moskiewskich, węgierskich, greckich, ormiańskich, włoskich i perskich (186), którzy przejeżdżając kraj w rozmaitych kierunkach, zaopatrywali je w wyższe potrzeby i zbytki. Powołaniem miast było zaopatrywać lud wiejski; — ubóstwo tego, zubożyć musiało tamte; — upadek miast, i zdziesiątkowana ich ludność, zamknęły wrota przed płodami rozległych folwarków, których wywóz za granice ustawał, a których kraj sam, przez wewnętrzną zamianę, spotrzebować już nie mógł. W życiu narodów jest pewna wewnętrzna solidarność powodzenia i cierpień, której zerwanie sprowadza prędzej lub później cierpienia wspólne i powszechne; bo nigdy nie pogodzą się z naturą społeczną, przesycenie obok niedostatku, uciechy wśród żalów.

Takie koleje przechodziło rolnictwo nasze; a los rolnictwa był losem narodu rolniczego. Jeżeli dzieje przeszłe mają być nauką późniejszych pokoleń, należy w nich szperać zatem i uwydatniać to, w czem biły życia narodowego tętnice. Stawiski pojął to wzniosłe dziejopisa powołanie;

lecz przewidywał, że niedość zrozumianym będzie, bo umysły, powiada on, nawykłe oglądać przeszłość naszę w dramatycznym obrazie historyi, patrzeć na nie przez fantastyczny pryzmat poezyi, albo się nią pieścić w naszem powieściopisarstwie (253), niełatwo w tych suchych zasmakują obrazach. Wszakże obrazu, który tu przedstawiam pociągiem kilku grubych i ogólnych rysów, czytelnik nie znajdzie gotowego w dziele Stawiskiego; ale obraz ten zarysuje się w umyśle każdego, kto powtarzam, w poszukiwaniach do historyi rolnictwa, szukać nie będzie historyi techniki rolniczej; kto zna trudności towarzyszące określeniu rzeczy, których piszący nazwać nie śmie właściwym wyrazem, — czyj wreszcie umysł wprawny w wydobywaniu prawd oderwanych z natłoku mięszających się faktów, dojrzy w nich to, co jest ruchu bodźcem i zarzewiem.

Autor ku końcu dzieła swojego powiada pod uciskiem tęsknych wrażeń, jakie wyniósł z rozległych badań. Nauczyliśmy się, że odwieczne, święte prawdy sprawiedliwości, panują nad społecznościami, i że bez nich nie ma trwałości. Próżno przekuwać prawa, jeżeli nie ma świętości w sercach, a wyższego światła w rozumach; dobro nawet rozkruszy się w prądzie obyczajów lecących ku złemu. Jest świat wyższy przekonań i wiary, do którego odnosić się muszą ustawy i w nim siły swoje czerpać. Duch miłości bliźniego i pewne ofiary muszą przejąć organizm towarzyski, bo na tym dopiero cemencie wznieść się może budowa trwała. Prywata i egoizm, czy owładną jednego człowieka, czy jednę klasę ludności, czy jeden naród w rodzinie narodów, ściągają burzę i upadek. One same siebie pożerają i trawią. Rzetelna tylko praca jest źródłem postę-

pu; praca umiejętna z jednej strony, z drugiej oswobodzona z więzów (270).

Nie ma zapewne narodu, na którymby nie ciężyły grzechy przeszłości, bo narody są ludźmi tylko. Życie późniejsze zaciera dawne przewinienia ludzi i ludów; ono musi zatrzeć dawne grzechy, lub zatrzeć resztę istnienia. To przekonanie włożyło na mnie obowiązek obznajmienia czytających z pracą Stawiskiego.

Styl dzieła tego jest pełen prostoty, jasności, wdzięku, i tej rzewnej serdeczności, w której się malują czyste piszącego chęci i uczucia. Żałuję, że autor przenosząc się niekiedy na stanowisko ekonomii politycznej, podnosi za wysoko znaczenie i wartość pieniędzy, czego następstwem jest dawna wiara w bilans handlowy, który od pół wieku przeszedł w śmieszność podobną do prac alchimistów, wywołanych tem samem błędnem przekonaniem. Błędy podobne w dziełach wzorowych, rozszerzają się łatwo i wikłają niedość jeszcze ustalony sąd publiczny.

Oczekujemy z niecierpliwością obiecanych (12) dalszych poszukiwań, których ostatecznym celem jest rozwinięcie przed oczami naszemi odległych przyczyn późniejszej niemocy; życząc krajowi, by dzieła podobne, by mozoły i prace literatów naszych, okupione zwykle zdrowiem, często niedostatkiem, niekiedy życiem, nie przemijały bez ogólnej narodowej korzyści.

Artykuł następujący wchodzi w zakres mechaniki. Na podstawie błędnego pojmowania rzeczy mniemano: że potoczystość powozu jest tem większa, im mniejsze są przednie — a większe tylne koła. Tak też robiono je do powozów a nawet i do wozów.

W „Pamiętniku gospodarskim“ wydawanym we Lwowie, pojawił się był nawet artykuł, zachęcający do większego jeszcze zmniejszenia kół przednich. To spowodowało Supińskiego do zabrania głosu w tym przedmiocie, celem wykazania błędu.

Od r. 1854 zaczęły już rzeczywiście wchodzić w używanie u powozów i bryczek wysokie koła, które i do prostych wozów należałoby zastosować.

* * *

W numerze 51. „Pamiętnika gospodarskiego“ z roku 1849 czytaliśmy krótki artykulik z napisem: „O korzystnem działaniu siły pociągowej,“ w którym autor usiłuje dowieść, że wóz o wysokich kołach lżej idzie za końmi. Zasada ta, jakkolwiek warunkowo, jest prawdziwą; nie pominął jej żaden z autorów traktujących o statyce. Gdy jednak wszelka prawda o tyle tylko trafia do przekonania, a zatem o tyle korzyść przynosi, o ile rzeczywiście udowodnioną zostaje, nie od rzeczy będzie sprostować zasady mechaniczne, których fenomen ten jest wypływem. O promieniu nie ma tu mowy; Archimedes, na którego się powołano, także o nim nie mówił, bo za czasów jego prawa koła, a zatem i promienia odkryte jeszcze nie były. Wszystkie maszyny, które geniusz Archimedesa przy obronie Syrakuzy stworzył, opierały się na prawach dźwigni (*levier*, *Hebel*), których on pierwszy dostrzegł i które obliczył. W wozie podobnież dźwignia główną gra rolę.

Nie ma w żadnej umiejętności tak powszechnej i niezachwianej zasady, jak w mechanice ta: że o ile się zyskuje na sile, o tyle traci na czasie, i na odwrót; gdzie nie ma straty na jednem, tam nie ma zysku na drugiem. W kombinacyi dwóch lub kilku kół obracających się jedno przez drugie, stosunek szybkości ostatniego do pierwszego jest miarą straconej lub zyskanej siły; koło zaś obracające się samo około swojej osi jest prostą dźwignią,

której dwa równe ramiona przedstawiają równanie + 2 — 2 = 0 Korzyść zatem z kół wozowych większej średnicy wypływająca, nie tu spoczywa i nie jest bezwarunkową. Wiadomo jest ze statyki, że dwie siły działające na opór pod pewnym kątem, trawią się w części nawzajem, i tym więcej, im kąt ich jest więcej rozwarty; reszty zaś tych dwóch sił zlane w jednę, poruszają ciało po przekątnej równoległoboku wystawionego na dwóch danych siłach, to jest, pomiędzy dwoma siłami, i bliżej tej, która jest większą; n. p. jeżeli siła jedna jest trzy razy większą od siły drugiej, ciężar pójdzie trzy razy bliżej siły większej. W wozie są podobnież dwie siły: ciężar cisnący pionowo i koń ciągnący poziomo; jeżeli koń ciągnie istotnie poziomo, wtedy te dwie siły tworzą kąt prosty, jeżeli postronek szlei idzie w kierunku ku górze, dwie te siły tworzą kąt rozwarty, w którymto razie jeszcze więcej stają one przeciw sobie. Inaczej mówiąc, człowiek popychający taczkę w kierunku ku dołowi, w części pcha ję naprzód, w części w ziemię; koń ciągnący wóz w kierunku ku górze, w części go dźwiga, w części pociąga; koń którego postronek szedłby (z powodu kół zbyt wysokich) w kierunku ku dołowi, znalazłby się w położeniu człowieka popychającego taczkę w ziemię. Dlatego w krajach gdzie pojęcia mechanizmu więcej są rozszerzone (jak np. we Francyi), średnica kół u wozów i wózków ręcznych, zastosowana jest do wzrostu człowieka i koni tak, że dyszel lub postronek idzie w kierunku prawie poziomym, to jest prawie równoległym do ziemi. Aby przekonać, o ile okoliczność ta jest ważną, dość będzie przytoczyć, że u wozów niskich (np. podolskich), jeżeli postronek tworzy z poziomem kąt 120 stopni koła, w zaprzęgu tym, nie

licząc tarcia i wszystkich niezgrabności mechanicznych, $^{30}/_{120}$ czyli $^{1}/_{4}$, czyli siła półkonia w dwuprzęgu jest straconą.

Prócz powyższej zasady co do wysokości kół, nie należy pominąć dwóch innych jeszcze szczegółów, niemniej ważnemi będących warunkami potoczystości wozów; warunkami temi są: 1) Rozkład ciężaru, to jest, aby koła tylne do przednich ile możności zbliżone były; ciężar zaś wystawał poza nie naprzód i w tył. Zasada ta opiera się na tej statycznej prawdzie, że ciężar tym łatwiejszym jest do poruszenia, im więcej jest skupioną powierzchnia, na której on się opiera. Dlatego łatwiej jest poruszyć kamień kubiczny, cetnar ważący, niż belek lżejszy od niego. Dlatego także tak zwane *roulages* francuskie używają do sześciokonnych nawet zaprzęgów, wozów na dwóch tylko kołach; bo tu skupienie podstawy jest do najwyższego stopnia doprowadzone. 2. Umniejszenie tarcia. Wiadomo jest, że gdyby powietrze i tarcie nie stawiły oporu, ciało raz w ruch puszczone, leciałoby bez końca (np. koło na wiszącej osi.) Przeciw pierwszemu sztuka nie znalazła dotąd środka; drugie zmniejszyć jest w mocy naszej. Dwa są do tego środki: naprzód, używając do smarowania tłuszczu, ile możności oczyszczonego z ciał obcych (maź ma ich najwięcej) i zwięzłego np. łoju z domięszaniem pyłu siarczanego; powtóre, pokrywając części na tarcie wystawione, ciałami najmniej spożywającemi się nawzajem. Stosunek tarcia tego jest mniej więcej taki, przyjąwszy najmniejszy za jednostkę: żelazo na mosiądzu jak 1; żelazo na żelazie jak 3; żelazo na drzewie (twardem) jak 18; drzewo na drzewie jak 27.

Oto są główne zasady, na których mechanizm wozu opiera się w ogólności.

Wypisy te z pism czasowych zakończam powiastką, umieszczoną w «Tygodniku literackim«, wydawanym przez Karola Szajnochę, którego Supiński, połączony z nim przyjaźnią, zastępował w czasie wyjazdu jego do kąpieli.

* * *

Zdarzenie prawdziwe.

Potężna armia francuska, której przeznaczeniem było, narzucającą się Europie rodzinę Bonapartego także na hiszpańskim osadzić tronie w osobie Józefa, przedarła się już była z wielkiemi trudami przez wąwozy, gęste lasy i góry nieprzestępne niemal, które długim łańcuchem przedzielają Hiszpanię od Francyi. Korpus ten, noszący nazwę francuskiego, składał się z Francuzów, Włochów, Szwajcarów, Niemców i Polaków. Ułanów naszych używano zwykle do przedniej straży; nimi także obsadzano wszystkie stanowiska, więcej wytrwałości i odwagi, niżeli liczebnej siły wymagające. Główna armia postępowała zwolna, lecz ciągle. W dni kilkanaście po przebyciu Pireneów zbliżała się ku stronom najniebezpieczniejszym, bo najwięcej wzburzonym, ku brzegom Gwadalkwiwiru. Ostrożność nakazywała zająć w okolicy miejsca warowne. Dowódzca marszałek Soult, wydał stosowne rozkazy. Oddział ułanów pod przewodnictwem porucznika Osińskiego, otrzymuje przeznaczenie rozstawiania widetów wśród gór Sierra-Morena.

Żołnierz z powołania, młodzian pełen zdrowia i męstwa, żyjący w nadziejach, znał niebezpieczeństwa, ale się

niemi nie trwożył. Krzyże, legii honorowej i virtuti militari ozdabiały już piersi jego; smukły wzrostem, w kształtnym ułańskim mundurze nowego nabierał wdzięku; twarz spokojna, świeża, męska lecz łagodna, wśród długich po Europie marszów, miłe w niejednem czułem sercu, zostawiły wspomnienie krótkiej pobytu chwili, która była pierwszą i ostatnią.

Osiński na czele walecznego oddziału postępował ku miejscu swego przeznaczenia. Dzień się już schylał; jaskrawe południowe słońce rzucało jeszcze z pod ziemi ostatnie promienie na wzniosłych gór wierzchołki; z przeciwnej strony pełny księżyc bladem posrebrzał je światełkiem. Lecz wśród wąwozów, któremi pomykali się ułani, było ciemno i chłodno, a rosą przesycone powietrze, dziwną przedstawiało im sprzeczność między dniem i nocą, sprzeczność, której w kraju swoim nie znali. Już było blisko północy, gdy stary chłop hiszpański, którego we wsi ostatniej za przewodnika wzięto, zatrzymuje swego muła i wskazuje na zamek, na wyniesieniu wśród otaczających je równin samotnie leżący. Zamek ten, powiada, jest jednym z najwarowniejszych; wybudowany niegdyś przez Maurów, dziś należy do Don Alonzo Lopez de Goma, właściciela rozległych majętności i potomka jednego z najznakomitszych w Hiszpanii rodów. — Cisza panowała na około; wyniosłe zewnętrzne mury ze strzelnicami pod szczytem, kryły wewnętrzną budowę; wyskakująca ze środka wieża, zdawała się grozić przybyszom zbliżającym się ku ponuremu miejscu. Stanęli przed bramą; żelazne zapory i rozciągnięte łańcuchy strzegły jej od strony twierdzy; a most zwodzony dźwignięty na pół do góry, odkrywał przepaść pod stopami.

Osiński nie chciał próbować przemocy; przewodnika wynagrodził i odprawił; ułanom kazał zsiąść z konia, i obozem resztę nocy przeczekał. Jutrzenka okazała się wkrótce na niebie. Dzwon na wieży doniósł mieszkańcom w głębokich komnatach ukrytym, że po za nimi już się dzień rozpoczął. — Już z tej strony warowni słychać tam szmer, chodzenie i rozmowy.

W tem skrzypnęła trzykrotnie ogromnego zamku zardzewiała zasuwa. Po dwóch ludzi ciągną każde z dwóch ciężkich podwoi, most pochyla się i kładzie na przeciwnym brzegu, a głos: »*Enimigo!*« przywołał ku bramie wewnętrzne straże.

Osiński nie umiał być nieprzyjacielem, gdzie nim być nie potrzebował. Chcę mówić, powiada, z właścicielem zamku, Donem Lopez. Dumny grand hiszpański sam nie wychodzi, lecz zbyt przezorny, by opór stawić, każe przyjąć wewnątrz załogę. „Na koń!“ zawołał porucznik; trębacz uderzył; chorągiewki się pochyliły po pod bramę; oddział stanął na dziedzińcu. Pamiętny przedewszystkiem o obowiązku dowódzca, rozesłał czaty i straże postawił. Zaproszony do pokojów, spotyka Lopeza u wnijścia. Starzec czerstwy, powolnym ku niemu postępował krokiem, lekko pochylił głowę nakrytą w pióra ozdobionym kapeluszem, a szpada zawieszona u boku, zdawała się oznajmiać, że się za jeńca nie uznaje. Nasz porucznik czuł drażliwe gospodarza położenie, a szanując w nim prawego Hiszpana i starca, przepraszał go za swoje przybycie i o przyzwoitem postępowaniu ułanów swoich upewniał.

Rozmawiając weszli dalej i zatrzymali się w ogromnej sali na uroczystości przeznaczonej, z mozajkową posadzką i wklęsłą powałą wspartą na grubych marmurowych słu-

pach, po za któremi wisiały mnogie obrazy niezwykłej wielkości, w staroświeckie, rzeźbiarskie ujęte ramy. Alonzo dostrzegłszy, że Osiński zwrócił ku nim uwagę: „To jest długi szereg przodków moich, rzecze; — ten tu, jest ów Lopez, który się wsławił r. 1236 w walkach przeciw Abenhudemu królowi Maurów; ten dalej był wielkorządcą Maurytanii; tamten zdobył Oran w Afryce, i otrzymał z rąk ministra, kardynała Ximenes, wiszący na piersi jego złoty łańcuch honorowy, którego prócz niego i samego kardynała, nikt w kraju nie posiadał; ten tam, po zaciętej bitwie morskiej przy brzegach Malagi, w powietrze prochem się wysadził, by niewpaść w ręce nieprzyjaciela; ten najokazalszy ze wszystkich, przedstawia nieśmiertelnego Vasco de Gama, wysiadającego na brzegi Malabaru r. 1498.“

W czasie tej rozmowy, zbiegły się do sąsiedniego pokoju kobiety, ciekawe widzieć niespodzianego gościa. Obawa przed nieprzyjacielskim oficerem trzymała je z razu w oddalonych komnatach; ale ciekawość kobiet silniejszą jest od samej obawy, równie w Hiszpanii jak u nas. Lopez był wdowcem, i jednę tylko miał córkę. Przy niej bawiły jej dalsze dwie krewne, a kilka uboższych; lecz dawnością rodu znakomitych dziewcząt, w domu jej ojca znalazły utrzymanie odpowiadające pozostałym marom znikłej wielkości.

Izydora śmielsza od innych w ojca swego domu, a może i niecierpliwsza od innych, otwiera drzwi i wchodzi. Postać jej była zajmująca; biała zasłona opięta do pół czoła, niedbale na tył zarzucona, czarniejszemi jeszcze czyniła hebanowe włosy, które wymykając się z pod niej w długich splotach na śnieżne i pół obnażone spływały

ramiona; jej chód potoczysty ale poważny, ukłon pełen wdzięku ale i godności; wejźrenie budzące miłość, ale miłość milczącą, z daleka okazywały, że była córą południowego kraju, ale córą hiszpańskiego granda.

Osiński wtopił w nię oczy; Izydora skierowała ku niemu śmiałe, jawne i niezakłopotane wejrzenie; lecz on wzroku jej nie dotrzymał. Oto, jest córka moja, odezwał się ojciec; na niej niestety, kończy się ród Lopezów de Gama. Ten pan, zwracając się ku niej, jest jedną z tych licznych ofiar, które cesarz Francuzów poświęcił wyniesieniu własnemu; ci panowie rzeczywistość mieniają za ułudę, a życie i majątki swoje dają za samę nadzieję,—on jest Polakiem, oficerem francuskim.

Po krótkiej rozmowie, gospodarz polecił staremu swemu słudze, zamku dozorcy, zaprowadzić gościa na spoczynek do przeznaczonego mu pokoju. Możesz pan spocząć bezpiecznie w domu naszym, zawołał Lopez. O tak, dodała córka, przyjmujemy w nim Polaka, a nie francuskiego oficera; pańskie uczucia muszą być podobne do moich! skłoniła się poufalej niż przy wejściu, i w kilku podskokach znikła, zostawiając swój obraz w duszy ułana, a może wzajemnie jego unosząc postać.

Osiński wszedł do swego pokoju. Od miesiąca nie przepędził dnia jednego pod dachem; a ostatnie dwie noce nie spał wcale. Rzucił się na sofę, lecz sen nie przychodził. Rzecz dziwna! są chwile w życiu człowieka, których on sam nie pojmuje; są uczucia, które pędem elektryczności przenikają całe jestestwo jego; jest dziewica dla młodziana, jest młodzian dla dziewicy, których Bóg, zdaje się, stworzył dla nich samych; którzy się zejdą czasem, a to ich pierwsze spotkanie, jest, jak gdyby tylko znalezieniem się

wśród tłoku; ich dusze w pierwszej chwili zrastają się na zawsze, i już tylko śmierć je rozłączy!

Dano znać do obiadu; Osiński zań podziękował, bo chciał uniknąć spotkania, bo czuł, że przestał być panem siebie, bo gdzieindziej wołały go wielkie obowiązki. Dzień zeszedł w niepokoju, rozdzielony bez ładu między samotne rozmyślania i służby potrzeby. Lecz noc nie była spokojniejszą. Nie mogąc się snu doczekać, zniecierpliwiony, wychodzi na zamkowy krużganek, by pierś przygniecioną, świeżem zasilić powietrzem. Niebo było pogodne, księżyc i gwiazdy pokryły światłem rozległe naokoło zamku równiny; powolny wietrzyk chwiał liściem drzewek oliwnych i wśród kasztanów szeleścił. Z daleka, w górach, widać było ognie gerylasów, a popod murami zamku słychać niekiedy ułana, odpowiadającego dalszym czatom, donośnem: „Kto idzie“!

Wśród ciszy, Osiński słyszy głos kobiecy, zbliża się ku tej stronie; zdaje mu się, że poznaje głos Izydory. Tak, to ona. Lekka lecz wprawna ręka budziła drżenie strón hiszpańskiej gitary, a melodyjny głos jej piersi, wylewający żale tęsknoty i upragnienia, wzmagał się z końcem każdej zwrotki, w wyrazach: Tierra nativa.

„Tierra nativa“! powtórzył Osiński; o ty byłabyś aniołem i w Hiszpanii i w Polsce!

W tych walkach półtajemnych, pół jawnych spłynęło dni kilka. Żadne wojenne wrzawy nie zakłóciły panującego w tej stronie pokoju. Wycieczki gerylasów zwracały się raczej ku obozom i transportom, a wojska francuskie posuwały się ciągle ku wschodniemu południowi.

Izydora coraz stawała się śmielszą i więcej zbliżoną, jej ojciec przywykał do cudzoziemca, i zdawało się, że

jego szlachetny charakter, jego pełne względów postępowanie, jego prawe serce i niepospolite umysłowe wykształcenie, jednały mu tę rzeczywistą Lopeza życzliwość, która wkrótce przyjaźnią stać się mogła. Izydora często na prośbę Osińskiego powtarzała piosnkę, którę był słyszał pierwszej nocy. Niekiedy idąc z ojcem na przechadzkę do ogrodu, prosiła go, by im towarzyszył.

Już w jej oczach czytał Osiński, że osoba jego nie jest jej obojętną; jej wejrzenia nie były zwyczajnemi wejrzeniami; jej najobojętniejsza rozmowa, odsłaniała to, o czem mówić nie śmiała, o czem przynajmniej słyszeć miło jej było. I w rzeczy samej. Osiński nie taił dłużej uczuć swoich; uczucia te były silniejsze od niego. Bogu poruczając przyszłość swoję, ani święty obowiązek chciał zdradzić, ani urokom miłości oprzeć się był w stanie.

Izydora od tej chwili jeszcze śmielszą się stała. Osiński wyjeżdżał często dla przepatrzenia czat rozstawionych. W jednej z takich przejazdek, Izydora zwyczajem kraju swego towarzyszy mu na małym lecz pełnym siły i ognia rumaku bułanym z mleczną grzywą, swoim ulubionym biegunie. Jakże miłą była ta przejazdka! Już to powolnym postępując krokiem, upojeni szczęściem obecnem, trwożąc się myślą o przyszłości, wymieniając słowa pełne słodyczy, obawy i pociechy, we wzajemnem wejźreniu chcieli zbadać przeznaczenia swego wyroki, już też puszczając koniom wodze, zdawali się gonić za szczęściem, które im się ciągle z rąk wymykało.

Izydora zapewniona, że Osiński dla niej żyje, dla niej żyć będzie, i dla niej tylko, rzuca się ojcu swojemu do nóg i wyjawia mu to, co doświadczony starzec już od dawna spostrzegał. Dziecię moje! zawołał rozrzewniony, ja

nie mam nikogo prócz ciebie; pragnę gorąco szczęścia twego; lecz szczęście, które ty sobie rokujesz, może być tylko chwilowem złudzeniem. Rozważ położenie twoje i jego; pomnij na stosunki polityczne, dwóch narodów odległość i różność. Spodziewaszże się go skłonić do pozostania w Morena? Chceszże oddając się cudzoziemcowi, którego nie znaliśmy przed niedawnym czasem, opuścić twojego starego ojca, przodków twoich siedzibę i rzucić się na przeciwny koniec Europy, gdzie ludzie, kraj, klimat, język, obyczaje, wszystko obcem ci będzie; gdzie wkrótce może tęsknota oziębi te gorące uczucia, które dziś zdają ci się trwalszemi od ciebie samej?

Ach! ojcze, zawołała piękna, a rozlaną na twarzy boleścią piękniejsza niż kiedykolwiek Izydora, ach, ojcze, wola twoja jest dla mnie wyrocznią, ale ty życia mego zatruć nie zechcesz wszakże.

Córko, odpowiedział ojciec, zostaw mnie do jutra. Krok, który chcesz uczynić, czyni się tylko raz w życiu!

Izydora już dnia tego nie widziała swego oblubieńca. Noc przepędziła w pokoju swoim, licząc godziny bijące w sąsiednim ojca pokoju. Nigdy jej czas dłuższym się nie wydał; nie dowierzała, aby noc jedna tak bez końca trwać mogła. To zadmuchnąwszy świecę, kładła sie na łoże znużona, w nadziei, że potrzeba snu już jest silniejszą od wewnętrznego niepokoju; to zrywając się nagle, zapalała ję na nowo u wiszącego przed obrazem Bogarodzicy, bladego kaganka.

Nazajutrz dano znać do śniadania. Przybywa Izydora — zastaje już przy stole siedzącego ojca. — W jej oczach malowało się to zmięszane uczucie obawy i szczęścia, ten stan niepewności, gdzie człowiek usycha nadzieją i z nie-

cierpliwością stanowczego wygląda ciosu. Dawszy ojcu ranne pozdrowienie, wprzód nim usiadła, już chciała w wejrzeniu jego zbadać swoję przyszłość. Krótką chwilę milczenia, przerywa przeciwległemi drzwiami wchodzący Osiński.

Dnia tego nikt więcej nie przybył do śniadania. Towarzyszki Izydory, które zwykle należały do biesiadującego grona, dziś jadły osobno. — Zaledwie Osiński zajął przeznaczone dla siebie miejsce, Lopez de Gama podaje mu rękę. Poruczniku, rzecze, córka moja zaniosła do mnie wczoraj żądanie, które powinienem był z ust twoich usłyszeć. Ale pomińmy ten szczegół. Wchodzę w twoje położenie i pojmuję jak wiele kosztowaćby mogło cudzoziemca, którego tak krótko znamy, to, co ze strony córki jest tylko wypływem zaufania dziecięcia ku ojcu. Nie uprzedzaj jednak myśli moich; nie jestem tak surowym, a szczęście Izydory jest ostatniem życia mojego zadaniem.

Na te słowa, piersi pięknej Izydory podniosły się wzdęte z głębi wydobywającem się westchnieniem; jej rzęsy zwilgociła łza, której ukryć nie mogła.

Dwa, mówił dalej starzec, kładę warunki żądaniu waszemu; naprzód: zostaniesz w Morena, i tej wiekowej spuścizny przodków naszych nigdy nie wypuścisz z ręku; powtóre: ponieważ ród Lopezów de Gama kończy się na mnie, ty do nazwiska twojego, przydasz ten nowy przydomek.

W tej uroczystej chwili zapomnieli wszyscy o śniadaniu. Osiński wstrzymując się od wszelkiej zewnętrznej oznaki, spuszczał ku dołowi oczy, jak gdyby chciał dalej słuchać. Izydora jak wryta wtopiła się w niego, chcąc wytężonem uchem schwycić odpowiedź, która z ust jego

wyjść miała. Lopez pełen rozsądku i umiarkowania, czuł ważność położonych warunków, i pojmował oficera naszego położenie. Jednym więc ciągiem, i niedopuszczając odezwania się niczyjego, mówił dalej. Zapomniałem o trzecim warunku: abyś na rzecz wielkiej wagi, bez głębokiego nie odpowiadał namysłu. Zacznij od wypełnienia tego ostatniego i przynieś mi odpowiedź twoję, dopiero za trzy dni.

Trzy?... powtórzyła półgłosem dziewczyna, a mimowolny rumieniec przypomniał jej przyjętą w świecie przyzwoitość, i słowa w ustach uwięził. Ojciec powstał, skłonił się poważnie, i każdy jak zwykle w swoję udał się stronę.

Któżby powiedział, że już więcej Osiński nie usiędzie przy stole, obok swojego anioła, że ta ich niema rozmowa, że nawet to ich widzenie się, było już ostatniem w życiu! — Osiński wszedłszy do swego pokoju, przeszedł się kilka razy tam i nazad szybkim krokiem. Porywa za pióro i papier, i drżącą ręką pisze do pułkownika Kozietulskiego, pod którego dowództwem służył, a który z pozostałą od rozrzuconych straży przednich jazdą swoją, stał o mil kilka od Morena.

„Pułkowniku, nie posądzisz mnie o brak wytrwałości i odwagi, lub o lekceważenie rozkazów twoich; przeszłość moja chroni mnie od tej niesławy. Zmuszony jednak jestem prosić cię najusilniej, abyś mnie niezwłocznie innym zastąpił oddziałem. Nie porucznik swego pułkownika, ale rodak rodaka, człowiek o to błaga człowieka. Powody tej natarczywości, wyłożę ustnie; one znajdą usprawiedliwienie w sercu pełnem męstwa i ludzkości.“

Ułan posyłka stojący z kolei dzień i noc przy okulbaczonym koniu na zawołanie służbowe, siada i odjeżdża z depeszą.

Osiński zbity na siłach, łatwo udał niezdrowego i z pokoju swego już nie wychodził. Któż jest w stanie powtórzyć i opisać, co się działo w sercu jego, i w sercu nieszczęśliwej dziewczyny! — Miałaż wierzyć jego słabości? miałaż go odwiedzić cierpiącego? Czy niespodziane szczęście, czy wyrzut sumienia za udaną miłość zdrowie mu zatruły? Rumieniec nikł z jej twarzy; koralowe usta gorączkowa pomarszczyła suchość; oczy zżółkłe, nabrzmiałe, czerwoną opasane obrączką, zdradzały mnogość łez wylanych w ukryciu. Uchylając niekiedy zasłonę okna swojego, spoglądała w ogród ku stronie, gdzie pierwszy raz usłyszała, że była kochaną. O, gdyby go choć opodal ujrzeć mogła! Ale nie! Osiński nie pokaże ci więcej oblicza swojego, i twego nie zobaczy. Jego los godny opłakania. Te dwa dni wynędzniły go więcej, niż lata obozów, głodu, słot, zimna i upałów. Bladość przebijająca się przez opaloną słońcem południowem skórę, czyniła go żółtym, schorzałym i niepodobnym do siebie samego. Tu miłość, która pierwszy raz w życiu opanowała serce jego, tam daleko sięgające nadzieje, i honor osobisty!

Nadchodzi noc druga tej bolesnej walki serca, rozumu i sumienia. Już północ minęła. Od czasu wejścia załogi do zamku, bramy jego stały ciągle otworem, bo przez nie przechodziły zmieniające się co godzina czaty zewnętrzne. Światło poznikało w gmachu. Wszyscy śpią prócz ułanów na straży stojących, i prócz Osińskiego, a może i prócz nieszczęśliwej dziewczyny.

„Kto idzie"! krzyknął donośnym głosem u pomostu stojący na koniu żołnierz. „Do broni!... zdaj odzew!" — Czuwający w pokoju swoim porucznik usłyszał te słowa i tentent wyjeżdżających szybko ze stajni ułanów. — Zbiega na dół. Koń jego już stał gotowy. Był to oddział, który na jego miejsce przyszedł. Pościągano czaty, zastąpiono je nowemi; dwaj oficerowie pomówiwszy nieco na stronie, zapewne w przedmiocie służby, podali sobie ręce. „Do widzenia" zawołał jeden z odjeżdzających ułanów. „Chyba na tamtym świecie, odpowiedział ktoś z pozostających, bo na tym, nikt kości naszych nie powynajduje!" Ruszono bez trąbienia; już nie słychać stąpania koni, już i oddział znikł w przestrzeni daleko ciągnącej się równiny.

Nie wiem co się działo w domu Lopeza, gdy nazajutrz innych spostrzeżono ludzi.

W dni kilka po przybyciu Osińskiego do pułku, gerylasy w znacznej sile zbliżają się ku jego obozowi. Zatrąbiono na koń. Dwie chorągwie ułanów stanęły w szyku bojowym, a na ich czele nieustraszony Kozietulski, bohater Somo-Sierry, Leonidas hiszpańskich Termopilów. Jazda nieprzyjacielska naciera pierwsza. Osiński stał na lewem skrzydle. Jeden z powstańców, obwinięty szerokim płaszczem, zacisnąwszy sumbrero na oczy, pochylony naprzód, z wyciągniętą ręką. a w niej po za uszy konia wystający trzymając pistolet, leci ku niemu na przebój. Strzela; kula przeszywa ułańską czapkę powyżej daszka i włosy narusza. Ułan stojący przy poruczniku, wsadza grot dzidy między żebra napastnika i z konia go obala. Ciało jego, zapewne żyjące jeszcze, zmięszało się między trupami tej krótkiej, lecz krwawej utarczki.

Nikt nie widział zakapturzonej twarzy gerylasa. Dostrzeżono tylko, jak ku stronie zamku Lopeza pomknął lotem błyskawicy ów rumak bułany z białą grzywą, na którym przejeżdzała się była Izydora w towarzystwie porucznika.

W lat kilka później Osiński w stopniu majora zginął walecznie w bitwie pod Smoleńskiem.

Spis rzeczy.

	Str.
Od Wydawcy	3
Życiorys Józefa Supińskiego	5
I Turnieje i pojedynki w wiekach średnich	22
Na Zachodzie	25
W Polsce	40
II. Do . . . List treści moralno-społecznej . .	55
Zapatrywanie się na ruch ludzkości . . .	58
Przeobrażenia pojedynczego człowieka . . .	60
Węzły jego z powszechnością	64
III. Tatarzy. Trajedya w 5. aktach . . .	89
Akt I.	91
Akt II.	102
Akt III.	119
Akt IV.	134
Akt V.	153
IV. Arcez. Trajedya w 4. aktach . . .	161
Akt I.	165
Akt II.	180
Akt III.	202
Akt IV.	219
V. Kilka artykułów z pism czasowych . .	229
Odezwa z powodu rocznicy śmierci ś. p. Wiśniowskiego i Kapuścińskiego r. 1848 . .	231

Str.

Znaczenie kapitału i kredytu 235
Pogląd krytyczny na stanowisko Żydów . . 240
Dalsza rozprawa tejże treści 247
Rozbiór dzieła Edmunda Stawiskiego: „Poszukiwania do historyi rolnictwa krajowego“ . . . 254
O mechanizmie wozów 265
Zdarzenie prawdziwe. — Opowieść . . . 269

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA w Poznaniu

Biblioteka Główna UMK
300020951038

174431